

SIECI



SOROS KONTRA PRAWICA
CZY SZALEŃSTWO MILIARDERA
ZNIWOLI CHRZEŚCIJAŃSKĄ EUROPE?

ZŁAPANI NA KŁAMSTWIE
UJAWNIAMY DOKUMENTY DOTYCZĄCE
WYDARZEŃ W GETCIE W BOCHNI

BARBARA NOWAK:
BROŃMY NASZYCH DZIECI.
TO JEST OSTATNI DZWONEK!

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 11 (329) 2019

18–24 marca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

PROF. ANDRZEJ PRZYŁĘBSKI
AMBASADOR RP W BERLINIE

NIE BOJĘ SIĘ WALCZYĆ O DOBRE IMIĘ POLSKI

**MOCNA ROZMOWA Z DYPLOMATĄ, KTÓRY ZNALAZŁ SIĘ NA CELOWNIKU
LEWICOWYCH MEDIÓW. O KULISACH NAGONKI, NIEMIECKICH I POLSKICH
DZIENNIKARZACH ORAZ O SZACUNKU, KTÓRY POWOLI ZDOBYWA SOBIE POLSKA**



INDKS 287393 ISSN: 2544-2694



Telewizja na start nawet **6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT**



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat” nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości” © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory” © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

Atak na Jana Pawła II

Stało się to, co przewidywaliśmy niedawno na łamach tygodnika „Sieci” – atak na Jana Pawła II wszedł w nową fazę. W „Le Monde” ukazał się tekst dwóch francuskich działaczek katolickich, w którym domagają się one dekanonizacji polskiego papieża. Zarzuty autorek są absurdalne. Ich zdaniem Karol Wojtyła miał wyidealizowaną koncepcję kobiety, wynikającą z jego pobożności maryjnej, w związku z czym jest odpowiedzialny za stworzenie systemu umożliwiającego gwałcenie zakonnic przez księży. Ergo: należy doprowadzić do procesu, który unieważni jego świętość.

Idiotyzm oskarżeń jest porażający. Zapewne musieli zdawać sobie z tego sprawę redaktorzy jednego z najbardziej opiniotwórczych dzienników w Europie, a jednak zdecydowali się zamieścić ów tekst. Wszystko wskazuje na to, że jest on elementem szerszej kampanii dyfamacyjnej wymierzonej w Jana Pawła II, która dopiero przed nami. Bezczelność autorek i redakcji wynika w dużej mierze ze świadomości, że papież z Polski ma coraz mniej obrońców w najbardziej wpływowych środowiskach katolickich.

Pamiętam, że kiedy rozmawiałem z George'em Weigelem zaraz po śmierci Jana Pawła II, mówił mi, iż spuścizna inte-

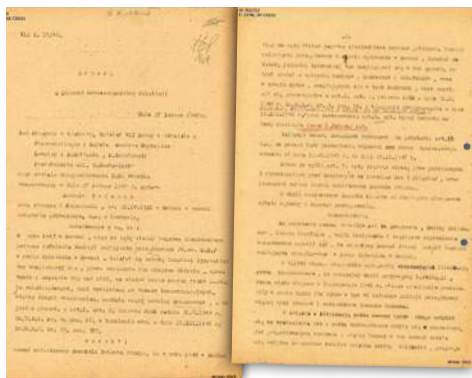
lektualna i duchowa Karola Wojtyły jest tak gigantyczna, że Kościół będzie potrzebował dekad, a może nawet stuleci, by ją w pełni zrozumieć i przyswoić. Minęło kilkanaście lat, a w Kościele trwa „wielkie sprzątanie po Janie Pawle II”. Jego nauczanie popada w zapomnienie, jest ignorowane i spychane na margines. W Rzymie można usłyszeć, że idzie nowa epoka, w której jego dorobek jest już nieaktualny. Otwarcie podważa go wielu biskupów, a nawet kardynałowie. Powoływanie się na takie dokumenty jak „Veritatis splendor” czy „Dominus Iesus” uchodzi dziś za gruby nietakt. Więcej ciepłych słów można usłyszeć pod adresem Marcina Lutra niż Karola Wojtyły. Pod tym względem jedynie w Polsce i krajach Europy Środkowej jest nieco inaczej.

Media niechętnie wobec teologii moralnej Kościoła doskonale to wyczuwają. I coraz częściej, nie przedstawiając żadnych dowodów, zaczynają wiązać polskiego papieża ze skandalami seksualnymi. Dyskredytacja Jana Pawła II będzie oznaczać zdezwauowanie jego nauczania. A to jest na rękę wielu środowiskom, zarówno w Kościele, jak i poza nim.

Jan Paweł II za życia miał wielu przyjaciół. Ciekawe, czy znajdują się oni dziś.

Grzegorz Górny





39

Niezależni od prawdy
Piotr Gontarczyk



54

Czy to koniec legendy?
Łukasz Adamski



84

Post i dieta
Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 QUIZ WIEDZY O KARCIE**
Krzysztof Feusette
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejki
- 14 CZEGO NIE MA W KONSTYTUCJI**
Jan Pietrzak
- 15 OBELGI, CZYLI KAMIEŃ PO**
Bronisław Wildstein
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 PRZYCIĄGAMY INWESTORÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 Z ANDRZEJEM PRZYŁĘBSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowski

KRAJ

- 30 CZY TYM RAZEM SOROS SIĘ PRZELICZY?**
Konrad Kołodziejki
- 33 SAPER TRZASKOWSKI**
Stanisław Janecki
- 36 Z MAŁOPOLSKĄ KURATOR OŚWIATY**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski
- 39 NIEZALEŻNI OD PRAWDY**
Piotr Gontarczyk
- 44 SĘDZIOWIE NA ROZKAZ**
Wojciech Biedroń
- 46 Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 49 O CZYM WOLNO PISAĆ W GDAŃSKU?**
Artur Ceyrowski

SIECI KULTURY

- 52 TO BĘDZIE JEJ ROK?**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 54 CZY TO KONIEC LEGENDY?**
Łukasz Adamski
- 57 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 58 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 60 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 62 KORNEL MORAWIECKI – ŻYWA KSIĘGA HISTORII**
przemówienie Viktora Orbána

HISTORIA

- 64 ZBRODNIA ZAPOMNIANA**
Katarzyna Utracka, Remigiusz Stefani

ŚWIAT

- 68 KRÓL CZEKOLADY, GAZOWA KSIĘŻNICZKA I SŁUGA NARODU**
Grzegorz Górny
- 70 STRZĘŻ SIĘ SWOICH MYŚLI**
Aleksandra Rybińska
- 72 JEDZENIE SŁONIA NA RATY**
Jan Rokita
- 74 TRUDNE WYZWANIA**
Aleksander Stralcow-Karwacki

GOSPODARKA

- 76 ZAKAZ POD ZNAKIEM ZAPYTANIA**
Szymon Szadkowski
- 78 RYZYKOWNY POMYSŁ NA BEZPIECZEŃSTWO**
Piotr Filipczyk

ZDROWIE

- 84 POST I DIETA**
Dorota Łosiewicz

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: SZYMON RADZIMIERSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 LEKCJA ANATOMII PROFESORA T.**
Maciej Pawlicki
- 90 REWOLTA TRZASKOWSKIEGO**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 NA MEDAL**
Aleksander Nalaskowski
- 93 GLOBALNY WIEDZMIN**
Wiktor Świetlik
- 94 KONWENCJA GROŹNIJSZA NIŻ STANDARDY WHO**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 ŚPIEWAK, KTÓRY FAŁSZUJE**
Ryszard Makowski
- 97 PRZESTROGI WIOSENNE...**
Leszek Długosz
- 98 NIEWYPAŁ PROSTO W OKO**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

#nowePZU w Twoich rękach

13 marca PZU podsumowało realizację strategii na lata 2017–2020.

W 2018 r. firma wdrożyła wiele zapowiadzianych rok temu rozwiązań i programów

PZU GO

PZU GO to projekt od początku stworzony przez ekspertów PZU, który przede wszystkim może pomóc chronić ludzkie życie zagrożone w momencie wypadku komunikacyjnego. To niewielkie urządzenie typu beacon przyklejane na szybie samochodu oraz aplikacja mobilna, które współpracują z sobą, by w razie wypadku automatycznie wezwać niezbędną pomoc drogową lub służby ratunkowe. Jego roczny koszt to 139 zł. Dla klientów PZU urządzenie będzie dostępne w promocyjnej cenie 49 zł. Co więcej klienci, którzy zdecydują się dołączyć do klubu PZU Pomocni, będą mogli odnowić ofertę za symboliczny 1 zł. Warunkiem będzie rok bezpiecznej jazdy z PZU GO.

PZU I GOLDMAN SACHS ASSET MANAGEMENT PLANUJĄ WSPÓŁPRACĘ W ZAKRESIE ZARZĄDZANIA AKTYWAMI I DYSTRYBUCJI FUNDUSZY

PZU SA i Goldman Sachs Asset Management (GSAM) podpisały list intencyjny. Celem zakładanej współpracy jest wykorzystanie kluczowych kompetencji każdej z firm i osiąganie wzajemnych korzyści. GSAM wnosi doświadczenie wiodącej na świecie firmy inwestycyjnej, natomiast PZU oferuje unikatowe zdolności zarządzania aktywami w Polsce i regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Potencjalna współpraca w założeniu będzie symetryczna. GSAM wesprze PZU w dążeniu do osiągnięcia jak najlepszych stóp zwrotu z aktywów, a PZU będzie dążyć do udostępnienia swoim klientom produktów zarządzanych (lub współzarządzanych przez GSAM) w swojej sieci dystrybucji. To założenie w szczególności odnosi się do oferowania innowacyjnych rozwiązań inwestycyjnych na platformie inpzu.pl. Równolegle GSAM będzie dążył do udostępnienia funduszy zarządzanych przez PZU klientom międzynarodowym. Dodatkowo współpraca zakłada



stworzenie funduszu na region Europy Środkowo-Wschodniej, zarządzanego przez PZU, i udostępnienie go na globalnej platformie dystrybucyjnej GSAM.

REWOLUCJA W INWESTYCJACH – INPZU

Grupa PZU uruchomiła rewolucyjną platformę inPZU, która umożliwia inwestowanie w fundusze indeksowe z oferty TFI PZU. Od 2018 r. z oferty inPZU mogą korzystać klienci indywidualni, a od marca tego także instytucjonalni. Jak do tej pory tysiące klientów wybrało inPZU i zainwestowało przez platformę aktywa o wartości 100 mln zł.

WSZYSTKO W JEDNYM MIEJSCU – MOJE.PZU.PL

PZU uruchomiło samoobsługowy portal moje.pzu.pl. Jest to jedyna tak kompleksowa platforma obsługowa na rynku ubezpieczeniowym w Polsce. Dzięki niej można w łatwy sposób ubezpieczyć nieruchomości, samochód, a także wykupić polisę turystyczną, czy sprawdzić status pozostałych umów zawartych w PZU. W portalu klienci mogą również umówić wizytę lekarską w ramach opieki medycznej oferowanej przez PZU Zdrowie. Daje on także możliwość zakupu jednostek w funduszach inwestycyjnych dostępnych w TFI PZU oraz skorzystania z tzw. symptom checkera.

PARTNERSTWA STRATEGICZNE

Zgodnie z założeniami strategii #nowePZU Grupa PZU systematycznie rozwija partnerstwa strategiczne. Dzięki temu już ponad 2 mln gospodarstw domowych będących klientami tych firm korzysta z pomocy i wsparcia Grupy PZU m.in. w zakresie usług assistance. Głównym filarem współpracy z Allegro, rozpoczętej w kwietniu 2018 r., jest sprzedaż i dystrybucja produktów ubezpieczeniowych. Są one w pełni cyfrowe i dostosowane do konkretnych potrzeb kupujących oraz sprzedających. Od grudnia ubiegłego roku PZU oferuje ubezpieczenia dla podróżnych Polskich Linii Lotniczych LOT. Do dzisiaj po ubezpieczenie w podróży sięgnęło 30 tys. klientów. W ramach zawartych partnerstw strategicznych PZU zapewnia pomoc fachowców klientom firm energetycznych: Enea, Energa, Innogy, Lumi, PGE oraz Tauron. Podczas podsumowania strategii PZU ogłosiło rozpoczęcie współpracy z PGNiG OD. „Jesteśmy dumni z rozpoczęcia współpracy strategicznej z Polskim Górnictwem Naftowym i Gazownictwem Obrót Detaliczny, które dociera do ponad 6 milionów gospodarstw. Dzięki temu klienci PGNiG OD, którzy skorzystają z oferty Grupy PZU, będą mogli liczyć na wsparcie fachowców w drobnych naprawach domowych” – powiedziała Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU

Sygnalista nadaje

Spore zmiany w TVP. Z zarządu odszedł Maciej Stanecki, a dołączyli Piotr Pałka oraz Marzena Paczuska vel Paczka. Prezydent Duda dopiął więc swego: podpisał ustawę, która daje mediom publicznym pieniądze, ale w zamian dostanie większy wpływ. Głową państwa teoretycznie ma reprezentować słynna Paczka. Teoretycznie, ponieważ Paczka zawsze i wszędzie reprezentuje tylko siebie. Z kolei Piotr Pałka w zarządzie będzie reprezentował Pawła Kukiza. W sumie tak oto TVP przejęła hasło Pol-satu: „Włącz emocje!”. Bo będzie się działo – i na zapleczu, i na antenie.

Prezes Kurski nie będzie miał lekko, ale prawdziwe kłopoty ma Michał Lisiecki, wydawca „Wprost” i „Do Rzeczy”, który najpierw został zatrzymany przez CBA, a później usłyszał w czwartek zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej spowodowania szkody w wielkich rozmiarach oraz dopuszczenia się przestępstw skarbowych. W tle duże kwoty – nawet 40 mln zł. Sprawa nie dotyczy działalności medialnej, ale Przedsiębiorstwa Napraw Infrastruktury, okradanego za pomocą fałszywych faktur w latach 2012–2105. Okładkowa historia.

Prawdziwe media to są w Trójmieście. Dziennikarz, który opublikował film, na którym widać, jak prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz kupuje w towarzystwie ochroniarzy wódkę i colę, podsumował sprawę krótko: „Zaszczuli mnie”. Nie pomogło ani szybkie usunięcie filmiku, ani uniżone przeprosiny. Nie mogło być inaczej: każdy, kto podważy święte prawa „małej Sycylii”, musi zostać przykładnie ukarany. Nie tylko w imię zemsty, ale przede wszystkim ku przestrodze.

Głos w sprawie zakupów zabrała również sama Dulkiewicz: „Od dwóch dni wielu pyta: »Ola, czy to prawda, że kupiłaś pół litra i aż dwie cole?«. Panowie »redaktorzy«, autorzy »hit newsa«, postawili mnie w trudnej sytuacji, bo faktycznie źle to wygląda... Dlatego wyjaśniam: kupiłam krówkę, a cole były małe...”. Według znawców „krówka” to 0,7 litra wódki. Zapowiada się intensywna kadencja.

W obronie prezydent Gdańska stanął prezydent Duda: „Prezydent Aleksandra Dulkiewicz kupowała alkohol w sklepie? A co, jest zakaz robienia takich zakupów? Nie wolno dorosłej osobie kupować alkoholu? Nie wolno prezydentowi miasta robić takich zakupów? Nie widzę tu żadnego problemu. To prywatna sprawa, nie urzędowa. Dajcie spokój!” – zaapelował w mediach społecznościowych. Do maja głowa państwa jeszcze nieraz nas zaskoczy.

„Super Express” zaatakował na okładce posła PiS Marcina Horałę za korzystanie z programu 500+. Jak wskazała redakcja, polityk zarabia „gigantyczne” 12 tys. zł i nie powinien brać świadczenia, bo kiedyś apelował o to premier. W odpowiedzi TVP zwróciła się do redaktora naczelnego tabloidu z pytaniami o zarobki i pobieranie 500+. Odpowiedź jeszcze nie nadeszła. To jasne, że tabloid czasem nie może odmówić przysługi różnym przyjaciółom, ale ten konkretny atak na posła Horałę był mocno nieprzemyślany.

Prof. Paweł Śpiewak znów w centrum uwagi. Ostatnio stwierdził, że „nie może znieść” retoryki mówiącej o „ratowaniu Żydów przez Polaków”. Dlaczego? Bo „to znaczy, że to ratowanie przez kilka ty-

Wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki skomentował wysyp memów odwołujących się do słynnego zdjęcia z Ukrainy, na którym w hełmie i w kamizelce kuloodpornej groźnie patrzy w obiektyw. „Najbardziej podobał mi się mem, na którym ja stoję z papierosem, a za mną widać eksplozję napalmu” – stwierdził, dodając, że bardzo lubi filmy wojenne. Człowiek na czasie, bo bez spektakularnych środków tej jesieni się nie obędzie.

sięcy szlachetnych osób miałyby udowadniać, że reszta Polaków była tak samo szlachetna”. Dodał, że „ten rodzaj polityki jest zabójczy dla wszystkich, po tym pozostaje tylko brzydki zapach”. Po pierwsze, nie kilka tysięcy, ale co najmniej 300 tys., a po drugie, z jakiego powodu dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego z takim zapalem kopie ten rów między narodami?

🔊 Zupełnie nieznaną portal btnews.online po-
dał sensacyjną wiadomość z Warszawy:
dwóch Polaków miało zaatakować za pomocą noża
grupę izraelskich studentów. Konieczne okazało się
użycie broni. Sprawa szybko okazała się zwykłym
fejkiem, ale jeszcze szybciej zdążyły ją podać po-
ważne izraelskie media. Nie ma takiego kłamstwa,
którego nie użyją przeciwko Polsce.

🔊 Po tym, gdy Jarosław Kaczyński stanął w obro-
nie rodziny, opozycja sięgnęła po swoją starą
metodę: odwrócenie kota ogonem i cyniczne kłam-
stwa. Dzień w dzień oskarżają Prawo i Sprawiedliwość
o zamach na tolerancję oraz atak na osoby homoseksu-
alne, choć lider PiS jasno powiedział: tolerancja tak,
afirmacja nie. Będzie tego więcej, gdyż w szeregach
III RP coraz więcej pewności siebie, władza wydaje się
na wyciągnięcie ręki, a PiS niewiele może z tym zrobić.
Bo pytanie, dlaczego zasoby PiS realnie nie pracują na
rzecz tegoż PiS, a często wręcz pracują przeciwko PiS,
wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Zresztą teraz jest już
za późno, by coś z tym zrobić.

🔊 Ta pewność siebie już nie jest skrywana: „To
było pana ostatnie exposé, bo wracamy” – mó-
wił w Sejmie do ministra Czaputowicza poseł PO-
KO Andrzej Halicki. To już pobrzmiewa pychą,
a zatem daje nadzieję, że jednak Polska nie wpadnie
w ręce unijnych i niemieckich kelnerów. Bo to za-
uważalne momentum Koalicji Europejskiej przy-
szło chyba sporo za wcześnie.

🔊 Zapytany o Deklarację LGBT+ były prezydent
Bronisław Komorowski odpowiedział: „Po co
wywoływanie tego strachu? Czego my się mamy bać?
Ja się bardziej boję PiS-u i tego rządu”. Komorowski
się nie boi, bo sądzi, że „choć ze świata zachodniego
płyną różne wzorce, to jednak nic takiego jak seksua-
lizacja dzieci, masturbacja, to jakieś kompletne wymy-
sły”. Tak wyglądała ta prezydentura: zamykamy oczy
i problemu nie ma. Bo seksualizacja dzieci nie jest
wymysłem, to oczywisty program nowej lewicy. I do-
tyczy również wnuków byłego prezydenta.

🔊 Platformerski minister finansów Jacek Ro-
stowski przekonywał, że tzw. piątka Kaczyń-
skiego to faktycznie postulaty PO, i to już od trzech
lat. „PiS te nasze pomysły dość beczelnie ukradło”



– twierdzi. I wyjaśnia, dlaczego to kolejny argument
na rzecz zmiany władzy: otóż jeśli chcemy zabezpie-
czyć to, co teraz jest, to „musimy mieć rządy, które są
spokojne, odpowiedzialne i kompetentne”. Ciekawa
zwrotka. Można się śmiać, ale nie można zapomnieć
o lekcji z 2007 r.: wspierana przez media Platforma
jest groźnym hochsztaplerem.

🔊 Piątka Kaczyńskiego przeraziła także niektó-
rych czytelników „Wyborczej”. „Mam prośbę,
czy »Wyborcza« nie mogłaby zasięgnąć informacji, co
powinien zrobić emeryt, aby nie otrzymać tej nie-
szczęsnej trzynastki? Nie zgadzam się na tak ohydne
kupczenie głosami wyborców” – martwi się emerytka
w liście do redakcji. Może zarząd Agory przyjmie
wsparcie? Prezes cierpiącego pod pisowskim butem
koncernu zarabia ledwie 1,7 mln zł rocznie.

🔊 Agnieszka Holland w rozmowie z Krystyną
Naszkowską, autorką książki „My, dzieci ko-
munistów”, uczciwie odniosła się do niechlubnych
kart z biografii swojego ojca: „Podpisał, jako jeden
z ośmiu studentów, list otwarty przeciwko prof. Wła-
dysławowi Tatarkiewiczowi, co spowodowało odsu-
nięcie Tatarkiewicza od zajęć ze studentami. W okre-
sie stalinowskim pisał napastliwe artykuły do gazet.
O prof. Kazimierzu Twardowskim na przykład, że
jego filozofia jest »skrajnie obskurantka i klechow-
ska«. Do 1947 r. był redaktorem naczelnym »Walki
Młodych«, czółowego pisma zwalczającego wszelkie
odchylenia od linii partii”. Ponawiamy pytanie: czy
lekcja lat 50. nie wystarcza? Czy i obecnie lewica musi
budować duchowy zamordyzm?

🔊 Lewica ma dziś swoje żniwa: Kościół stoi pod
pręgierzem, a wszyscy wokół milczą. Nawet ci,
którzy wciąż pamiętają, jak wiele dał Polsce i jak nisko
upadniemy, jeśli porzucimy wiarę. Rośnie też nowe
pokolenie kosmopolitów, jak zawsze w Polsce, szcze-
gólnie tandetnych. Pewien nastolatek zapytany przez
reportera podczas manifestacji z okazji Dnia Kobiet
o zasługi Romana Dmowskiego dla niepodległości
Polski wypalił wprost: „Ja nie jestem za niepodległoś-
cią Polski”. Ta młodzież szczerze nazywa to, o czym
starsi taktycznie milczą.

🔊 Lech Wałęsa chce wrócić na szczyt. „Przysyłaj-
cie mi pytania i tematy, na które mógłbym zgło-
sić swój punkt widzenia. Żeby nam to dobrze wycho-
dziło, to musiałbym odzyskać wasze zaufanie, takie
jakie miałem w latach 80.” – zaapelował. Drogi Lechu,
tak się nie da. Dziś możesz już jedynie jeździć po świe-
cie, wstawiać głupie fotki i brnąć w swoje kłamstwa.
Klaskierów nie zabraknie, ale surowego werdyktu hi-
storii za zmarnowanie dziejowej szansy w początkach
lat 90. już nie zmienisz.

Informuje się mieszkańców Warszawy i okolic, że z pierwszym dniem Wiosny można już się zapisywać na Kartę LGBT (oraz 52 inne plcie do wyboru – zgodnie z wytycznymi Facebooka). Kartę tę będzie można sobie wsadzić np. w kasownik Tramwaju Różnorodności, żeby Jego Ekscelecja Rafalala mogła ogłosić stolicę otwartą dla przedszkoli, szkół, hoteli, lokali gastronomicznych oraz placówek kulturalnych wyłącznie dla gejów. Informacje o egzaminie ustnym znajdują państwo na stronach internetowych polecanych przez wiceprezydenta miasta Pawła Rabieję.

Poniżej – pytania kwalifikacyjne, uprasza się o zaznaczenie tylko jednej odpowiedzi.

1. Z okazji podpisania Karty LGBT prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski stwierdził, że w stolicy ludzie byli wyrzucani na bruk:

- a) „bo Hanka była bezzębna”
- b) „pierwsze słyszę, ja miałem dziewczynę w Rembertowie”
- c) „przez pisowską dyktaturę”
- d) „z powodu orientacji seksualnej”

2. Jan Hartman, jeden z guru lewicy, nawoływał kiedyś na łamach strony internetowej tygodnika „Polityka” do dyskusji o legalizacji:

- a) „PiS, ale bez Kaczyńskiego”
- b) „małżeństwa człowieka ze zwierzęciem”
- c) „marihuany w przedszkolnych stołówkach”
- d) kazirodztwa – bo „jeśli udaje się powiązać harmonijnie miłość macierzyńską albo bratersko-siostrzaną z miłością erotyczną, to osiąga się nową, wyższą jakość miłości i związku”

3. Profesor Monika Platek z Uniwersytetu Warszawskiego, orędowniczka walki z Kościołem, podczas jednego ze spotkań z młodymi ludźmi stwierdziła, że:

- a) „nie ma na imię Monika, tylko Mariusz”
- b) „ma dosyć tego, że nikt jej nie słucha”
- c) „była w kościele, ale się zgubiła”
- d) „w związkach jedнопłciowych rodzi się tyle samo dzieci, a często więcej, niż w związkach różнопłciowych”

4. Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, które zorganizowało na studniówce w jednej z warszawskich szkół homoseksualnego poloneza, nie chce brać udziału w programach telewizyjnych, gdyż:

- a) nie wyklucza, że członkowie stowarzyszenia będą kłamać
- b) nie wyklucza, że wśród operatorów kamer mogą być osoby heteroseksualne
- c) wykluczałoby to udział członków stowarzyszenia w reality show Hostel pod Czerwonym Latarnikiem
- d) z założenia wyklucza rozmowy z tymi, którym nie podobają się Karta LGBT

5. Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy, porównuje wprowadzenie Karty LGBT w Warszawie do:

- a) cudownego dziecka dwóch kolarzy

Quiz wiedzy o karcie

- b) fryzury swojego partnera
- c) obrazów Caravaggia
- d) zbudowania w Warszawie kanalizacji

6. Władysław Kosiniak-Kamysz jest przekonany, że tęcza to symbol:

- a) słoneczka świecącego podczas opadów deszczu
- b) głębokiej wiary Hanny Gronkiewicz-Waltz w plac Zbawiciela
- c) klubu sportowego Tęcza z komedii o misiu Barei
- d) Spółdzielni Spożywców „Społem”

7. Warszawa otrzymała prawa miejskie w XIII w. Yga Kostrzewa, znana działaczka LGBT, stwierdziła, pouczając zebranych, że oznacza to, iż stolica ma obecnie lat:

- a) 21
- b) ok. 1500
- c) między 700 a 800
- d) 400

8. Po zapowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, że PiS będzie walczyło z seksualizacją dzieci w przedszkolach, Ewa Kopacz orzekła, iż prezes PiS:

- a) „nie ma ani konta, ani prawa jazdy”
- b) „musi odejść, bo jej córka wyjedzie z Polski, w której i tak nie mieszka”
- c) „nieprzypadkowo w dzieciństwie grał złodzieja”
- d) „stał się fałszywym obrońcą polskich dzieci”

9. Monika Rosa, posłanka Nowoczesnej, uważa, że „polska rodzina to także związek dwóch kobiet albo dwóch mężczyzn”, a liczba gejów i lesbijek w Polsce wynosi:

- a) ok. 100 mln osób
- b) ok. 38 mln osób
- c) nie wiadomo dokładnie ile, ale na pewno więcej niż osób heteroseksualnych
- d) ok. 2 mln osób

10. Julia Pitera twierdzi, że rodzice, którym nie spodoba się przyjęcie przez szkołę wytycznych WHO dotyczących edukacji seksualnej dzieci, mogą:

- a) „błagać, ale na nic się to nie zda”
- b) „zmienić orientację na taką, przy której dzieci się nie rodzą”
- c) „pocałować ją w Pinokia”
- d) „oddawać dzieci do innych szkół”

11. Robert Biedroń podczas jednego z wywiadów w 2019 r. wyznał, że marzy o tym, aby:

- a) „Biedronka wsparła jego kampanię wyborczą”
- b) „mógł adoptować Eltona Johna i dzięki temu mieć wnuki”
- c) „wprowadzić 500 plus dla każdego z każdym”
- d) „w Polsce było 38 mln uśmiechniętych zboczeńców”

Od autora:

W zasadzie nie powinienem podawać prawidłowych odpowiedzi, by nie wprowadzać szanownych czytelników w jeszcze większe zakłopotanie. Ale pewnie i tak państwo już się domyślają, że wszystkie one są związane z „d”.

Krzysztof Feusette



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS - TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.

Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.

Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl



Latający problem

Mówi się, że historia lotnictwa jest napisana krwią. Na naszych oczach powstaje jej kolejny rozdział. 10 marca rozbił się, niedługo po starcie z lotniska w Addis Abebie (stolicy Etiopii), nowy Boeing 737 MAX należący do linii Ethiopian Airlines. Życie straciło 157 osób – wszyscy pasażerowie lotu do Nairobi, w tym dwóch Polaków. Badanie przyczyn katastrofy trwa.

Tragedia w Etiopii zwróciła natychmiast uwagę całego świata, ale nie tylko dlatego, że wśród ofiar byli obywatele państw z wszystkich kontynentów udający się na dyplomatyczny szczyt jednej z agend ONZ. Od razu padły pytania: co może mieć wspólnego katastrofa w Afryce z tragicznym incydentem w Azji z października 2018 r., gdy Boeing 737 MAX 8 indonezyjskich linii Lion Air rozbił się kilkanaście minut po starcie z lotniska w Dżakarcie, grzebiąc 189 osób? Czy przyczyną obu katastrof mogła być awaria oprogramowania Boeingów 737 MAX?

Wątpliwości muszą być mocno ugruntowane, skoro linie lotnicze użytkujące maszyny tego typu lawinowo podejmowały decyzje o zawieszeniu lotów. Zrobiły to kraje Unii Europejskiej, Indonezja, Singapur, Malezja, Korea Południowa i Chiny. Decyzję taką podjął również polski przewoźnik PLL LOT, uziemiacząc pięć Boeingów 737 MAX. Chcąc nie chcąc, 13 marca także prezydent USA Donald Trump zarządził wstrzy-

manie lotów Boeingów 737 MAX linii American Airlines, United Airlines i Southwest Airlines.

Dla amerykańskiego producenta maszyny – koncernu Boeing – nie mogło być gorszej informacji. I nie chodzi tylko o kwestię potężnych odszkodowań, lecz wręcz o biznesową przyszłość lotniczego giganta. Bo B 737 MAX, oblatany 29 stycznia 2016 r. średniodystansowy samolot mogący przewozić 200 pasażerów, miał być handlowym przebojem koncernu. Liczba zamówień to niemal 4,8 tys. sztuk, czyli dwie trzecie przyszłych dostaw Boeinga. Nic dziwnego, że giełdowa wartość lotniczej spółki skurczyła się na Wall Street o 45 mld dol. – z 257 na początku marca do 212 mld dol. dwa tygodnie później.

Katastrofa Boeinga nabiera też gorącego politycznego wymiaru. Stosunki gospodarcze między Ameryką a Unią Europejską są bardzo napięte. Prezydent Trump grozi Brukseli rozpoczęciem wojny celnej, na co Komisja Europejska zapowiada ostrą reakcję. Tymczasem rynkowym rywalem Boeinga jest europejski koncern Airbus oferujący sprawdzony model A320. Czy Ameryka za wsparcie w Europie swojego lotniczego giganta nie zapłaci np. ustępstwami w sprawie sankcji wobec budowy Nord Stream 2? Cóż, hipotetycznie taki deal jest możliwy...

Krzysztof Kotowski





Czy ma ktoś wątpliwości co do istnienia lobby organizacji żydowskich w USA? Spokojnie, to nie żadna teoria spiskowa, ale znany i opisany fakt. W Ameryce trudno znaleźć poważnego polityka ryzykującego dobre relacje z hojnymi darczyńcami, którzy w czasie każdej kampanii wyborczej przypominają mu o przyczynach udzielonego poparcia.

Symbioza amerykańskiej polityki i wpływowych żydowskich organizacji jest szczególnie silna po prawej stronie tamtejszej sceny politycznej. Było tak w przypadku administracji Nixona, Reagana i obu Bushów. Dwaj ostatni wysłali nawet wojska do Iraku zagrażającego przecież głównie Izraelowi. A jak jest u Trumpa? Cóż, ten wyrosł w nowojorskim biznesie telewizyjny celebryta ma córkę Iwanę, która przeszła na judaizm ku uciesze pochodzącego z wpływowej żydowskiej rodziny męża Jareda Kushnera. Nie będę dopowiadał, że choćby tylko z tego powodu relacje Trumpa z wieloma organizacjami żydowskimi są bardziej niż wyjątkowe.

Ale nadszła nowa fala w amerykańskiej polityce. Nie tylko wraz z portorykańsko-amerykańską wersją

Bitwa o diasporę



Adriana Zandberga, czyli 29-letnią senator i celebrytką Alexandrią Ocasio-Cortez z Bronxu. Kontrowersje w ostatnich tygodniach wzbudziła również pochodząca z Somalii Ilhan Omar. Omar, muzułmanka i członkini niewielkiej lewicowej partii z Minnesoty, napisała na Twitterze, że AIPAC (American Israel Public Affairs Committee) płaci politykom za ich proizraelską postawę. Jej słowa wywołały burzę wśród waszyngtońskiej socjety. Muzułmańska

polityczka (tak to się teraz mówi?) ostatecznie przeprosiła za swój tweet. Jednak nie widać było, aby demokraci szczerze się od niej odcinali. Wywołało to oburzenie Donalda Trumpa.

„Demokraci stali się partią antyizraelską. Stali się partią antyżydowską. To jest fatalne” – ocenił prezydent USA. Nie nazwał wprawdzie demokratów antysemitami, choć pewnie miał to na końcu języka. Byłaby to jednak wielka przesada, zwłaszcza że – pomimo romansu amerykańskiej prawicy z diasporą żydowską – nadal ponad 70 proc. amerykańskich Żydów jest wiernych demokratom. Elity żydowskie na Manhattanie są wręcz najbardziej zagorzałymi wrogami administracji Trumpa. Nic więc dziwnego, że od słów Trumpa odcięła się wpływa Jewish Democratic Council of America, nazywając jego wystąpienie „pełnym hipokryzji”.

Nie zmienia to tego, że Trump przy każdej możliwej okazji podkreśla swój związek z Izraelem i żydowskimi organizacjami w USA, a amerykańską lewicę bez przerwy oskarża o „judeosceptycyzm”. Walka o przecignięcie wyborców z diasporę trwa więc w najlepsze.

Lukasz Adamski

„Erdoğan dał, Erdoğan odebrał” – tak niemiecki dziennik „Die Welt” skomentował to, że Turcja po raz pierwszy od 2009 r. popadła w recesję. Chodzi oczywiście o dobrobyt, który turecki prezydent obiecywał obywatelom. I rzeczywiście: poziom życia Turków od przejścia przez niego władzy w 2003 r. znacznie wzrósł. Dynamiczny wzrost PKB (średnio 7 proc. rocznie) pozwolił się wzbogacić całym rzeszom mieszkających na prowincji Turków, którzy za rządów świeckich wielkomięjskich elit byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Wytworzyła się nowa, przywiązana do islamu i tradycji klasa średnia. To ona dziś utrzymuje Erdoğan u władzy.

Tyle że ten wzrost był sztucznie nakręcany. Rząd w Ankarze uruchomił państwowe stoiska z „taniami warzywami” i podniósł płacę minimalną o 26 proc. Inwestycje i konsumpcja były finansowane z zagranicznych pożyczek, a zbyt niskie stopy procentowe zachęcały przedsiębiorstwa i gospodarstwa domowe do życia ponad stan. Kraj importował więcej, niż eksportował, wytwarzając znaczny dług, a wskutek rekordowej inflacji tamtejsza lira straciła w ubiegłym roku jedną trzecią wartości. Turecki PKB spadł w czwartym kwartale 2018 aż o 2,4 proc., po tym jak w trzecim zmniejszył się już o 1,6 proc.

Turcja

Koniec tureckiego snu?

Wydaje się, że model gospodarczy, który gwarantował przywódcy rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) stałe poparcie przy urnach, powoli się wyczerpuje. Ankarę wprawdzie zapewnia, że kraj czeka szybkie ożywienie napędzane przez eksport (który stał się bardziej konkurencyjny w wyniku deprecjacji liry) oraz turystykę, ale eksperci nie są tak optymistyczni. „Tym razem ożywienie może być znacznie wolniejsze niż zwykle” – twierdzi cytowany przez „Die Welt” Inan Demir, ekonomista z banku Nomura International. Poważnym problemem staje się również inflacja. Międzynarodowy Fundusz Walutowy przewiduje, że turecki PKB wzrośnie w tym roku nie więcej niż 0,4 proc.

Krytycy zarzucają Erdoğanowi, że wydaje miliardy na interwencje militarne w Syrii. Nakręcanie wzrostu poprzez turystykę utrudniają z kolei częste dyplomatyczne kłótnie prezydenta z europejskimi partnerami. Niedawno – po kolejnej z nich – Erdoğan pogroził niemieckim turystom, którzy sympatyzują z Kurdami, że po przybyciu nad Bosfor zostaną aresztowani. Tymczasem większość turystów w Turcji to właśnie Niemcy.

Niemieckie MSZ bezzwłocznie więc ostrzegło obywateli przed podróżami do tureckich kurortów, a jeśli już muszą, zaleciło, by „unikali krytykowania tamtejszej władzy w social mediach”.

Aleksandra Rybińska



Rosja

Nerwowe sondaże

Notowania Władimira Putina ciągle spadają. Według sondażu przeprowadzonego na przełomie lutego i marca przez WCIOM (Wszechrosyjskie Centrum Badań Opinii Publicznej) zaufanie do prezydenta wyniosło 32 proc. i osiągnęło historyczne minimum. Niskie notowania Putina są związane z pogarszającą się sytuacją gospodarczą Rosji, a przede wszystkim z ubiegłoroczną decyzją o podwyższeniu wieku emerytalnego i spadkiem realnych dochodów ogółu społeczeństwa.

Pomimo słabych sondaży Putin nadal nie ma konkurenta – 64 proc. ankietowanych akceptuje jego rządy (brak zaufania nie oznacza nieufności, tę deklaruje wobec Putina jedynie 6,5 proc., precyzyjniej jest więc mówić o powszechnym dystansie wobec prezydenta). Zresztą inni wypadają w rankingu znacznie gorzej niż Putin. Dotyczy to zarówno polityków obozu władzy, jak minister obrony Siergiej Szojgu czy premier Dmitrij Miedwiediew, jak i tych spoza obozu, jak Władimir Żyrinowski czy liberalny oponent Kremla Aleksiej Nawalny. Putin ma więc wprawdzie czym się niepokoić, ale jego pozycja w układzie władzy pozostaje silna.

Gorsze notowania Putina mają pośrednio związek z sankcjami wy-

mierzonymi po rosyjskiej inwazji na Krym. Sankcje oraz relatywnie niskie ceny surowców skutkują cięciami wielu wydatków budżetowych, od programu kosmicznego poczynsz, na polityce socjalnej skończywszy. Jednak to właśnie cięcia socjalne mają największe znaczenie dla większości Rosjan. Po raz ostatni Putin miał tak niskie notowania w 2005 r., gdy podjęto decyzję o tzw. monetyzacji ulg, czyli zamianie rozmaitych przywilejów socjalnych (jak darmowe przejazdy komunikacją czy prawo do leczenia w sanatoriach) na rekompensaty pieniężne. Swoje robi też nieumiarkowane i ostentacyjne bogactwo kremłowskiej elity oraz powiązanych z nią biznesmenów i rozmaitych koterii. Na tym wszystkim mogą skorzystać rosyjscy komuniści, którzy – jako jedyni obok obozu władzy – mają struktury na terenie całej Rosji. Choć nieco zmarginalizowani, ciągle budzą sentyment zwłaszcza wśród starszej i uboższej ludności na prowincji, w którą najbardziej uderzają trudności budżetowe.

Wiele nadziei na zatrzymanie spadku notowań Putina wiązano z ogłoszonym w lutym oświadczeniem prezydenta. Pierwotnie planowano je w rocznicę aneksji Krymu, ale przyspieszono je – właśnie po to, by poprawić sondaże. Nic to jednak nie dało, według rosyjskiej prasy tegoroczne oświadczenie odnotowało najniższą widownię od sześciu lat.

Na Kremlu zapanowała nerwowość. Skoro jest źle, to ktoś musi być winien. Ale kto?

Konrad Kołodziejewski

Włochy

Katolicy znów zaskoczeni

Narodowa Służba Zdrowia we Włoszech zarekomendowała stosowanie tryptoreliny. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ jest to znany i używany od dawna lek antyrakowy. Nowość polega na czymś innym: został on mianowicie zalecony młodzieży, która nie ma problemu z nowotworami. Dlaczego? Ponieważ jednym z efektów ubocznych zażywania medykamentu przez nieletnich jest zahamowanie procesu ich dojrzewania seksualnego przez zaburzenie równowagi hormonalnej. Można go więc podsunąć nastolatkom, którzy nie są pewni własnej płci lub planują jej zmianę. Narodowa Służba Zdrowia podjęła decyzję, że lek dla młodzieży będzie w całości refundowany na koszt państwa.

Wywołało to protesty wielu środowisk katolickich, w tym także lekarskich. Spodziewały się one wsparcia ze strony Watykanu, niestety, spotkał je zawód. Głos zabrała włoska bioetyk Laura Palazzani, będąca członkiem Papieskiej Akademii Życia, która oświadczyła, że w pewnych przypadkach zażywanie leku przez młodzież jest uzasadnione.

To nie pierwsza zaskakująca wypowiedź osoby związanej z tą watykańską instytucją. Papieska Akademia Życia założona została w 1994 r. przez Jana Pawła II, jednak w 2016 r. poddano ją głębokiej rekonstrukcji, zmieniając gruntownie skład osobowy i statut. Jej członkowie nie muszą już być katolikami ani nie muszą już składać przysięgi na wierność nauce Kościoła, zwłaszcza o ochronie ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. W nowym składzie znaleźli się m.in. anglikanin Nigel Biggar, zwolennik aborcji, czy japoński lekarz Shinya Yamanaka, twórca metody klonowania zarodkowych komórek macierzystych pobranych z embrionów i hodowanych w laboratorium. Z innych członków tego gremium o. Maurizio Chiodi opowiada się za antykoncepcją, zaś ks. Alain Thomasset i Gerhard Höver uważają, że należy wyrzucić z nauczania Kościoła pojęcie „aktów wewnętrznie złych” na określenie grzechu, ponieważ nie ma takich czynów, które zawsze byłyby złe. W tym kontekście wypowiedź Laury Palazzani nie dziwi już wcale.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czego nie ma w konstytucji

Jakiś wysoki urzędnik szczebla konstytucyjnego zauważył, że słów „Bóg, Honor, Ojczyzna” nie ma w konstytucji, więc nie powinno ich się stosować na urzędowych papierach. Chodziło bodajże o druk nowych paszportów.

Cóż takiemu facetowi powiedzieć? Wielu fundamentalnych rzeczy nie wpisano do obecnej wersji konstytucji pisanej przez wicemistrzów z PRL. Np. preambuły z Konstytucji 3 maja: „W imię Boga w Trójcy Świętej Jedynego”. Ze spraw najdawniejszych nie odnotowano chrztu Polski. Czy to znaczy, że go nie było? Nasza państwowość, tożsamość, opiera się na chrześcijaństwie. To się wiąże z wielką ilością pojęć, postaw, symboli, czynów, dzieł, pieśni, Mickiewiczów, Sienkiewiczów, Herbertów... przez wieki towarzyszących polskiemu losom. „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał pasmem potęgi i chwały [...]”. Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

Czy kosmopolityczny urzędnik rozumie, co znaczyło w czasie okupacji zbiorowe śpiewanie tej pieśni w kościele, jakim było orężem polskiego ducha? Teraz, kiedy Bóg wysłuchał



**Jan
Pietrzak**

błagania i ojczyznę mamy wolną – istnieje międzynarodowa zмова, taki antypolski kartel, który zawzięcie walczy z naszą wiarą. Z jakiego powodu? Bo chcą nas zniewolić, poddać obcemu panowaniu, okupacji medialnej, światopoglądowej, w efekcie – finansowej. Chcą znowu nas okradać. Łatwiej okrada się plemiona skolonizowane niż niepodległe narody.

W sowieckim imperium przez pół wieku Polacy pracowali (w pewnym uproszczeniu) za 30 dolarów miesięcznie. Cała reszta szła na ruskie bomby atomowe, na zdychające kolchozy i kawior dla Kremla. Z drugiej strony mamy cwane Niemcy, które za barbarzyńską napaść w 1939 r. winne są nam 850 mld dol. reparacji, ale nie zamierzają zwracać czegokolwiek.

Widzą więc państwo, jaki to korzystny proceder dla sąsiadów – wyzysk Polaków. Dlatego nie skąpią teraz funduszy na żadne formy hybrydowej wojny, utrzymują tu tłumy agentów, niszczą ducha narodowego, patriotyzm, który niepodzielnie związany jest z naszą wiarą. Strasznie im przeszkadza: Bóg, Honor i Ojczyzna, bo w Polsce wszystko zaczyna się od Boga, bez Niego stracimy i honor, i ojczyznę. 

Za głosem tęsknoty

Z aktorką *Joanną Liszowską* rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Proszę o dokończenie zdania: *Całe szczęście, że...*

Joanna Liszowska: ...jestem szczęśliwa [śmiech].

Jaki ma pani sposób na bycie szczęśliwą?

Odkryłam go jakiś czas temu. Trzeba żyć zgodnie z samą sobą. I to też pokazuje film „Całe szczęście”. Główna bohaterka Marta pyta: „Czy to, w jaki sposób w tej chwili żyję, rzeczywiście daje mi szczęście, satysfakcję? Czy to jest naprawdę to, czego pragnę?”. Myślę, że każdy z nas takie pytania od czasu do czasu powinien sobie zadać, a poszukując odpowiedzi, prawdopodobnie znajdzie szczęście.

Przyjaźń zapewne pomaga w byciu szczęśliwym. Zwłaszcza przyjaciółki?

To jest oszałamiające. Już siódmy rok realizujemy ten serial, teraz będziemy kręcić 14. transeę i widzowie od pierwszego sezonu

się z nami zaprzyjaźnili. Myślę, że nieczęsto projekt – który dopiero wszedł na ekran i za chwilę miał roczną przerwę, bo trzy z czterech głównych aktorek w tym samym czasie były w ciąży – tak się rozwija. A widzowie na nas poczekali, więc już zdążyli się z nami zaprzyjaźnić. Teraz – mam wrażenie – ta przyjaźń się ugruntowała. I poszerzyła. Mamy w gronie „Przyjaciółek” przyjaciół naszych przyjaciół. To naprawdę miłe.

Bycie szczęśliwym zakłada też robienie tego, co cieszy, sprawia przyjemność? Na przykład śpiewanie?

Rzeczywiście, zaśpiewałam w „Całym szczęściu” i obudziło to we mnie tęsknotę za jedną z pierwszych moich miłości, jeszcze sprzed aktorstwa. Chcę teraz słuchać siebie i swoich potrzeb, więc pewnie pójdę też za głosem tej tęsknoty. 



BRONISŁAW WILDSTEIN

Obelgi, czyli kamienie PO

„Czego się spodziewać po pisowskim ubeku wysłanym jako ambasador do Berlina. Wstyd!” – napisał na Twitterze Tomasz Siemoniak, jeden z liderów PO. Chamstwo, z którym mamy do czynienia, szokuje

Rząd PO w ciągu ośmiu lat prawie zrujnował kraj” – powiedział polski ambasador w Niemczech Andrzej Przylębski w trakcie panelu „Konferencja Europejska 2019”.

Można zastanawiać się, czy dyplomata powinien zajmować tak radykalne stanowisko w sprawach wewnętrznych państwa, które reprezentuje, na terenie kraju, gdzie sprawuje swoją funkcję. Ale w odpowiedzi należy przywołać permanentne donosy na demokratycznie wybraną władzę ze strony totalnej opozycji i to nie tylko do instancji UE, lecz również poszczególnych jej krajów. Niszczenie zasad przez jedną stronę czyniłoby stronę trzymającą się ich bezbronną. Nie kończy to dyskusji, ja jednak chciałbym zająć się czymś, przy czym wspomniana wypowiedź jawi się jako merytoryczna i subtelna.

„Czego się spodziewać po pisowskim ubeku wysłanym jako ambasador do Berlina. Wstyd!” – napisał na Twitterze Tomasz Siemoniak, jeden z liderów PO.

Chamstwo, z którym mamy do czynienia, szokuje. Przywykliśmy już, że ci, którzy walczą z lustracją jak ze złem największym, np. „Wyborcza”, równocześnie stają na głowie, aby wytropić jakiegokolwiek związku czy podejrzenia o agenturalną przeszłość w stosunku do swoich przeciwników. Raz jeszcze dowodzą w ten sposób, że ich antylustracyjna furia podyktowana była wyłącznie obroną swojego monopolu na informacje o archiwach SB. Ten stan rzeczy pozwalałby im manipulować wiedzą o przeszłości tak, jak byłoby im to wygodne.

W tym wypadku jednak sprawa idzie dużo dalej. Owszem, Przylębski podpisał współpracę z SB za cenę uzyskania paszportu, ale nie tylko nie donosił, lecz z układow z komunistyczną służbą wypłatał się bezpośrednio po powrocie do kraju, a jego relacja z czasów wyjazdu dotyczyła wyłącznie powszechnie znanych spraw. Wszystko to można sprawdzić w dokumentach. Jakim prawem polityk PO określa go jako „ubeką”?!

Jakim prawem robi to polityk partii, której jeden z założycieli, Andrzej Olechowski, przyznał się, że był wieloletnim współpracownikiem komunistycznych służb, a jego donosy



z zagranicy miały mieć „patriotyczny” charakter? Jaką chęć trzeba mieć, aby w ten sposób lżyć człowieka za moment słabości, gdy jako jednego z ważniejszych działaczy swojej partii akceptuje się Michała Boniego, który nie tylko, że przez kilka lat był donosicielem SB, to w 1992 r., kiedy Antoni Macierewicz ujawnił ten fakt, zaprzeczył, obrażając go i insynuując mu najgorsze rzeczy? W pomówieniach tych sekundowali mu liderzy Kongresu Liberalno-Demokratycznego, które było fundamentem PO i do którego należał Siemoniak. Kiedy w 2007 r. nie można już było dłużej ukrywać prawdy, Boni półgębkiem przyznał się, ale ani on sam, ani nikt z jego partyjnych towarzyszy nie poczuł się w obowiązku przeprosić Macierewicza za kubły wylanych na niego pomyj.

Obelgi wobec Przylębskiego rzuca polityk, którego partia robi wszystko, aby zatuzsować agenturalną przeszłość Lecha Wałęsy, którego eksponuje na swoich sztandarach. To sprawa wyjątkowo znacząca nie tylko dlatego, że to najbardziej ordynarne z wszystkich możliwych łgarstw – nie może istnieć więcej dowodów niż w wypadku Wałęsy, który wiele lat wręcz utrzymywał się ze swojej donosicielskiej aktywności – lecz prowadzi do głębokiego zafalszowania naszej najnowszej historii. A przecież na historyków badających biografię Wałęsy spadały represje, minister nauki i szkolnictwa wyższego z PO groziła Uniwersytetowi Jagiellońskiemu za pracę magisterską (!), która odsłaniała niechlubne karty z życia przyszłego lidera „Solidarności”.

Nieuprawnione obelgi na Przylębskiego rzuca Siemoniak w momencie tworzenia koalicji z tymi, którzy byli zwierzchnikami SB i dla obrony totalitarnej władzy których służba ta została powołana.

To nie tylko hipokryzja, której swoiste rekordy ustanowiła już PO. To strategia, której zasady z właściwą sobie błyskotliwością sformułowali Bronisław Komorowski i Ewa Kopacz. Rywalizację polityczną rozumieją oni jako próbę uśmiercenia swojego konkurenta, którego uosabia mamut albo dinozaur. W praktyce totalnej opozycji i to nie tylko w partyjnym wydaniu, bo to dużo szerszy zbiór, widzimy, że owymi kamieniami, którymi należy rzucać w przeciwnika, są pomówienia, insynuacje, obelgi. Czyniący to uznają za Goebbelsem, że zawsze coś z tego pozostanie.

Czy jest sens odwoływać się do wstydu Siemoniaka? Czy rozumie on jeszcze, co znaczy to uczucie?

OGNIEM NA WPROST

Przyszli po nasze dzieci



Brytyjska policja aresztuje średnio 400 osób miesięcznie pod zarzutem pedofilii i innych przestępstw seksualnych popełnianych wobec dzieci. I są to oficjalne dane. Brytyjski minister spraw wewnętrznych ocenia, że co najmniej 80 tys. osób na terenie Wielkiej Brytanii używa internetu i mediów społecznościowych do celów pedofilskich. Służby wypiarzy informują również, że w ciągu ostatnich pięciu lat o 700 proc. (sic!) wzrosła liczba raportowanych przypadków nadużyć seksualnych wobec dzieci w internecie. W 2017 r. było aż 82 109 takich „incydentów”. Jakby tego było mało, jedna z głównych organizacji pozarządowych zajmujących się ochroną dzieci przed przemocą (NSPCC) opublikowała raport, według którego ok. 500 tys. mężczyzn w Wielkiej Brytanii oglądało w sieci dziecięcą pornografię. A u nas? W Warszawie i Gdańsku władze forsują „edukację” seksualną LGBT w szkołach. Ale nie tylko. W opublikowanym przez prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka „pomocniku dydaktycznym” przeznaczonym do wdrażania seksprogramu w szkołach wymieniono listę polecanych organizacji, które przeprowadzają zajęcia z „edukacji antydyskryminacyjnej”. Siędem z ośmiu wymienionych organizacji to instytucje związane ze skrajną lewicą i środowiskiem, które promuje w Polsce homoseksualizm oraz aborcję. Idzie na całego. Rewolucja seksualna, która na „oświeconym” Zachodzie poczyniła spustoszenia widoczne gołym okiem, dobiera się teraz do naszych dzieci.

Wszystko to odbywa się pod szlachetnym hasłem przeciwdziałania dyskryminacji. Oto praktyczne

przykłady. W ubiegłym roku linie lotnicze British Airways sponsorowały tzw. festiwal dumy gejowskiej. W ich imieniu firmę reprezentował niejaki Darrena Sewella (tzw. drag queen, czyt. homo lub trans). Wyszło jednak szydło z worka. Okazało się, że koleś siedział wcześniej w więzieniu za czterokrotne molestowanie chłopca. Po wyjściu na wolność otrzymał sądowy zakaz pracy z dziećmi, który złamał, zatrudniając się jako instruktor gimnastyki dla dziewięciolatków. Inny „zawodnik”, Robert Clother (także drag queen), został aresztowany przez policję w Londynie. Wpadł podczas policyjnej prowokacji wymierzonej w pedofilów. Podczas rozprawy przyznał się do seksualnego zainteresowania dziećmi, w tym własnymi siostrzeńcami. Nie trzeba dodawać, że zboczeniec był znanym aktywistą lokalnej grupy LGBT i gwiazdą imprez promujących homoseksualizm. Słynie z hasła, które po raz pierwszy wykrzyczał na „paradzie równości”: „Pocę się jak pedofil w przedszkolu, tak tu gorąco”. Za pointę niech posłuży oficjalna wypowiedź innego/innej (?) drag queen Dylana Pontiffa, odpowiedzialnego/odpowiedzialnej (?) za organizację spotkania transseksualistów z trzylatkami w jednej z bibliotek publicznych w USA, w ramach akcji Drag Queen Story. „To jest uwodzenie nowej generacji. Próbujeśmy uwieść następne pokolenie” – zadeklarował.

Niewiele potrzeba, żeby się zorientować w strategii LGBT. Wystarczy sięgnąć po pięć punktów ze słynnego już artykułu dwóch prominentnych homoseksualistów Marshalla Kirka i Erastes Pilla „The Overhauling of Straight America” („Wyprzedzanie heteroseksualnej

Ameryki”) opublikowanego w 1987 r. Nakreślili oni już wtedy metody postępowania, które zastosowano na Zachodzie, a teraz próbuje się je realizować w Polsce. Po pierwsze: „Należy mówić o gejach i lesbijkach na tyle głośno i często, na ile to tylko możliwe”. Zwykła obecność w debacie publicznej miała stworzyć wrażenie, że sprawa homoseksualistów jest ważna, bo interesuje duży odsetek społeczeństwa. Po drugie: „W każdej kampanii pozyskiwania opinii publicznej homoseksualiści muszą być ukazywani jako ofiary, które potrzebują ochrony, tak aby w heteroseksualistach wywołać spontaniczny odruch wzięcia na siebie roli ich obrońców”. Po trzecie: „Zachowania homoseksualne mniejszości należy przedstawiać jako normalne, a ich kwestionowanie z pobudek moralnych jako przejaw dyskryminacji”. Po czwarte: „Dbać o dobry wizerunek gejów”. I po piąte: „Zadbać o negatywny wizerunek waszych prześladowców. Mówiąc otwarcie, należy ich oszkalować”. Może nieprawda?

Na końcu chciałbym zwrócić uwagę czytelników na wydany ostatnio przez Fundację Pro podręcznik „Jak powstrzymać pedofila?”. W związku z tym, co się ostatnio dzieje w Polsce na niwie obyczajowej, stał się on hitem. Błyskawicznie rozszedł się w liczbie 4 tys. egzemplarzy. 10 tys. jest przygotowywane w „drugim rzucie”. Ale można go pobrać z sieci pod adresem stoppedofilii.pl. Jeśli ktoś nie ma na to ochoty, zawsze można polecić wyjazd z pociechami do Disneylandu, gdzie ekipy LGBT już przygotowują się do obchodów Dnia Dziecka.

Andrzej Rafał Potocki

Przyciągamy inwestorów

W połowie marca tego roku w Pałacu Festiwalowym w Cannes odbyły się jubileuszowe, 30. Międzynarodowe Targi Nieruchomości i Inwestycji MIPIM. Wydarzenie to gromadzi międzynarodowe grono największych inwestorów z branży nieruchomości komercyjnych, fundusze inwestycyjne, deweloperów, polityków i przedstawicieli miast z ponad 100 państw. W trakcie tegorocznych targów po raz pierwszy Polska zaprezentowała przygotowaną przez rodzime firmy i regiony ekspozycję prezentującą innowacyjną ofertę dla globalnego rynku nieruchomości, a w trakcie Poland Day Polska Agencja Inwestycji i Handlu przedstawiała wyjątkowy potencjał oraz kondycję naszego rynku jako atrakcyjnego partnera biznesowego w Europie Środkowej i Wschodniej. Trzeba zaznaczyć, że Polska należy do najliczniej reprezentowanych krajów na targach MIPIM. Rok temu w Cannes stawili się przedstawiciele prawie 450 polskich miast i firm.

Pomorskie samorządy oraz przedsiębiorcy zaprezentowali na targach łącznie ok. 520 ha terenów przeznaczonych na inwestycje przemysłowe i logistyczne, portowe lub projektowane jako poszerzenie zaplecza wymienionych rodzajów nieruchomości. Oferowano także inwestycje mieszkaniowe, rewitalizacyjne, biurowe i usługowe. Promowano walory obszarów zlokalizowanych bezpośrednio nad Zatoką Gdańską, atrakcyjne zarówno dla branży hotelowej, jak i do zabudowy mieszkaniowej.

W czasie tegorocznych targów Gdynia odebrała tytuły Miasta Przyszłości 2019/2020 – Top 5 Mid-sized Polish Cities of the Future 2019/2020 – Economic Potential i miasta z najlepszym potencjałem ekonomicznym 2019/2020 – Top 5 Mid-sized Polish Cities of the Future 2019/2020 – Overall. Warto wspomnieć, że w rankingu prowadzonym przez brytyjski „Financial Times” wyróżniono to miasto, doceniając takie jego walory jak nowoczesność, przedsiębiorczość i silne powiązanie z morzem.

W raporcie EY’s „European Attractiveness Survey 2017” Polska została uznana za piąty najbardziej atrakcyjny kierunek dla inwestorów w Europie. Wyprzedziły nas Wielka Brytania, Niemcy, Francja i Hiszpania. W 2018 r. wolumen transakcji inwestycyjnych na rynku nieruchomości komercyjnych w Polsce wzrósł o 45 proc., przekraczając 7,2 mld euro. Wskazana wartość obrotów była najwyższa w historii rynku. Zgodnie z prognozami ekspertów za sprawą wzrostu PKB, wysokiego poziomu konsumpcji, a także rekordowo niskiej stopy bezrobocia oraz inwestycjom publicznym w 2019 r. utrzyma się dobra kondycja rynku inwestycyjnego w sektorze nieruchomości komercyjnych.

Według szacunków jednej z największych na świecie firm doradczych Polska stanowi alternatywę dla krajów Europy Zachodniej, ponieważ oferuje produkty wysokiej jakości, o dobrej specyfikacji technicznej, a przy tym o dużo niższej cenie, co jest gwarancją większego zysku, czyli wyższego poziomu zwrotu z inwestycji. Zaangażowanie inwestorów



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

przewidywane jest w sektorze nieruchomości magazynowo-przemysłowych oraz biurowych. Atrakcyjność polskich nieruchomości komercyjnych ma wynikać przede wszystkim z pozytywnej oceny polskiej gospodarki uwarunkowanej stabilnym i pewnym systemem prawnym w obszarze budownictwa. Polskie przepisy regulujące proces inwestycyjny (budowlany) oceniane są jako logiczne i rozwinięte, pozwalające na uformowanie rozwiązań prawnych do oczekiwań rynku. To także obszar prawa, który jest już ukształtowany i w którym ustawodawca nie wprowadza wielu zmian.

Inwestorzy postrzegają nasz kraj jako obszar przewidywalny i bezpieczny. Obawy sprzed kilku lat formułowane m.in. na łamach wspomnianego wyżej „Financial Times”, o groźbie obniżenia poziomu zagranicznych inwestycji w Polsce po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, o czyhającym na przedsiębiorców pogorszeniu koniunktury, okazują się bezpodstawne. Nasz kraj postrzegany jest jako dobra lokalizacja inwestycji, a państwo wspólnie z samorządem terytorialnym i przedsiębiorcami skutecznie promuje nasze walory gospodarcze za granicą. ▀



*Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiam, że
7 marca 2019 r. zmarła*

ŚP BARBARA PIOTROWSKA-DUBIK

*Urodzona 31 maja 1927 r. we Lwowie,
w kwietniu 1940 r. jako córka oficera służby stałej II Rzeczypospolitej
została zesłana wraz z matką i rodzeństwem na Syberię i do Kazachstanu,
gdzie pracowała niewolniczo do maja 1946 r.
Była cenionym lekarzem pediatrą i działaczką społeczną,
współtworzyła struktury warszawskie Związku Sybiraków.
Świadectwo zesłania utrwaliła na kartach wspomnień „Kwiaty na stepie”
oraz w wielu audycjach radiowych i programach telewizyjnych.*

*Była człowiekiem ogromnej dobroci i wielkiego serca.
Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jej Pamięci!*

*Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych*

12/03/19/F

Zebrała **Dorota Łosiewicz**

Ale kosmos!

No wreszcie się doczekaliśmy! Wreszcie objawił się człowiek, który czuje się kosmitą uwięzionym w ciele człowieka. „Jareth Nebula ma 33 lata i pochodzi z Edmonds w stanie Waszyngton. Jareth urodził się jako kobieta, ale w wieku 29 lat zmienił płeć i imię. Okazało się jednak, że to nie koniec jego przemiany. Jareth wyznał, że tak naprawdę nie czuje się ani mężczyzną, ani kobietą, ani nawet człowiekiem. Sam określa się mianem »kosmity«” – informuje Papiłot.pl. Jareth twierdzi, że nie czuje się jak inni ludzie, bo czuje się nie z tego świata. Żałuje też, że utknął w ciele człowieka, choć jest kosmitą bez żadnej płci. To dopiero jest niezły kosmos!



900
mld funtów

– aktywa o takiej wartości przeniosły z Wielkiej Brytanii do innych krajów Unii Europejskiej firmy finansowe. Tak przynajmniej wynika z raportu think tanku New Financial.

29
marca

– tego dnia o północy Wielka Brytania powinna opuścić Unię Europejską.

275
firm

– tyle ich przeniosło część lub całość swojej działalności poza granice Zjednoczonego Królestwa, aby przygotować się na brexit.

Niech żyje Kanada!

Po Kanadzie, w której postępowo panuje miłościwy Justin Trudeau, wszystko można się spodziewać! Nawet tego, że Sąd Najwyższy stanu Kolumbia Brytyjska orzeknie, że ojciec rodziny nie ma możliwości zablokowania szalonego pomysłu swojej córki, która w wieku 14 lat postanowiła zostać... chłopcem. I tak się właśnie stało. A o sprawie informuje m.in. portal pch24.pl. Dziewczynka w związku z planem zmiany płci zgłosiła się do lekarza. Jednak „kuracji” sprzeciwił się ojciec nastolatki. Tu wkroczył sąd, który zdecydował, że sprzeciw rodzica nie może powstrzymać lekarzy od spełnienia życzeń dziewczynki. Teraz 14-latką może przyjmować testosteron i poddać się pseudoterapii hormonalnej, aby nabrać cech męskich i „stać się chłopcem”. Jak tak dalej pójdzie, kanadyjskie sądy zaczną zamykać rodziców, którzy odmówią swoim dzieciom lalki, innej zabawki czy lizaka. Przecież próba wychowywania może skrzywić dziecko na całe życie.



Muzułmanin kanclerzem?

Ralph Brinkhaus, szef klubu poselskiego CDU/CSU w Bundestagu, oznajmił, że nie widzi przeszkód, by w przyszłości funkcję kanclerza Niemiec sprawował muzułmanin. „Warunkiem jest, że będzie on dobrym politykiem i reprezentować będzie wartości i polityczne przekonania CDU” – oznajmił niemiecki polityk. O sprawie informuje m.in. tvp.info. Brinkhaus podał nawet datę. Jego zdaniem muzułmanin mógłby zostać pełniącym obowiązki kanclerzem Niemiec w 2030 r. Boże, chroń Niemcy!



Metoda „na rękę”

Pewna Słowenka odcięła sobie rękę piłą tarczową, by wyłudzić w ten sposób ogromne odszkodowanie. Po dotarciu do szpitala kobieta symulowała wypadek – 21-latkę dowiózł tam 63-letni mężczyzna. „Powiedział, że kobieta cięła gałęzie piłą tarczową i przypadkiem odcięła sobie rękę. Nie przywiózł z sobą jednak uciętej kończyny i ratownicy musieli po nią pojechać. Na szczęście znaleźli i rękę udało się przyszyć z powrotem” – informuje rmf24.pl. Szybko okazało się jednak, że odcięcie ręki nie było wynikiem wypadku. Chodziło o odszkodowanie w wysokości 383 tys. euro od firm ubezpieczeniowych. Kobieta nie zabrała ręki, bo gdyby nie udało jej się przyszyć, wówczas jako niepełnosprawna dodatkowo dostawałaby miesięcznie trzy tysiące euro specjalnego zasiłku. W sprawie zatrzymano cztery osoby, ale dwie wkrótce wypuszczono. Okazało się, że cała rodzina na początku roku wykupiła polisy ubezpieczeniowe w pięciu różnych agencjach. To się nazywa metoda „na rękę”, z tym że ubezpieczyciele na rękę nie poszli, raczej wyludzaczy za rękę złapali. Tym razem za odcięta. 

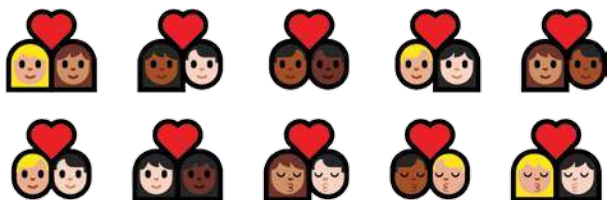


„ Nie będzie mnie na posiedzeniu komisji regulaminowej, poza tym nie wystartuję w jesiennych wyborach do Sejmu – oznajmił Stefan Niesiołowski.

Gdyby to był sezon na mirabelki, to te pospadałyby z drzewa z wrażenia.

Para mocno mieszana

Unicode wprowadzi emoji reprezentujące wszystkie możliwe kombinacje par mieszanych. „W najnowszej bitwie o język emoji Tinder postanowił przekonać Unicode, że mieszane pary też zasługują na reprezentację. I dopiął swego. Panie i panowie będziemy mieli emoji przedstawiające wszystkie możliwe konfiguracje wśród par mieszanych” – informuje Spidersweb.pl. Cieszyć się czy płakać? Przecież bez dodatkowego giga RAM się nie obędzie, bo inaczej tych wszystkich kombinacji nie da się utrzymać w pamięci. 



Fot. Andrzej Wiktor, Facebook.com/jareknieulibry, Shutterstock (x-4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Tajemnice PRL

Wywiad z generałem przeprowadziła dla Onetu Edyta Żemła, moja była koleżanka redakcyjna z „Rzeczpospolitej”. Edka blisko związana z wojskiem jest od lat, z niejednym generałem z jednego kotła grochówkę jadła i piłą bruderszaft z manierki. Jest miłą dziewczyną, więc łatwo jej było zdobywać zaufanie panów oficerów.



**Dominik
Zdort**

Ale nie o Edycie chcę tu pisać ani nawet o generale, lecz o tym, czego się dowiedziałem z tej rozmowy. To wiedza może dla fachowców oczywista, dla mnie jednak zaskakująca. Gen. Radosław Kujawa pracę w wojskowym wywiadzie rozpoczął w roku 1992, a w wywiadzie wspomina m.in. atmosferę w polskiej armii już po likwidacji Układu Warszawskiego w 1991 r., ale przed wejściem do NATO w roku 1999.

Dowiadujemy się więc, że był to okres, kiedy polskie służby arestowały szpiegów – nie tylko rosyjskiego, lecz także niemieckiego i amerykańskiego wywiadu. Co więcej, Polska – również po wstąpieniu do Paktu Północnoatlantyckiego – odmówiła przekazania zachodnim sojusznikom informacji o agenturze PRL na Zachodzie. Choć – czego nie ukrywa gen. Kujawa – ta sprawa była przez niektórych stawiana jako warunek naszego wejścia do NATO i wiele państw ubiegających się o akcesję ujawniło swoje archiwa. Polskie rządy, od Mazowieckiego do Buzka, twardo strzegły tych informacji. Po powstaniu IPN trafiły one do zbioru zastrzeżonego.

Można powiedzieć: to normalne, agentura to cenny instrument państwa, a szpiegów utrzymuje się także w krajach sojuszniczych. Pamiętamy, że np. w 2014 r. Niemcy schwytali u siebie agenta USA.

W sprawie agentury PRL na Zachodzie jest jednak jedno „ale”. Otóż nie ulega wątpliwości, że jej skład osobowy był znany GRU. Do 1991 r. członkiem ścisłego kierownictwa MON był gen. płk Władimir Siwienok, który przynajmniej do roku 1990 wraz z grupą sowieckich współpracowników miał swobodny dostęp do wszelkich zasobów LWP. Być może zajmował się kontrolą jakości czarnej kawy podawanej polskim żołnierzom, ale niewykluczone, że miał także inne zadania.

Nie dowiemy się tego, podobnie jak nie ustalimy, ilu szpiegów pracujących na Zachodzie dla polskiego wywiadu po 1989 r. przejętych zostało przez Rosję, a ilu straciło życie, bo wolna Polska nie chciała skorzystać z natowskiego parasola i wolała zachować dla siebie tajemnice PRL. To jeden z powodów, dla których tak długo III RP zasługiwała na miano PRL-bis.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Kolumb przeciwko PiS

Jedno z ulubionych zdań Hegla brzmiało: „Jeśli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów”. Weźmy przykład. Oto faktem jest, że Leo Messi nie wypowiadał się na temat Polski. Nie jest faktem, jakoby coś mówił o naszym kraju, a tym bardziej jako o państwie quasi-faszystowskim. Tymczasem w wywiadzie dla „Polityki” prof. Śpiewak z lubością skomentował tę fikcyjną wypowiedź piłkarza. To jeszcze nic. Każdemu może się zdarzyć „wpadka”, fejki zbierają ostatnio nieźle żniwo. Ale na tym się nie skończyło. Oto o sprawę przypisanych Messiemu słów zapytano Śpiewaka w Radiu Zet. I profesor stwierdził, że nie zamierza się ani ze swoich wypowiedzi wycofywać, ani niczego odwoływać, ani tym bardziej przeproszać. Że coś jest nieprawdą? Cóż z tego?

„Jeśli antypisowska teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów” – tak powinniśmy w tym miejscu rozszerzyć myśl Hegla. Nigdy tak nie powiedział? I cóż z tego?

Generalnie przyjęło się przecież na salonach, że w PiS należy walić, czym się da – a to kamieniem, a to kupą kamieni. Cel uświęca środki.



**Tomasz
Łysiak**

Ja proponuję jednak rozszerzyć pole ostrzału i wykorzystać kilka innych słynnych wypowiedzi przeciwników PiS. Oto podobno Leonardo da Vinci, malując Giocondę, miał nucić pod nosem o „Konstytucji”, a w pierwotnej wersji planował namalować ją w koszulce „OTUA”.

Mikołaj Kopernik w księdze „O obrotach ciał niebieskich” miał się wyrazić krytycznie o ministerstwie zarządzanym przez Joachima Brudzińskiego (tytuł sugeruje, że chodzi o policjantów drogowki kręcących się pod wpływem środków dopingujących).

W sprawie PiS wypowiadali się także Nelson Mandela, Federico Fellini, Jurij Gagarin, Voltaire, Dante Alighieri, Juliusz Verne, Maria Antonina, Robespierre, cesarz Barbarossa oraz Jan Andrzej Morsztyn.

Wyobraźmy sobie mema z wypowiedzią Krzysztofa Kolumba na temat rządzącej obecnie partii: „Po co PKS? Lepsze są zagłowce”. Może by tak w następnym wywiadzie dla „Polityki” stwierdzić, że środowisko intelektualne odkrywców i podróżników wyraża się krytycznie o pisowskim programie przywrócenia połączeń PKS?

Marsz pudernic

Fanatyk męskości inaczej Robert Biedroń owinął sobie szyjkę szaliczkiem i potupał do studia. Bo telewizja miała wtedy zapotrzebowanie na ofiarę burdy. A on ucierpiał bardzo, bo podwójnie: najpierw był – tu cytat – „pobity przez policję”, a potem „poddany psychicznym torturom”, bo policjanci na komendzie jedli, pili i palili, i nawet go nie poczęstowali. Więc gdy go wypuścili, zwołał konferencję, aby opowiedzieć, jako to szli sobie spokojnie zatrzymać faszystów na Marszu Niepodległości, a mundurowi zamiast nich zaatakowali antyfaszystów...

Po prawdzie pierwszy gej Rzeczypospolitej nie dmuchał tym „faszystom” ani policjantom pudrem z puderniczki w oczy, zatrzymano go z grupą zamaskowanych osobników, którzy obrzucili mundurowych kamieniami. O ile pamiętam, Biedroń miał odpowiadać za czynną napaść na stróża porządku. Nic mi nie wiadomo, czy go posadzili choć na trochę w pudle, ale ja bym go tam nie wsadzał, miałbym wątpliwości, czy byłaby to dla niego kara... – w końcu będąc już posłem na Sejm, sam powiedział w jednym z programów telewizyjnych, że jest mu dobrze wtedy, gdy go boli tylna część ciała. Można rzec, szczerzy aż do bólu.

Już słyszę te spadające na mnie gromy, że wywlekam, że mam homofob, podżegacz przeciw „mniejszościom seksualnym”,



**Piotr
Cywiński**

jak to się ładnie określa. Do kochających inaczej mam taki stosunek, jak kanclerz Konrad Adenauer do byłego szefa niemieckiej dyplomacji, pederasty Heinricha von Brentano: „Póki nie złapie mnie za kolano, jest mi scheissegal” (znaczy tyle co: gównie mnie to obchodzi). Moja tolerancja kończy się wszakże tam, gdzie zaczyna polityka. Oto my, heteroseksualni, mamy dziś do czynienia z homoterroryzmem. Nie tak dawno unijni lewacy z Trybunału Sprawiedliwości orzekli, że „pojęcie małżonków odnosi się również do par tej samej płci”. Otóż nie: są to co najwyżej związki jednopłciowe, koniec, kropka! I mam w nosie takie bezpłciowe orzeczenia!

W kwestii formalnej nic mi do urzędowej rejestracji i przyznania pewnych praw parom pederastów, lesbijek i bliżej nieokreślonych ze środowisk LGBTQ. Problem w tym, że te na tym nie poprzestają. Ich postulaty poparł i wdraża Rafał Trzaskowski, który opowiadał się za zrównaniem praw małżeńskich dla hetero- i homoseksualistów, zanim jeszcze został prezydentem stolicy, ba, zapowiadał nawet, że udzieli ślubu pierwszej jednopłciowej parze. Teraz czekam, aż Trzaskowski rozpocznie osobiste nauczanie i pokaże przedszkolakom, jak sobie robić dobrze. A Biedroń, któremu po prezydenturze w Słupsku marzy się prezydentura w całej Polsce? A Biedroń w rozumie...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Grego nie zrealizował będąc w PZPR
dokończy wstępując w szeregi
LGBT !



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR
KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLIŃSKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ

POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA,
ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŁUK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW
WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTČZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA:
ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSŁYKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIEN'TA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOZNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR (K2), ALEXEY VITVITSKY/SPUTNIK/VEASTNEWS, HADIRAN/
SHUTTERSTOCK.COM, MARTINDALE/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.X3

Nie boję się walczyć o dobre imię Polski

Przyjechałem tu się trochę intelektualnie poboksować, mocno stawiać polskie argumenty. Myślałem, że to będzie prostsze, że nie zdarzą się dyskusje, w których czterech partnerów będzie mi przerywało, powtarzając nonsensy świadczące o nieznajomości sytuacji w Polsce

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. Andrzejem Przylębskim, ambasadorem RP w Berlinie, dyplomatą, filozofem, tłumaczem, wykładowcą akademickim

Spokojnie tu u pana w Berlinie. Z mediów można by wnioskować, że bierze pan udział w jakiejś medialnej wojnie. Co wypowiedź, to awantura, ogłaszany skandal. Wpadki, świadoma strategia czy polowanie na pana?

Andrzej Przylębski: Przede wszystkim polowanie. To się zaczęło tuż po moim przyjeździe. Ale też to, co zastałem w krajobrazie polityczno-medialnym, zakłamanie opisu sytuacji w Polsce, wskazywało od początku, że łatwo nie będzie. Dwa, trzy miesiące po moim przyjeździe zostałem zaproszony do udziału w konferencji naukowej na uniwersytecie w Chemnitz, gdzie zresztą kiedyś pracowałem, byłem profesorem, dyrektorem Instytutu Filozofii. Miałem tam przedstawić rodzaj powitania. Analizując program, zauważyłem jednak, że referat o zmianach w Trybunale Konstytucyjnym w Polsce, a to był temat wtedy gorący, ma wygłosić niejaki Bartosz Wieliński, redaktor „Gazety Wyborczej” – dziennikarz pośród profesorów, prawników, politologów, kulturoznawców, z tytułami naukowymi. Z powodu innych obowiązków nie mogłem tam być osobiście, ale przygotowałem wypowiedź odnoszącą się do kluczowych kwestii. Odczytano ją. Zawarłem tam prawdę,

jak to wszystko wygląda, ile jest mitów i przekłamań w tej pseudoopowieści o Polsce. I od tego momentu zaczął się, trwający do dzisiaj, atak. Każda moja wypowiedź jest oglądana na wszystkie strony, filtrowana pod kątem użycia w jakiejś operacji medialnej, wyciąga się z kontekstu zdania i nimi gra.

Panie ambasadorze, ale wedle mediów obozu III RP to pan wręcz lubi prowokować. Oto zaledwie kilka dni temu, kiedyś szanowana „Rzeczpospolita”, donosi: „Rząd PO w ciągu 8 lat prawie zrujnował kraj – powiedział w Berlinie polski ambasador Andrzej Przylębski”. To mocne sformułowanie.

To dobry przykład, jak te mechanizmy działają. Otóż dwa tygodnie temu wziąłem udział w konferencji w Lipsku na temat przyszłości Europy, w panelu poświęconym mediom. Jeden z dyskutantów bardzo zdecydowanym tonem stwierdził, że jeśli chodzi o korespondentów mediów niemieckich w Polsce, nie ma żadnych wskazówek, wytycznych, sugestii, jak mają pisać, nie ma żadnej ogólnie wytyczonej linii. Po prostu piszą, co myślą. Odpowiedziałem: to dlaczego tak nie pisali i nie myśleli, kiedy koalicja PO-PSL przez osiem lat rujnowała kraj? Dlaczego wtedy nie informowali o tym,

co tak bolało i wzburzało Polaków? O skandalach, aferach, bucie władzy? Nic nie widzieli? Nic nie słyszeli? Taki był sens mojej wypowiedzi, oczywisty dla uczestników. Ale w świat puszczono tylko to, że uważam, iż koalicja PO-PSL zrujnowała kraj. Czy to rzetelne zrelacjonowanie mojej wypowiedzi, czy manipulacja? Każdy może sobie sam odpowiedzieć.

Może mają takie poglądy, są ludźmi lewicy i nie są w stanie dostrzec w rządach obozu Jarosława Kaczyńskiego niczego dobrego?

Mają prawo do swoich poglądów, do swojej oceny, ale nie mają prawa do fałszowania opisu, pomijania pewnych ważnych wydarzeń, nadawania innym, często marginalnym, przesadnego znaczenia. Innymi słowy: nie może być zgody na porzucenie elementarnego warsztatu dziennikarskiego i publicystycznego na rzecz politycznej propagandy, bo to przestaje być dziennikarstwem. O tym mówiłem. Teraz wszystko opisuję jak tragedię, w czarnych barwach. Za Tuska słońce w naszej krainie nie zachodziło nigdy, tak było radośnie. Ale fałszowane są i sprawy szczegółowe. Choćby kwestia połączenia Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 roku, co



przeprowadzono dwa lata temu w Polsce. W większości artykułów informacyjnych na ten temat w ogóle nie pojawiły się argumenty rządu, cytowano wyłącznie krytyków tej decyzji. Teraz odbywa się podobna nagonka w sprawie rozpisania konkursu na nowego dyrektora Muzeum Żydów Polskich „Polin”, czyli procedury, do której każdy rząd ma prawo. Tak nie można. To jest porzucenie standardów, to jest manipulacja europejską i niemiecką opinią publiczną.

Skuteczna manipulacja?

Często niestety skuteczna. Duża część Niemców jest przekonana, że obecny polski rząd kombinuje tylko, jak by tu wyjść z Unii, rozwalić ją. A to przecież piramidalna bzdura, nie ma śladu takiego działania ani myślenia w obozie rządzącym, ba – to formacja proeuropejska, choć wskazująca na konieczność reformy wspólnoty.

Wszystkie media niemieckie są takie same?

Chciałoby się powiedzieć, że nie wszystkie, ale to byłby opis nieprawdziwy. W mojej ocenie wszystkie z bardzo, bardzo nielicznymi wyjątkami mediów o bardzo małym zasięgu. Są „zgląszachtowane”, jednostronne, przesiąknięte ideologią, nierzetelne. I – co najgorsze – ogromnie zamknięte na prawdziwą dyskusję, nawet o Unii Europejskiej. Założenie kłapek na oczy, natychmiastowe i automatyczne potępienie wszystkich propozycji, które nie wychodzą z mainstreamu niemiecko-brukelskiego, bardzo szkodzi Europie. Cieszę się, że na tym tle polskie media są tak wolne, tak rozdyktowane, tak skrzące wolnością. Ale znowu: kiedy odważyłem się powiedzieć, że na tle niemieckich polskie media cieszą się większą swobodą, spotkałem się z odruchowym odrzuceniem tej tezy przez Niemców. Jak to? W Polsce może być większa wolność niż u nich? To a priori wykluczone! A tak przecież jest. W ślad za niemieckimi komentarzami przeczytałem w „Wyborczej” tytuł: „Frankfurcka szarża Przylębskiego”, bo to było na jednym z frankfurckich uniwersytetów. Żadna szarża, obiektywny opis sytuacji.

Z czego w pana opinii bierze się ta różnica między mediami polskimi i niemieckimi?

Decydują trzy czynniki. Po pierwsze, silne przywiązanie Polaków do wolności, po drugie – szukanie przez odbiorców różnorodności. Większe niż w Niemczech – gdzie prasa drukowana wciąż ma wielkie nakłady i siłę – znaczenie mediów internetowych. Oraz – po trzecie – większe zróżnicowanie sceny politycznej. A jest naturalne, że każda siła polityczna pragnie, by istniały także ośrodki medialne sympatyzujące z jej programem. Oczywiście, co podkreśliłem w swym wystąpieniu, ma to też swoją cenę. Poszczególne media bywają kojarzone z konkretnymi ośrodkami politycznymi. W sumie daje to jednak większy pluralizm niż w Niemczech, gdzie np. poglądy partii Alternatywa dla Niemiec są w debacie publicznej przedstawiane w karykaturalnej formie, jako cel szyderstw lub ostrzeżeń. To, ilu Niemców głosuje na AfD, nie ma tu żadnego znaczenia. Ich głosu po prostu nie uważa się za ważny. W Polsce takiego wykluczenia już nie mamy.

I tu znowu cytuję z pana wypowiedzi, przedstawiany jako następna „szokująca” teza: „Kolejna wpadka ambasadora. Przylębski: »Media publiczne to kanał informacyjny rządu«”. Tak podała gazeta pana Michnika. Inni donosili, że stwierdził pan, iż „państwowe media w Polsce są organem komunikacji rządu ze społeczeństwem”. Co miał pan na myśli?

To też wyrwane z kontekstu. Staram się przedstawiać tym, którzy mnie zapraszają do debat i dyskusji, pełen obraz sytuacji w Polsce. Mówiłem, że niemal cały okres po upadku komunizmu o mediach publicznych decydowały rady, w których przewagę miała większość aktualnie rządząca. Tak jest i dzisiaj – można dyskutować, czy to dobrze, czy źle, ale nie mówmy, że to jakaś wyjątkowa sytuacja. Tym bardziej że dwie najsilniejsze telewizje komercyjne reprezentują linię obozu opozycyjnego, czasami bardzo ostro to wyrażając. W tej sytuacji rząd musi mieć kanał komunikacyjny ze społeczeństwem, musi mieć choć szansę, by i jego argumenty w tej przestrzeni wybrzmiały. Co nie znaczy, że media publiczne nie muszą przestrzegać standardów.

Przestrzegają?

W programach informacyjnych i publicystycznych widzę duże staranie, by tak było. Do udziału w dyskusjach zapraszani są przedstawiciele wszystkich najważniejszych partii, każdy ma prawo głosu. Rozkładane jest to uczciwie, połowa z opozycji, połowa z opcji rządowej. I to mimo że Platforma zdecydowała się na bojkot TVP. Mówię Niemcom otwarcie: jako widza niemieckich mediów raz i raz, że standardem jest tutaj dyskusja z udziałem jednego przedstawiciela AfD, czterech jego przeciwników i moderatora, który też często w sposób widoczny daje poznać, że nie lubi tej prawicy. Tak było w Polsce, gdy Prawo i Sprawiedliwość znajdowało się w opozycji. To nie są dyskusje, to jest obijanie przeciwnika. Przykład sprzed kilku dni. Program czolowej niemieckiej dziennikarki Anne Will. Do programu zostaje zaproszona Beatrix von Storch, ważna polityk AfD. Ale tylko po to, by spróbować jej udowodnić, że nie myśli logicznie, produkuje sprzeczności. Podobnie jest z opisywaniem Viktora Orbána, polityka wykształconego, inteligentnego, przenikliwego, z którego próbuje się tu stale robić idiotę. Biorą na przykład pojęcie „nieoliberalnej demokracji” i próbują udowodniać, że to pojęcie wewnętrznie sprzeczne. A przecież jest jasne, że komponent wolności zawarty jest w słowie „demokracja”, że demokracja we władzy ideologii neoliberalnej nie jest jedyną możliwą. Ale nie, Orbán nie może po prostu mieć innych poglądów, nie może nawet się mylić – on ma być pokazany jak idiota. Protestuję zatem. I obrywam.

Może ambasador powinien wyznawać zasadę, że im ciszej, tym lepiej?

Na pewno ambasador musi mówić i działać z szacunkiem dla polemistów. Natomiast jego podstawowym zadaniem jest dbanie o interes państwa polskiego. A dzisiaj, w obliczu

tęgo – powiem otwarcie – zakłamanego ataku propagandowego na Polskę nie ma ważniejszej sprawy niż obrona dobrego imienia naszego kraju. Obrona prawdy o tym, co się w Polsce dzieje. Czynie to i będę czynił, dopóki będę mógł. Nie dam się zastraszyć, nie ulegnę tym nagonkom ani manipulacjom. Ale jest też powód szerszy, bo mam odwagę powtórzyć za profesorem Ryszardem Legutką, że my stanowimy dla Europy pewną szansę, niesiemy ważny przekaz wolności, pamięci o chrześcijańskich korzeniach kontynentu, rozumienia znaczenia rodziny, gdzie człowiek rodzi się niejako „dwa razy”: najpierw biologicznie, a potem kulturowo. Ale i państwa, bo jako filozof wiem, że bez państwa przywracającego moralność na wyższym poziomie system społeczny się degeneruje, zwyczajnie okrutna natura rywalizacji.

Ambasador walczący?

Tak – ambasador walczący o dobre imię Polski, także przy pomocy Kanta, Fichtego czy Hegla. Ale czy Rzeczpospolita Polska w ogóle potrzebuje innych? Zwłaszcza dzisiaj? Współpracowałem z trzema poprzednimi ambasadorami Rzeczypospolitej w Berlinie. Uznałem jednak świadomie, że mój styl powinien być inny, że przyjechałem się tu trochę intelektualnie poboksować, mocno stawiać polskie argumenty. Myślałem, że to będzie prostsze, że nie będzie dyskusji, w których czterech partnerów będzie mi przerywało, powtarzając nonsensy świadczące o nieznanym sytuacji w Polsce, powielając wyłącznie kalki z „Wyborczej”. A tak się zdarza, ostatnio w Lipsku. Ale trudno – robię swoje, konsekwentnie, z uśmiechem.

Zdarzają się i takie ataki na pana jak ze strony pana Siemoniaka, który rzuca lekko: „Czego się spodziewać po pisowskim ube ku”. Jak pan odpowiada?

To obrzydliwe, nie byłem żadnym ube kiem, byłem człowiekiem Solidarności. A materiały archiwalne jasno dowodzą,

że mimo prób zwerbowania mnie przez SB żadnej współpracy nie podjąłem. Sprawa jest dawno wyjaśniona, czego moi przeciwnicy nie chcą przyjąć do wiadomości. Przypomnę, że prokurator po dokładnym zbadaniu materiałów i sześciogodzinnym przesłuchaniu mnie doszedł do wniosku, iż materiał dowodowy nie pozwala nawet na przesłanie sprawy do sądu. Złożyłem zgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. W tle pewnie jest moja żona. Niektórzy uważają, że atak na mnie to dobry sposób na uderzenie w prezes Trybunału Konstytucyjnego Julię Przyłębską. Chodzi też o osłabienie mojej pozycji jako dyplomaty. Wiem, że były na mnie różne donosy do niemieckich instytucji. Są one jednak traktowane jako niegodne zdarzenia i nie mają skutków. Sprawa jest zamknięta.

Duża część Niemców jest przekonana, że obecny polski rząd kombinuje tylko, jak by tu wyjść z Unii, rozwalić ją. A to przecież piramidalna bzdura, nie ma śladu takiego działania ani myślenia w obozie rządzącym

To intencja. A skutek? Można się przebić przez ten mur?

Nie ukrywam, że to trudne, ale widzę też zmiany w kierunku pozytywnym. Przede wszystkim prysło złudzenie, że zmiana w Polsce miała charakter incydentalny, że marsze opozycji wymuszają anulowanie wyniku wyborów. Teraz jest świadomość, że polityka obozu Jarosława Kaczyńskiego ma poparcie ogromnej części Polaków, że to jest trwałe. Za tym idą zainteresowanie, gesty w kierunku zbudowania jednak dobrych relacji. To ważne dla Niemiec, bo potrzebują sojusznika mogącego pomóc w przeciwstawieniu

się kolejnym pomysłom Francji, która chce reformować Unię, ale oczywiście tak, by to jej najbardziej służyło. Zaczynają więc zerkać w naszą stronę. Ostatnie konsultacje międzyrządowe w Warszawie też można uznać za udane. Nawet minister sprawiedliwości mówiła, że wiele się dowiedziała od polskiego odpowiednika o naszym sądownictwie, że dużo zrozumiała. Niestety im dalej od tych spotkań, tym mocniej znowu wraca do tezy jak z „Wyborczej”. Może trzeba to spotkanie powtórzyć, bo nacisk mediów, by opisywać Polskę na jedno kopyto, jest potężny. Każdy się boi wychylić.

Szkoda, że w niemieckich elitach i mediach nie znalazł się nikt, kto by dał inny obraz, choćby bardziej zniuansowany. Dlaczego tak się stało? Nie pozwolono im?

Trudno mi to ocenić, faktycznie jest w tym jakaś stadność. Często mawiam: czterech nakręconych politycznie korespondentów mediów niemieckich w Polsce zniszczyło po jedynawczą pracę ostatniego ćwierćwiecza. W kółko ta sama płyta: autorytaryzm, populizm i skopiowane wstępniaki z „Wyborczej” jako rzekome opisy sytuacji. Dla Polaków to gorzkie doświadczenie. Okazało się bowiem, że Niemcy nie widzą w nas wolnego sąsiada, który ma prawo w ramach demokracji wybrać niewygodną nawet dla nich siłę polityczną, ale rzucają wszystkie środki, aby wspierać tych, którzy są wobec nich bardzo ugodowi, ulegli. Za łatwo, niemądze ulegli tej pokusie. To ma i nadal może mieć negatywne konsekwencje.

Wciąż jesteście dla nich jakimś zapóźnionym cywilizacyjnie Słowianami godnymi reedukacji?

Raczej wyczuwają, że można nas rozegrać, że wewnątrz kraju są siły polityczne dające się tak używać. Że mają swoje usługujące portale i gazety. To jedna strona medalu. Jest i druga: ten rząd pierwszy, nawet przy tych wszystkich zadrach i konfliktach, wyrąbuje, wywalczy sobie szacunek. Bo dba o polski interes narodowy – to Niemcy,

bez względu na to, co powiedzą oficjalnie, szanują. Teraz przed nam ważny test wzajemnych relacji – okrągły stół dotyczący mniejszości, który odbędzie się zapewne w czerwcu. Liczy ona ponad milion osób, a państwo niemieckie wydaje na jej wsparcie wielokrotnie mniej niż państwo polskie na niewielką mniejszość niemiecką w Polsce. Musimy to zmienić.

Nie jest to syzyfowa praca?

Walczę o to od dwóch lat. Przekonuję Polaków tutaj, że muszą mi zaufać i mnie wesprzeć. Mają złe doświadczenia – było wcześniej, że polscy urzędnicy i dyplomaci zbijali ich argumenty, co mocno kontrastowało z doskonale przygotowaną przez rząd niemiecki mniejszością niemiecką w trakcie takich spotkań. Potrzeby są duże – choćby wsparcie dodatkowej edukacji polskiej, niedzielnej, weekendowej w szkołach społecznych czy prywatnych. Na to jest ogromne zapotrzebowanie, dziś Polacy płacą za to z prywatnych kieszeni. Wy tłumaczę, że za to wszystko odpowiadają landy i rząd federalny nic nie może, już nikogo nie przekonuje. Efektem jest rażąca dysproporcja w wydatkach i to trzeba zmienić. Zabiegam też o pewne zdywersyfikowanie wymiany młodzieży. Dziś ogranicza się ona niemal wyłącznie do spotkań polskiej proeuropejskiej, z natury lewicującej młodzieży z taką samą młodzieżą niemiecką. Czy nie miałoby sensu włączenie w tę wymianę polskiej młodzieży patriotycznej? Tych wspaniałych młodych ludzi, którzy każdego roku zapelniają 1 sierpnia Powązki Wojskowe? To byłoby prawdziwsze i skuteczniejsze.

Polonia jest propisowska czy pro-rządowa?

Ambasador jest dla każdego i każdemu chce służyć, ale podział jest oczywisty, podobny jak w Polsce. Zmiany w naszym kraju budzą ogromne emocje.

To dobry moment, by wrócić do początku rozmowy. Czy wedle pana profesora ekipa PO-PSL zrujnowała Polskę?

W tym sensie, że były to rządy dla naszej ojczyzny niedobre, które wiele ob-

szarów zniszczyły, zaniedbały, to tak. Sądzę, że nawet ludzie niechętni z różnych powodów obecnie sprawującym władzę muszą przyznać, że oni lepiej sobie radzą z zadaniami, umieją pilnować budżetu, rozkręcać produkcję, zatrudnienie, dbać o kulturę narodową, pilnować interesu państwa. To obiektywna prawda, mająca odzwierciedlenie w twardych danych gospodarczych i statystycznych. Inna sprawa, czy to się podoba wszystkim naszym sąsiadom. Zapewne nie, niektórzy woleliby Polskę słabą, powolną, uległą.

Taką, która pozwalałaby np. pani Ludmile Kozłowskiej na robienie w Polsce skandalicznych rzeczy. Ale kiedy Polska uznała ją za zagrażającą bezpieczeństwu narodowemu, to Niemcy ostentacyjnie zaprosili ją do siebie. Czysta złośliwość.

Rozmawiałem o tej sprawie z kilkoma politykami. Czują niezręczność sytuacji, ale zwycięża emocja polityczna. Jeden z ważnych polityków powiedział mi już w roku 2016: „Wiążemy z KOD wielkie nadzieje, to wspaniały ruch”. Zapraszano tu i fetowano pana Mateusza Kijowskiego, był prezentowany jako nowy Wałęsa. Ale kiedy się skompromitował, po prostu zniknął. Zaczęto, bez słowa wyjaśnienia, zapraszać i fetować innych.

Może warto Niemcom przypomnieć, że u siebie z komunizmem rozliczyli się brutalnie: nie chcieli służb specjalnych z NRD, większości sędziów, oficerów, pracowników akademickich. Dlaczego nam zabraniają, posługując się hasłem o prawach człowieka, dokonać dużo mniej zawansowanych zmian?

Ten argument podnoszę, mówił też o tym premier Mateusz Morawiecki i to ma swoją wagę. Ale nie przekłada się na refleksję, że dochodzące z Polski odgłosy protestów mogą mieć takie właśnie tło. Tego Niemcy nie umieją zrozumieć, bo enerdownscy dekomunizowani funkcjonariusze nie protestowali. Po prostu zniknęli z przestrzeni publicznej.

Skoro zahaczyliśmy o historię. Powiedział pan, że „sto lat niemie-



ckiej polityki wobec Polski okazało się katastrofą”. Zarzucono panu, że nie docenia pan cudu pojednania, wysiłków. Trudno jednak uznać, że te sto lat było dla Polaków sukcesem.

Konferencja, na której to wypowiedziałem, była dość osobliwa. Już tytuł zaskakiwał: „100 lat polityki niemieckiej wobec Polski”. Nie „wzajemnych relacji”, ale właśnie Niemiec wobec Polski.

Imperium postanowiło spojrzeć wstecz?

Odebrałem to jako konferencję naukowohistoryczną, ta jednokierunkowość mogła uchodzić za poznawczo uzasadnioną. Poproszono jednak Ambasadę RP w Berlinie o oficjalny udział. Rozważaliśmy to, ale kiedy zaczęła się wykluczać lista uczestników, wycofaliśmy się. Polscy uczestnicy w zdecydowanej większości wyłącznie z jednej strony, skłonni do relatywizowania niemieckich zbrodni, usłużni wobec też niemieckich, całe życie korzystający z niemieckiego wsparcia: niemieckie stypendia, niemieckie staże, niemieckie profesury. Gdy zaproponowałem naszego kandydata, został odrzucony. Zredukowałem zatem nasz udział do minimum. Strona niemiecka bardzo



Fot. Andrzej Witko

zabiegała, żebym się na tym spotkaniu pojawił i otworzył je z ministrem Maasem. Postanowiłem wykonać ten gest. Dla mnie była to konferencja historyczna, koncentrująca się na tym, co wydarzyło się po 1918 r. Postawiłem w swoim wystąpieniu mocną tezę, że ani „List biskupów polskich do niemieckich” z 1965 r., ani przyjazd kanclerza Brandta do Polski nie były przełomem w naszych relacjach. Było nim dopiero powstanie Solidarności i jej oświadczenie, że nie ma nic przeciwko zjednoczeniu Niemiec. Ten najważniejszy impuls naprawy relacji umieściłem więc po polskiej stronie, co oczywiście wywołało irytację. Nikt nie pochylił się nad tą tezą, zamiast tego zaczęto się pastwić nad skrótowym sformułowaniem, że te sto lat było w naszych relacjach bardzo trudne. Nie tylko podczas wojny, lecz i przed nią, i po niej. Oczywiście nie mówiłem o okresie po 1989 r.

Bo w wizji niemieckiej wsparcie udzielone Polsce po roku 1989 było skutecznym i ostatecznym zma-
zaniem dawnych win? Co zresztą
przeraża, bo tych zbrodni, których
dopuszcili się w Polsce, nie mamy
prawa relatywizować, zapominać
za żadne pieniądze. To są niewspół-
mierne w ogóle rzeczy.

To może nie jest miejsce na taką dyskusję, ale ten rachunek wsparcia Polski po 1989 r., niewątpliwie bardzo cennego dla nas, też wymaga jeszcze dokładnego podliczenia. Rozszerzenie Unii Europejskiej o Polskę było także w interesie Niemiec, przyniosło im wymierne korzyści – otwarte rynki, rozwój wymiany handlowej. To z tego między innymi powodu dzisiaj tak świetnie funkcjonują.

I twierdzą, że do nas – poprzez
unijne dotacje – dopłacają.

Są wyliczenia, że z każdego euro dotacji płynących do Polski 80 eurocentów wraca do Niemiec. O dopłaceniu lepiej więc nie mówić. Ale tego społeczeństwo niemieckie nie wie. Nawet ludzie wykształceni mają często bardzo prostą wizję: my dajemy, a oni tylko biorą i nie chcą się podporządkować, stawiają jakieś własne tezy, mają też swoje idee i cele. Ostatnio bardzo przybierają na sile ataki na premiera Węgier. Często słyszę, jak byłoby wspaniale, gdyby nie ten Orbán. No i oczywiście Kaczyński.

Ciekawe, jak łatwo umyka to, co
dla nas jest oczywiste: że integracja
z Zachodem niesie też pułapki, że
łatwo przy takiej dysproporcji sił,
znaleźć się w roli kraju półkolonial-

nego, niezdolnego do samodzielnej
polityki gospodarczej, do obrony
własnego potencjału demograficz-
nego, kulturowego. Naprawdę nie-
miecka politologia i socjologia nie
są w stanie dostrzec tych, dla nas
bardzo groźnych, niebezpieczeństw?

Niektórzy najwybitniejsi niemieccy politycy to dostrzegają. Starają się zrozumieć. Ale w tym uproszczonym obrazie medialnym to często jest poza skalą możliwych tematów. Podobnie jak rozsądne zmierzanie się z tematem niewypłaconych Polsce odszkodowań za zniszczenia i zbrodnie z okresu II wojny światowej.

To kolejny gorący temat w relacjach
polsko-niemieckich. Jak pan ocenia
tę sprawę, sposób jej podjęcia, szanse
na pozytywne dla Polski zakończe-
nie? Ten temat leży na stole? Kładzie
go pan w swoich rozmowach?

W rozmowach z politykami niemieckimi nie poruszam na razie tego tematu, oni też go nie poruszają. Ostatnio na spotkaniu komisji spraw zagranicznych parlamentów niemieckiego i polskiego mówił o tym poseł Arkadiusz Mularczyk, który precyzyjnie i kompetentnie przedstawił polskie stanowisko. Został wysłuchany, informacja została przyjęta do wiadomości, ale nikt się do tego nie odniósł. Obie strony chyba uznały, że Polska temat podniosła, postawiła jako problem i obecnie przygotowuje argumentację prawną, wyliczenia, dokumentację. Bez wątpienia sprawa jest po stronie niemieckiej bardzo przeżywana, a decyzje polskie oczekiwane. Pojawiają się też emocje. Na moim niedawnym spotkaniu publicznym z grupą Niemców, poświęconym relacjom polsko-niemieckim, ten temat zupełnie niespodziewanie zdominował dyskusję w sposób bardzo negatywny. I właściwie nie ma po stronie niemieckiej wielu głosów, które by nasze racje podzielały.

Jak Niemcy do tego podchodzą? Jak
odczytują powrót przez Polskę do
tej bolesnej dla nas sprawy? Widzą
w tym coś złego?

Wydaje mi się, że dominują dwie emocje. Pierwsza to obawa przed wszelkim



Niemcy nie widzą w nas wolnego sąsiada, który ma prawo w ramach demokracji wybrać niewygodną nawet dla nich siłę polityczną, ale rzucają wszystkie środki, aby wspierać tych, którzy są wobec nich bardzo ugodowi, ulegli

wzbudziło też we mnie niedawne wystąpienie niemieckiego historyka Raphaela Utza, który ten brak wiedzy o zbrodniach popełnionych przez Niemców w czasie wojny podniósł i przyznał, że także „sposób, w jaki po wojnie obchodzono się ze zbrodniami wojennymi, jest dla Polaków powodem do gorzkiej refleksji”, a dla Niemców „powodem do wstydu”. Liczę, że to zwiastun zmiany nastawienia.

Na pewno nie potwierdziło się to, czym nas straszono: że samo podniesienie tematu będzie katastrofą dla relacji polsko-niemieckich. Warto mówić prawdę.

I warto przypominać także niewyobrażalną skalę grabieży Polski przez Niemców. Moim rozmówcom czasami opowiadałem o rodzinie mojej żony, której dziadek, urzędnik w II Rzeczypospolitej, zbudował w Bydgoszczy dom, dwupiętrowy, bo także z myślą o przyszłych rodzinach małych jeszcze dzieci. Skończył w sierpniu 1939 r. W październiku weszła tam brutalnie rodzina niemiecka, wyrzuciła ich, nie pozwalając niczego zabrać. Wojnę przeżyli w piwnicy u rodziny naprzeciwno. Gdy Niemcy uciekli, a oni weszli do swojego domu, zastali pustkę: wszystko zrabowane, od mebli po sztuce. Tylko ciężkiego stołu, przykręconego do podłogi, wziąć nie zdołali. Albo skrzypce z pracowni Stradivarius: przed wojną było ich w Polsce sporo, po wojnie żadnych – zrabowane, do dziś grają gdzieś w Niemczech.

Nasza pamięć o tym, co nas spotkało w czasie wojny, wyraźnie zderza się z narracją promowaną przez niemiecką politykę historyczną. Wedle tej konstrukcji nazizm był odmianą szaleństwa, które panowało w całej Europie i każdy ma coś do rozliczenia, każdy naród był winny, każdy popełniał te zbrodnie. Czy ta linia w Niemczech już wygrała?

Co do polityki historycznej, Niemcy najczęściej w ogóle kwestionują, że coś takiego prowadzi. Po prostu – do wódz – mówią prawdę. Na pewno opisany przez panów przekaz jest mocno obecny w sposobie pamiętania o II wojnie światowej. Dużo zależy od

wracaniem do wydarzeń z czasu II wojny światowej. Uważają, że się z tego już rozliczyli, są nowe Niemcy i nowa Europa, i nie widzą potrzeby otwierania tego przykrego rozdziału. Drugi element to obawa przed pojawieniem się kolejnych roszczeń. I tutaj widać dużą niewiedzę historyczną, bo mało kto wie, w jak różnej od innych państw Europy Środkowo-Wschodniej sytuacji była Polska, kraj od początku do końca należący do koalicji antyhitlerowskiej, kraj niszczoney w sposób bezprecedensowy.

Ten moralny dług wobec Polski w świadomości Niemców nie istnieje?

Wiedza o tym, czego dopuścili się Niemcy hitlerowskie w Polsce na Pola-

kach, jest niestety niewielka. Potwierdzają to niemieccy historycy. Widać też wyraźną tendencję redukcjonowania II wojny światowej do Holocaustu, czemu się stale przeciwstawiam. Stąd słyszałem np. głosy, że społeczeństwo niemieckie tego nie zrozumie, oburzy się, bo nie wie nic o skali niemieckich zbrodni na Polakach. Cóż, może więc warto zacząć od opowiedzenia Niemcom o tym, co się w Polsce działo? Warto przypomnieć, że ta sprawa nie została zamknięta? Umożliwiające to narzędzia niemieckie państwo bez wątplenia ma. Z drugiej strony kilku posłów wyraziło w rozmowie ze mną opinię, że dobrze byłoby to zamknąć, bo bez tego o prawdziwym przełomie w relacjach z Polską trudno będzie na dłuższą metę mówić. Duży podziw

Fot. Andrzej Wiktoria

uczuciowości intelektualnej i wrażliwości moralnej poszczególnych ludzi. Jako Polacy nie mamy wyjścia – musimy bronić prawdy o losie naszych przodków, nic i nikt nas z tego nie może zwolnić, nie mamy prawa przystać na określanie sprawców jako wyłącznie „nazistów”. Oni mieli narodowość.

Dobrym narzędziem przywracania pamięci byłby pomnik polskich ofiar niemieckich zbrodni. I tu od razu dwa mocne rozczarowania: że takiego pomnika dotąd nie ma i że taki chłód budzi pomysł jego wybudowania.

Jest pomnik „polskiego żołnierza i niemieckiego antyfaszysty”, który powstał jeszcze w NRD. Ale to nie jest coś, co oddaje prawdę. Teraz 1 września, w rocznicę, która zresztą w Niemczech nie jest traktowana jako tak samo ważna, jak 8 maja, składamy kwiaty na wojennym cmentarzu brytyjskim, gdzie są też groby trzech polskich pilotów. Widać wyraźny brak miejsca, które by tę pamięć o polskich ofiarach ucieleśniało. Jest inicjatywa w tej sprawie, petycja ok. 100 znaczących osób dla relacji polsko-niemieckich, złożona oficjalnie w Bundestagu. Ale nic się nie dzieje, nie przenosi się to na wyższe półki, mimo poruszania tej kwestii przez delegacje z Polski. Być może mający tu władzę uruchomienia dalszych działań, generalnie życzliwy Polsce, pan Wolfgang Schäuble obawia się odrzucenia projektu i idącej za tym kompromitacji? Nie wiem. Słyszę jednak głosy z niektórych frakcji, że czas pomników się skończył, że lepiej zrobić muzeum interaktywne, a najlepiej prezentację całego tysiąca lat relacji polsko-niemieckich. Pojawił się jeszcze inny pomysł: jeśli pomnik, to może wszystkich ofiar z Europy Środkowo-Wschodniej. To oczywiście rozmyłoby to całą ideę, a takie muzeum też budowano by pewnie wiele lat.

Ma pan wizję, jak pomnik mógłby wyglądać?

Tak. Jest nawet wstępnie rozważana lokalizacja – naprzeciwko budowanego Muzeum Wypędzeń. Widziałbym to jako obelisk, pod którym znajdowałaby się interaktywna izba pamięci, pokazu-

jąca Polaków rozstrzelanych, mordowanych, rabowanych.

Panie profesorze, jak zatem z tego wyjść? Z jednej strony mamy Niemcy tęskniące za uległością rządu w Warszawie i naszą świadomość, że powrotu do tego być nie może. Z drugiej rozumiemy, że dobre relacje z Niemcami są bardzo ważne, konieczne, by rozwiązać wiele problemów naszych i Unii Europejskiej. Jak z tego wybrnąć?

Liczę na zmiany w Parlamencie Europejskim, większe zrównoważenie sił, wzmocnienie strony konserwatywnej. Sądzę, że jest to możliwe już po najbliższych wyborach. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, by Viktora Orbána wyrzucano z Europejskiej Partii Ludowej, bo wtedy, jak sam sugeruje, wzmocniłby konserwatywne skrzydło tworzące dzisiaj grupę Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Także w samych Niemczech sporo się może zmienić. Powstanie i sukces AfD, choć oficjalnie odrzuconej przez establishment, już nieco zmieniło klimat. Pojawiły się w dyskusji nowe tematy i argumenty, przynajmniej wybrzmiały, mimo zakrzykiwania. Widać to było chociażby w trakcie dyskusji nad paktem migracyjnym ONZ. Wskutek oporu AfD społeczeństwo zauważyło, co się może wydarzyć, że szykuje się migracyjny szok. W Bundestagu odbyła się dzięki temu ważna dyskusja. Oczywiście, sama AfD musi też przemyśleć swoją postawę, jednoznacznie odciąć się od wszelkich ciągów ekstremistycznych i prorosyjskich sympatii. Ale sądzę, że droga do tego, by stała się dużą partią ludową, jest otwarta.

Kilka tygodni temu opublikowaliśmy na łamach „Sieci” wywiad z Georgiem Pazderskim, liderem berlińskiej AfD. Bardzo rozsądny człowiek, partner do poważnej rozmowy – mimo różnic. Ale czy założony przez establishment kordon sanitarny wokół AfD nie zostanie w Niemczech utrzymany?

On już trochę pęka. Ale to decyzja niemieckich wyborców, nikt za nich pluralizmu nie obroni. Tu muszę po-

wiedzieć o swoim dużym rozczarowaniu. Jechałem do narodu poetów i filozofów, narodu wręcz celebrującego debatę. Takie były moje doświadczenia akademickie z niemieckimi partnerami. Niestety, obecnie gotowość do wejścia w szczerą rozmowę, wymianę argumentów, prawdziwą debatę jest bardzo niewielka. Poczucie panowania nad mediami, tu w Niemczech i nad dużą częścią w Polsce, skutecznie kusi wielu polityków niemieckich. Zdają się uważać, że po co przekonywać, jak można zakrzyczeć, spuścić medialne lanie, sięgnąć po siłę. Przykro patrzeć, jak wiele jest strachu przed powiedzeniem czegokolwiek niepoprawnego politycznie, niezgodnego z oficjalną linią. Nawet otwartej dyskusji z udziałem filozofów konserwatystów nie można już zorganizować, bo tutejsza profesura obawia się krytyki z własnych szeregów. Podkreślam jednak: mimo tych rozczarowań nie zmienię swojego nastawienia.

Wyborcy w Polsce w 2015 r. umieli zagłosować wbrew mediom i establishmentowi. Powtórne zwycięstwo prawicy przyniosłoby jej uznanie w Niemczech?

Na pewno byłoby łatwiej rozmawiać, bo to byłby wyjątkowo silny mandat. W odwrotnym scenariuszu wysiłki na rzecz wzmocnienia polskiej suwerenności i podmiotowości pójdą niestety na zmarowanie, a manipulacja medialna znowu zostanie podniesiona do rangi prawdy. Mówilem o tym na wspomnianej już konferencji we Frankfurcie: trzy media wydawane w Polsce przez kapitał niemiecki – „Fakt”, „Newsweek” i Onet – a także imperium Agory codziennie produkują materiały o nadchodzącej katastrofie, o czyhającej jakoby za rogiem tragedii, o kolejnych zagrożeniach. Oczywiście wskutek działań obecnego rządu. To się nie potwierdza, ale odbiorca już się o tym nie dowiaduje, dostaje za to kolejną dawkę strachów. Warto obserwować i analizować niemiecki przypadek, bo wtedy naprawdę docenia się to, co mamy dziś w Polsce: wolność, różnorodność, wielu odważnych ludzi domagających się prawdy i jej poszukujących.

Czy tym razem Soros się przeliczy?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wszystko wskazuje na to, że rozpoczynająca się właśnie kampania wyborcza do Parlamentu Europejskiego zostanie wykorzystana przez liberalną lewicę do ofensywy na rzecz przebudowy polskiego społeczeństwa. Polacy mają dziś wolny wybór, mogą więc zdecydować, jakiej chcą przyszłości. Muszą mieć jednak świadomość konsekwencji tego wyboru. Bo może się okazać, że potem nikt nie będzie ich już pytał o zdanie

Stawka w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego jest wysoka. To prawdopodobnie najważniejsze wybory europejskie od czasu przystąpienia Polski do UE. I nie chodzi tylko o to, że ich wynik – tu, w Polsce – może znacząco wpłynąć na jesienne wybory do Sejmu. Nie ma chyba wielkiej przesady w słowach szefa sztabu kampanii wyborczej PiS Tomasza Poręby, który podczas ostatniej konwencji tej partii w Jasionce stwierdził, że rezultat tegorocznych wyborów może przesądzić o tym, „jak będzie wyglądała Polska za 10, 20, 30 lat, kto będzie wychowywał nasze dzieci, kto będzie sprawował władzę w oparciu o jakie wartości i o jakie podstawy”.

ANTYWOLNOŚĆ

Od wielu lat ścierają się dwie przeciwstawne koncepcje Europy i wolności zarazem. To spór cywilizacyjny. Liberalna koncepcja Europy zakłada dziś



ściłą ideologizację i standaryzację społeczeństw. W ujęciu współczesnych liberalistów wolność już dawno przestała być taka, jaką w przeszłości postrzegali klasycy tego nurtu. Granice wolności wyznaczone kiedyś w miejscu, w którym zaczynały naruszać cudze prawa, są unieważnione. Wynikające z tej myśli i wyrażane jeszcze przez Monteskiusza przestrogi, aby uszanować istniejące różnice między narodami i nie tworzyć uniwersalnego modelu prawa, zostały dawno zarzucone. Dziś wolność rozumiana jest jako wolność od dotychczasowych norm społecznych i kulturowych – wręcz ich całkowite odwrócenie. Prowadzi to do powtórnej barbaryzacji społeczeństwa, do unieważnienia jego autonomicznych praw i – w rezultacie – do zniewolenia.

Druga koncepcja (nazwijmy ją umownie konserwatywną) wręcz przeciwnie – dąży do zachowania istniejących różnic, a wolność pozostaje tutaj tym, czym zawsze była, i polega na wolnym wyborze.

Inaczej mówiąc, mamy dziś do czynienia z gigantyczną manipulacją językiem i odwróceniem pojęć. Ci, którzy ogłosili się wyznawcami wolności i różnorodności, w rzeczywistości są zwolennikami zniewolenia i uniformizacji. Wśród nich są z pewnością rzesze takich, którzy szczerze wierzą, że budują nowy, lepszy świat – w komunizmie też ich nie brakowało – ale nie świadczy to, delikatnie mówiąc, dobrze o ich zdolnościach intelektualnych. Jest też cała sfera bezbarwnych konformistów obstawiających zwycięstwo nowych ideologii. Nikogo z nich to nie usprawiedliwia, służą bowiem złej sprawie.

WRÓG PUBLICZNY

Celem tej dokonującej się na naszych oczach rewolucji społecznej nie jest jednak lepszy świat, lecz władza. Unię Europejską rozrywają dziś liczne konflikty interesów. Dawną ideę solidarności zastąpił brutalny darwinizm, w którym zawsze wygrywa ten, kto ma większe zasoby. A w Unii najwięcej zasobów ma sprawująca władzę liberalna oligarchia. Ta międzynarodówka oli-

garchów tworzy – jak to kiedyś trafnie określił Dariusz Karłowicz – rodzaj funkcjonalnej arystokracji, ponadnarodowy sojusz progresywnej ideologii i wielkiego kapitału.

Nic zatem dziwnego, że każdy, kto próbuje kwestionować istniejące status quo, staje się natychmiast wrogiem publicznym. Przy czym linie podziału nie idą wzdłuż granic, ale w poprzek. W Polsce na cenzurowanym jest PiS, ale jego oponenci są już „po właściwej stronie”. Doskonale widać to na przykładzie Francji, która od wielu miesięcy jest widownią wielotysięcznych gwałtownych demonstracji zwolowanych przez spontaniczny ruch „żółtych kamizelek”. W przeciwieństwie do polskiej opozycji, która cieszy się niczym

Europa się jednoczy – to fakt – ale zdaniem Sorosa idzie to w złym kierunku. Bo Europa wbrew liberalnej oligarchii nieustannie ciąży ku demokracji

nieskrępowaną wolnością, a jej jedynym zmartwieniem jest utrata władzy, francuskie „kamizelki” nie mogą liczyć na żadne gesty solidarności ani współczucia ze strony europejskiego mainstreamu. Funkcjonalna arystokracja, do której w Polsce aspirują środowiska antypisowskiej opozycji z PO na czele, wykazuje bowiem wewnętrzną solidarność w interesie całej grupy. Dlatego Emmanuel Macron – będący prominentnym przedstawicielem tego środowiska – może sobie pozwolić na wiele. Jego upadek byłby dużym wyzwaniem dla liberalnych elit, bo nie mogą one dopuścić do utraty tak ważnego ogniwa, jakim jest Francja.

Oznacza to jednak również, że także Polska stała się bardzo ważna dla liberalnego mainstreamu. Jej potencjał i znaczenie regionalne są znacznie większe,

niż nam się wydaje. Staliśmy się bowiem – chcąc nie chcąc – jedną z ostatnich liczących się jeszcze sił blokujących realizację liberalnego projektu Europy. I przyczyną nie jest tutaj rząd PiS, lecz ciągle odmienne od zachodnich przekonania większości społeczeństwa, które wyniosły tę formację do władzy. Nie wystarczy zatem pozbyć się PiS, trzeba jeszcze przeformatować umysły – czy to indoktrynacją i propagandą, czy ideologiczną pałką oraz zmianami prawa – żeby utrwalić przynależność Polski do głównego nurtu i nie dopuścić tym samym do tego, aby „antyliberalna zaraza”, której poszczególne ogniska występują w całej Europie, połączyła siły i przekształciła się w wybuch epidemii.

SOWIECKA LEKCJA

Przed tym scenariuszem przestrzegał niedawno George Soros, dawny spekulant giełdowy, a dziś główny sponsor i promotor progresywnej międzynarodówki. W artykule opublikowanym w lutym tego roku dla „Project Syndicate” namawia on wprost liberalną oligarchię do rozpoczęcia wielkiej ofensywy w obronie jej monopolistycznej władzy (choć oczywiście nie używa takich sformułowań). Narzeka na „praktyczną niemożność zmian traktatowych oraz brak narzędzi prawnych do dyscyplinowania państw członkowskich”, zarzucając tym samym unijnym elitom, że nie wypracowały dotąd instrumentów, które pozwoliłyby im na pacyfikowanie opozycji wewnątrz Unii.

Manifest Sorosa – choć pełen werbalnej troski o los Europy – jest w rzeczywistości nawoływaniem do utworzenia na kontynencie represyjnej struktury niedopuszczającej jakichkolwiek odstępstw od obowiązującej ideologii. W tym kontekście znacząco zabrzmiały jego słowa, że jeśli Unia nie zmobilizuje się teraz do walki, to czeka ją los, który w 1991 r. spotkał Związek Sowiecki. Przypomnijmy tu zatem, iż Związek Sowiecki upadł m.in. dlatego, że reżim komunistyczny – przymuszony przez rozmaite okoliczności, zewnętrzne i wewnętrzne – poszerzył na własną zgubę obszar wolności i odstąpił

od stosowania represji. Słowa Sorosa można więc rozumieć jako ostrzeżenie przed powtórką sowieckiego scenariusza. Gdy pojawiają się zagrożenia, społeczny bunt – zdaje się mówić Soros – należy postąpić odwrotnie niż Gorbaczow, a więc ruszyć do ataku, zaostrzyć ideologiczne szykany i pozbawić ludzi prawa wyboru. To brzmi jak manifest otwartego wroga wolności.

WARIANT IRLANDZKI

To żadna tajemnica, że Soros od ćwierćwiecza aktywny jest również w Polsce. Niedawno zasłynął finansowym wsparciem dla przeżywającej kłopoty „Gazety Wyborczej”. Nie jest też tajemnicą, że z jego pieniędzy współfinansowane są przedsięwzięcia środowisk liberalnych, ostro sprzeciwiających się polskiemu rządowi. Można się jedynie zastanawiać, na ile zmniejszyłaby się aktywność tych środowisk, gdyby nie były wspomagane przez Sorosa.

O tym, że miliarder potrafi być skuteczny, świadczy przykład Irlandii, która w zorganizowanym w maju zeszłego roku referendum zalegalizowała aborcję. Latem 2017 r. wyszło na jaw, że Soros za pośrednictwem swojej Fundacji Otwarte Społeczeństwo (OSF) przekazał trzem organizacjom pozarządowym w Irlandii prawie 300 tys. euro na wspieranie kampanii na rzecz legalizacji aborcji. Wewnętrzne materiały OSF ujawnione przez DCLeaks wskazują też, że George Soros postrzegał Irlandię jako poligon doświadczalny, na którym chciał przetestować metody walki o liberalizację prawa aborcyjnego. Obliczona na trzy lata strategia miała służyć nie tylko uchynieniu przepisów chroniących życie, lecz również promować w świecie aborcję jako „prawo reprodukcyjne”. Zwycięstwo w Irlandii, a więc „państwie, w którym obowiązują jedno z najbardziej restrykcyjnych przepisów antyaborcyjnych”, zostało uznane za konieczne do tego, aby wpłynąć „na pozostałe kraje katolickie, takie jak Polska, i dostarczyć dowodu, że zmiany, nawet w najbardziej konserwatywnych społeczeństwach, są możliwe”.

Z ujawnionych materiałów dowiadujemy się również, że szanse na zmiany w Irlandii zdecydowanie wzrosły po

2015 r., gdy we wcześniejszym referendum zalegalizowano tam małżeństwa homoseksualne, co dało „niepowtarzalną okazję, aby pchnąć do przodu kampanię” na rzecz legalizacji aborcji. Trudno nie dostrzec tu podobieństw z obecną sytuacją w Polsce.

EUROPEJSKA OPOZYCJA

Tym, czego najbardziej obawia się Soros, jest utrata kontroli nad umysłami ludzi. Kryje się za tym ideologiczny dogmatyzm, trudna do zrozumienia nienawiść wobec wszystkiego, co Europa reprezentowała przez setki lat swojego istnienia. Wbrew jego słowom nie chodzi mu o wspólną Europę, o jej historyczną czy kulturową różnorodność, lecz o jej unifikację, brutalne zgłaszczowanie.

Europa się jednoczy – to fakt – ale zdaniem Sorosa idzie to w złym kierunku. Bo Europa wbrew liberalnej oligarchii nieustannie ciąży ku demokracji. Dziś widzimy, jak nasz kontynent powoli staje się jedną przestrzenią polityczną. Z jednej strony jest liberalny mainstream chroniący swój monopol za pomocą liberalnej ideologii (kto nie spełnia jej warunków brzegowych, jest wykluczony z dostępu do władzy), z drugiej – pojawia się (ciagle mniejszościowa, ale całkiem realna) europejska opozycja. Stygmatyzowana, odsądzana od czci i wiary jako populistyczna lub wręcz faszystowska, stanowi zupełnie nową jakość – znak, że demokracja w Europie jest nadal żywa.

Liberalna oligarchia ma usta pełne frazesów o wolności i demokracji. Ale demokracja, o której tyle mówią, jest jak „demokracja socjalistyczna” – czysto rytualna, wyprana z treści. Teraz, gdy pojawiło się ryzyko, że stanie się furtką mogącą prowadzić do zmian, słychać głosy – takie jak ten Sorosa – aby tę furtkę zatrzaskać. Będzie to jednak możliwe dopiero wtedy, gdy uda się wyeliminować opozycję. Dlatego tak duży niepokój wewnątrz liberalnych elit wywołują ruchy polityczne kwestionujące obecny układ sił.

Władzę tych elit mogą naruszyć nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego, pod warunkiem że społeczeństwa Europy – w tym polskie

– solidarnie wyraziłyby swój sprzeciw przy urnach. Wielką nadzieję na zmiany w Europie ma współprzodząca Włochami koalicja Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd. Sekunduje im z Węgier Viktor Orbán. Na razie jednak trudno mówić o ogólnoeuropejskiej fali sprzeciwu. Unijna arystokracja broni się przed nią skutecznie, dążąc do zwiększenia kontroli nad przepływem informacji i mocno tłukąc pałką – tą prawdziwą (tak jak we Francji) i tą ideologiczną, zaostrażając rygory politycznej poprawności.

W tym kontekście znacznie łatwiej nam zrozumieć, dlaczego grillowanie „pisowskiej” Polski jest dla instytucji unijnych ważniejsze od debaty nad zamieszkami we Francji. Bo we Francji władza znajduje się we właściwych rękach, a w Polsce – wręcz przeciwnie.

OSTATNI WYBÓR?

Soros się cieszy, że w Polsce – podobnie jak we Francji i w Szwecji – „podejmowana jest próba zorganizowania zjednoczonej listy proeuropejskiej”. Tej próbie towarzyszy w Polsce ogromna kampania propagandowa promująca liberalną agendę: zmiany obyczajowe i kulturowe, które mają być wstępem do nowych regulacji prawnych oraz trwałej przebudowy społeczeństwa. Jednak środowiska liberalnej lewicy upojone już wizją przyszłej „tęczowej Polski” nie dostrzegają – jak zwróciłem na to uwagę w poprzednim numerze naszego tygodnika – że większość wyborców w Polsce nie poddaje się ideologicznemu amokowi i nie dzieli z obyczajowymi radykałami ich gorących pragnień. Zatem tworzenie osi sporu wokół LGBT, być może do pewnego stopnia skuteczne w dużych metropoliach, może przynieść odwrotne rezultaty poza liberalnymi ośrodkami miejskimi. Oczywiście niczego to jeszcze nie przesądza. Należy się bowiem spodziewać kolejnych ataków ze strony opozycji, w tym takich, które mogą się okazać trudniejsze do odparcia.

Ostatecznie o wszystkim rozstrzygną wyborcy. Polacy mają dziś wolny wybór, mogą więc zdecydować, jakiej chcą przyszłości. Muszą mieć jednak świadomość konsekwencji tego wyboru. Bo może się okazać, że potem nikt nie będzie ich już pytał o zdanie. 



STANISŁAW JANECKI

Prezydent Warszawy realizuje „postępowy” projekt Donalda Tuska, który dzięki gender i LGBT chce wrócić do polskiej polityki oraz wyeliminować z gry Grzegorza Schetynę



Fot. Andrzej Wiktor

Saper Trzaskowski

To nie Rafał Trzaskowski ani Paweł Rabiej wprowadzili temat LGBT do debaty dotyczącej wyborów europejskich, choć sprawa pojawiła się w warszawskim samorządzie. Wprowadził go przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk. Trzaskowski, a poprzez niego Rabiej, są tylko wykonawcami woli byłego premiera i współtwórcy Platformy Obywatelskiej, z którym prezydent Warszawy ściśle współpracuje (spotykają się i konsultują bez wiedzy przewodniczącego PO). To element długofalowej strategii Tuska, mającej mu umożliwić kontrolowanie opozycji przez ponad rok, który został do wyborów prezydenckich w Polsce.

4 czerwca 2019 r., podczas hucznych obchodów 30. rocznicy kontraktowych wyborów, przedstawianych jako prawie wolne, Donald Tusk ujawnił część swoich planów. Są one związane z tzw.

Ruchem 4 Czerwca, a ten ma się oprzeć na rozszerzonej Sieci Miast Progresywnych (z Warszawą, Krakowem, Łodzią, Wrocławiem, Poznaniem, Gdańskiem, Bydgoszczą, Białymstokiem, Rzeszowem, Radomiem, Częstochową itd. oraz wieloma mniejszymi), której współtwórcą był w 2018 r. ówczesny prezydent Słupska Robert Biedroń.

Przewodniczący Rady Europejskiej na razie nie może się oprzeć na Koalicji Europejskiej w pełni kontrolowanej przez odwiecznego rywala Grzegorza Schetynę, więc chce mieć własne ugrupowanie, dzięki któremu w przyszłości będzie mógł przejąć KE, a także bliżej współpracować z Wiosną Roberta Biedronia.

PLAN SCHETYNY

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że „postępowe” propozycje Ra-

fała Trzaskowskiego i Pawła Rabieja (karta LGBT+, plany dodatkowych zajęć szkolnych z tolerancji, równości i edukacji seksualnej, m.in. w oparciu o tzw. standardy Światowej Organizacji Zdrowia) są tylko częścią ich obietnic wyborczych. Przy bliższym spojrzeniu okazują się elementem gry z Grzegorzem Schetyną. A długofalowo są częścią planu Donalda Tuska.

„Postępowe” propozycje warszawskiego samorządu nie pasują Grzegorzowi Schetynie, gdyż rujnują jego koncepcję prowadzenia kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. A miała się ona opierać na przeciwstawieniu demokratów i Europejczyków totalitarystom oraz zwolennikom polxitu. Schetyna wściekł się, gdyż posunięcia Trzaskowskiego zepsuły jego plany. Doszło nawet do bardzo nieprzyjemnej konfrontacji przewodniczącego PO z prezydentem Warszawy, podczas

której padały mocno niecenzuralne słowa. Trzaskowski narzuca Schetynie agendę w sprawach LGBT, przez co musi on podejmować podobne tematy, np. w porozumieniu z Barbarą Nowacką czy Włodzimierzem Czarzastym, a nie chciał tego robić w kampanii europejskiej.

Plan Schetyny, ujawniony m.in. w rozmowie z „Kulturą Liberalną”, zakładał, że Koalicja Europejska musi za wszelką cenę wygrać wybory do Parlamentu Europejskiego, choćby jednym mandatem. Przegrana oznaczałaby bowiem koniec Grzegorza Schetyny jako lidera PO i całej opozycji. Po porażce nie dostałby już po prostu drugiej szansy, czego jest w pełni świadom. A wtedy nie zrealizowałby swego planu opanowania Senatu, co przy ewentualnej wygranej Prawa i Sprawiedliwości w wyborach do Sejmu stwarzałoby możliwość blokowania rządu PiS. I dawałoby Schetynie mandat do wskazania kandydata opozycji na prezydenta. Do tego nawet minimalnego zwycięstwa w eurowyborach lider PO chciał dojść bez prowadzenia sporów ideologicznych i wojen kulturowych, mimo że Koalicja Europejska jest znacznie bardziej lewicowa niż Platforma Obywatelska, więc takie tematy ktoś z uczestników koalicji w kampanii mógłby i tak wrzucić. Posunięcia Trzaskowskiego wszystko skomplikowały, gdyż poza zmianą strategii na eurowybory zmuszają PO do zaangażowania się w gorący spór ideologiczny i kulturowy, który w dodatku PiS już obraca na swoją korzyść.

Dla Donalda Tuska nie jest to spór ideologiczny ani wojna kulturowa, lecz projekt polityczny. Ma on być elementem programu Ruchu 4 Czerwca. To dlatego z całym cynizmem były partyjny i rządowy przełożony Grzegorza Schetyny wykorzystuje stworzoną przez niego koalicję do przetestowania, jaki opór w polskim społeczeństwie wywołają tematy dotyczące m.in. LGBT oraz edukacji seksualnej w tym kontekście. Rękami Schetyny Tusk nie tylko testuje ryzykowne tematy, lecz także przekierowuje na niego początkową niechęć, a nawet gniew wielu Polaków. Ten gniew Schetyna ma skanalizować i odczuć jego skutki, a wtedy Donald

Tusk przyszedłby na gotowe i tak zmodyfikował program Ruchu 4 Czerwca, by tematy genderowe czy LGBT nie budziły już wielkiego oporu. Poza tym Donald Tusk liczy na to, że Polacy się do tych tematów przyzwyczają i nie będą już reagowali na nie bardzo emocjonalnie.

Schetyna zdaje sobie sprawę, że jego projekt jest przez Tuska wykorzystywany niczym worek treningowy, dlatego tak bardzo go to irytuje. Niewiele może jednak zrobić, gdyż to nie Tusk jest jego zakładnikiem, ale odwrotnie. I tylko zwycięstwo Koalicji Europejskiej nad Prawem i Sprawiedliwością w eurowyborach daje przewodniczącemu PO szansę przeżycia. Nic więcej, bo po majowych wyborach stawka bardzo wzrośnie.

PLAN TUSKA

Dla Donalda Tuska nie ma znaczenia, czy Koalicja Europejska wygra jednym mandatem lub z niewielką przewagą wybory europejskie, czy też wygra je Zjednoczona Prawica. Ten drugi scenariusz byłby dla niego nawet korzystniejszy. Z moich informacji wynika, że właśnie dlatego Tusk całkiem otwarcie popycha Trzaskowskiego do konfrontacji ze Schetyną i chce swemu byłemu zastępcy jak najbardziej utrudnić życie. W ten sposób osłabia jego przywództwo w partii i w koalicji.

Chyba dopiero po ostrej reprimendzie ze strony Schetyny Trzaskowski zrozumiał, jak bardzo instrumentalnie jest przez Donalda Tuska traktowany, ale dla niego to były premier, a nie przewodniczący PO, jest gwarantem przyszłego awansu, czyli objęcia funkcji szefa rządu. Przy Schetynie Trzaskowski nie ma na to żadnych szans. Ale prezydent Warszawy nie chce, żeby cały gniew z powodu „postępowych” działań w Warszawie spadł na niego, dlatego próbuje się nim podzielić z PO oraz jej liderem. A to jeszcze bardziej Schetynę wścieka, tym bardziej że uważa się on za polityka znacznie bardziej od Trzaskowskiego sprytnego.

To, że Rafał Trzaskowski oddaje dużo pola gejowskiej części Nowoczesnej, komplikuje plany Grzegorza Schetyny, żeby tę partię uczynić wydmuszką. Ale

też plany całkowitej wasalizacji SLD, a potem połknięcia tej partii. „Postępowe” tematy i także agenda dają bowiem SLD i Nowoczesnej trochę oddechu. A PO traci wizerunkowo jako partia, która zagraża suwerenności rodziców w procesie wychowania i kształcenia dzieci. To wszystko naraża partię Grzegorza Schetyny na uzyskanie słabszego od oczekiwań i kalkulacji wyniku w wyborach do europarlamentu.

Wskutek mącenia Tuska w PO oraz podkopywania autorytetu Schetyny, także poprzez gierki z Trzaskowskim, zarówno Platforma, jak i Koalicja Europejska mogą zacząć tracić, choć przez jakiś czas korzystały z premii za jedność. Ale mieszanie w PO i Koalicji Europejskiej jest Donaldowi Tuskowi potrzebne, żeby po wyborach europejskich doprowadzić do przesilenia w Platformie i odsunięcia Schetyny od przywództwa. Niemal automatycznie prezydent Warszawy byłby kandydatem Donalda Tuska na nowego przewodniczącego Platformy. Dlatego prezydent Warszawy gra z przewodniczącym Rady Europejskiej, a nie z szefem PO.

KIERUNEK: OBÓZ POSTĘPU

Po co Donaldowi Tuskowi własna siła polityczna, w dodatku mocno odwołująca się do kwestii gender i LGBT, co już realizuje Rafał Trzaskowski w Warszawie, a co podminowuje strategię Grzegorza Schetyny? Ruch 4 Czerwca jest Tuskowi potrzebny do politycznego abordażu PO i ewentualnie Koalicji Europejskiej albo jej poszczególnych członków, gdyby po wyborach do europarlamentu ta koalicja się rozleciała, co jest całkiem prawdopodobne. Ruch 4 Czerwca byłby nowością i wartością dodaną, bardzo mocno wspieraną przez elity Unii Europejskiej i mainstreamowe partie w poszczególnych państwach członkowskich. Ruch oraz jego patron Tusk mogliby liczyć na świetną prasę w Europie i cukierkowy przekaz w większości europejskich telewizji. Takie ugrupowanie miałoby więc wizerunkową przewagę nad PO, a także nad Wiosną Roberta Biedronia, głównie za sprawą swego patrona czy też lidera.

Mając różne atuty, Donald Tusk oraz Ruch 4 Czerwca, dodatkowo ogromnie lansowany przy okazji obchodów 30. rocznicy wyborów z 1989 r., mogliby się stać organizatorami nowej wielkiej koalicji opozycyjnej, tym razem obejmującej także Wiosnę Roberta Biedronia. Taka nowa koalicja przejęłaby plan Schetyny wygrania wyborów do Senatu (sam twórca tego planu mógłby już w tym czasie zostać odsunięty od przywództwa), a potem wystawienia Donalda Tuska w wyborach prezydenckich w 2020 r.

Wiele wskazuje na to, że Donald Tusk porozumiał się z europejskimi elitami, by Polska pod jego światłą kuratelą dołączyła do obozu postępu, a także do Europy pierwszej prędkości. Skądinąd w Warszawie odbywa się obecnie test tego, jak taka obecność w obozie postępu mogłaby wyglądać. Wyrwanie Polski z grupy unijnych konserwatystów oraz skomplikowanie

Tusk całkiem otwarcie popycha Trzaskowskiego do konfrontacji ze Schetyną. W ten sposób bowiem osłabia przywództwo obecnego lidera PO w partii i w Koalicji Europejskiej

funkcjonowania Grupy Wyszehradzkiej i projektu Trójmorza nie miałyby ceny. Gdyby to się Tuskowi udało, dostałby jakąś premię, a przy nim także Rafał Trzaskowski.

Gra toczy się więc nie tylko o przywództwo opozycji, lecz przede wszystkim o przyszłość Polski. Grzegorz

Schetyna z wielu względów do zrealizowania takiego wielkiego projektu się nie nadaje, dlatego Donald Tusk i jego zaplecze wcale się nie zmartwia, gdy Koalicja Europejska nie wygra wyborów do Parlamentu Europejskiego. Znacznie ważniejszy jest bowiem plan docelowy, w którym chodzi nie tylko o odsunięcie PiS od władzy, lecz również o dołączenie naszego kraju do obozu postępu. Tusk ma tu przeciwko sobie nie tylko Zjednoczoną Prawicę, lecz w jakimś stopniu także Grzegorza Schetynę i jego projekty. I to może zdecydować o niepowodzeniu planu Tuska, w którym dla Schetyny przewidziano rolę co najwyżej pomocnika. Ale i ewentualny sukces Schetyny nie gwarantuje, że plan Tuska nie będzie realizowany. Będzie, tylko prawdopodobnie wolniej. A eksperymenty Rafała Trzaskowskiego tak czy owak są poligonem doświadczalnym dla całej Polski.

REKLAMA

Mała rata
na duże
plany



za każdy pożyczony
1000 zł

**ZŁÓŻ WNIOSEK
O POŻYCZKĘ ZARATKA!
801 600 100**
(koszt wg taryfy operatora)

Poznaj też nasze rachunki płatnicze!

kasastefczyka.pl

KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (provizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku.

My w tej chwili naprawdę
bronimy wartości
najważniejszych:
bezpieczeństwa dziecka,
rodziny i praw rodziców
– mówi **Barbara Nowak**,
małopolska kurator oświaty,
w rozmowie z Jaromirem
Kwiatkowskim



To ostatni dzwonek

Znalazła się pani w epicentrum dyskusji na temat naporu środowisk LGBT na szkoły, kiedy ostrzegła pani na Twitterze przed konsekwencjami wprowadzenia w życie deklaracji LGBT+ podpisanej przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Jakie widzi pani zagrożenia z nią związane?

Barbara Nowak: Zagrożenia widzę nie tyle w samej deklaracji, ile w zawartej w niej zapowiedzi, że do szkół będzie wprowadzane wychowanie seksualne według standardów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), zalecające seksualizację dzieci.

Nazwała pani dokument WHO propedofilskim. Dlaczego?

W standardach WHO, które są rozpisane na kilka grup wiekowych od 0 do 12 lat, są zawarte informacje i wskazówki, jakie umiejętności powinny nabyć dzieci. Te informacje bazują na potrzebie rozwijania świadomości seksualnej dzieci. Są tam również instrukcje, jak rozwijać ich seksualność. Rozumiem to w ten sposób, że człowiek dorosły powinien dziecku w tym pomagać. A przecież jakiegokolwiek czynności seksualne z osobami poniżej 15. roku życia w świetle polskiego prawa są przestępstwem. Jest rzeczą niedopuszczalną, by osoba dorosła – do tego nauczyciel, co jest dla mnie jeszcze bardziej bolesną sprawą – zajmowała się takim instruktażem. Mogę przytoczyć różne drastyczne

przypadki, zostawiając nawet na boku słynną kwestię nauczania najmłodszych dzieci masturbacji.

Choć ona jest najbardziej bulwersująca.

Zgadza się. Lecz nie chodzi tu tylko o masturbację. Jest np. wyraźnie powiedziane, że trzeba nauczyć dziecko do dziewiątego roku życia nie tylko akceptacji własnej i cudzej potrzeby prywatności, lecz również radzenia sobie z obrazem seksu w mediach. Albo 12-letnie dziecko – odpowiedzialnego wybierania partnerów. Nie partnera, lecz partnerów! Namawia się dzieci do seksualnych eksperymentów, by poznały, co faktycznie sprawia im przyjemność. Propedofilskość tego



Fot. Kuratorium Oświaty w Krakowie

czy się na to godzą. Ale równocześnie muszę podkreślić, że jestem świadoma, iż według polskiego prawa dzieci są zabezpieczone przed takimi treściami. Polskie prawo jest w tej kwestii dobrze skonstruowane. Tyle że ja jestem praktykiem i doświadczam cały czas takich sytuacji, które pokazują, że samo prawo – choćby świetnie skonstruowane – nie gwarantuje dzieciom, że będą bezpieczne. Różnymi drogami bowiem cały czas wkraczają do szkół seksedukatorzy. Są też przemycane różne treści, które niepokoją dzieci i na które rodzice nie wyrazili zgody. Prezydent Trzaskowski wypowiedział wojnę rodzinom, zaatakował wolność matek, ojców, dziadków oraz zagroził bezpieczeństwu dzieci.

Ostatnio poinformowała pani, że w tej chwili krakowskie kuratorium bada sprawę, jak to się stało, że w jednej ze szkół dzieci zobaczyły film pornograficzny. I to na zajęciach dodatkowych, na których nikt nie mógł się spodziewać takich treści.

Do szkół mogą przychodzić osoby prowadzące zajęcia dodatkowe, ale muszą one być zaakceptowane przez rodziców; rodzice muszą wiedzieć, co to za osoby i jakie treści chcą przekazać. Jeżeli te osoby nie są nauczycielami, to takie zajęcia powinny się odbywać w obecności nauczyciela danej szkoły. Jeżeli prezentowane treści są niewłaściwe, nauczyciel powinien natychmiast reagować. Niestety, często zdarzało się – mam tu na myśli sprawy, którymi zajmujemy się w kuratorium – że nauczyciele nie byli wtedy w klasie obecni, a rodzice nie dostali dokładnej informacji, co to będą za zajęcia. Ponieważ w tej chwili zrobiło się głośno na temat tego, że należy bronić bezpieczeństwa dzieci, z różnych stron Polski, nie tylko z Małopolski, ludzie piszą do mnie, z jakimi zajęciami zetknęły się ich dzieci. M.in. otrzymaliśmy, akurat z terenu Małopolski, zgłoszenie, o którym pan wspominał, że osoba z zewnątrz na dodatkowych zajęciach, najwyraźniej bez udziału nauczyciela, wyświetliła dzieciom z czwartej czy piątej klasy film pornograficzny. I że dzieci były tak przerażone, iż niektóre się popłakały, inne zdenerwowały, jakieś dziecko, zbulwersowane tym, co zobaczyło,

ukryło się w szatni i powiedziało, że nie wróci do klasy. Właśnie to sprawdzamy.

Przeciwdziałanie sytuacjom krzywdzącym dzieci to rola nauczycieli, ale przede wszystkim rodziców jako pierwszych wychowawców. Oni powinni zainteresować się tym, jakie zajęcia odbywają się w szkole.

Często jest tak, że rodzice mają bardzo duże zaufanie do szkoły. To jest prawidłowe, bo szkoła z założenia powinna być miejscem bezpiecznym dla dziecka. Rodzice – ufając, że wszystko jest w porządku – nie sprawdzają dokładnie treści zajęć dodatkowych.

A jednak powinni.

Oczywiście najlepiej by było, gdyby szkoła tak zadbała o dzieci powierzone jej opiece, by nie dochodziło do sytuacji wątpliwych. Jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże. Byłoby więc dobrze, aby rodzice – jeżeli dostaną informację o tym, że są planowane jakieś zajęcia dodatkowe – dokładnie dopytali, co to za zajęcia, czy będzie na nich nauczyciel ze szkoły oraz jakie treści będą na nich przekazywane. I żeby dopiero wtedy wydawali zgodę na uczestnictwo dziecka w takich zajęciach. A gdy dziecko z nich wróci, porozmawiali z nim na ich temat. Można w ten sposób spowodować, że – jeżeli takie zajęcia są niewłaściwe, niezgodne z tym, czego rodzice sobie życzą – nie będą one kontynuowane.

Zakładamy tu, że rodzice i nauczyciele mają „zdrowe poglądy”. Co w sytuacji, gdy mają poglądy bardzo liberalne i nie widzą w takich zajęciach niczego złego?

Liberalne poglądy wobec bezpieczeństwa własnych dzieci? Ja sobie tego nie wyobrażam. To nie jest polityka. Tu nie ma miejsca na poglądy prawicowe czy lewicowe. Wszyscy rodzice powinni bronić bezpieczeństwa swoich dzieci. My nie mamy w szkołach dzieci lesbijek, gejów, biseksualistów i transseksualistów. My po prostu mamy dzieci. Szkoła funkcjonuje na zasadach prawa, a kierunek wychowania dziecka jest określony w naszym prawie oświatowym i konstytucji. Tego dorośli muszą przestrzegać – zarówno

dokumentu polega na tym, że to dorosły musi dziecko tych rzeczy nauczyć, pobudzać jego strefy intymne. A to oznacza, że podejmuje czynności seksualne wobec tego dziecka.

Retorycznie zapytała pani na Twitterze, czy Rafał Trzaskowski poinformował, czym naprawdę jest LGBT, i czy wspominał, że to m.in. propagowanie pedofilii. Zwróciła się pani także do mieszkańców Warszawy z pytaniem, dlaczego godzą się na krzywdzenie w ten sposób swoich dzieci.

Dokładnie tak było. Pan prezydent Trzaskowski połączył nauczanie seksualne w szkołach według standardów WHO z LGBT. Zapytałam warszawiaków,

nauczyciele, jak i rodzice. Wydaje mi się jednak, że jeżeli nawet nie 100, to 99 proc. ludzi dorosłych – obojętnie, jaki mają światopogląd – nie życzy sobie, by ich dzieci były krzywdzone, odarte z godności. Jeżeli – patrząc na standardy WHO – mówimy, że człowiek funkcjonuje przez pryzmat seksualności, to jest to błąd. Człowiek jest istotą o wiele bardziej złożoną. Patrząc na małego człowieka, nie możemy dociekać, jakiej będzie orientacji seksualnej i zastanawiać się, co mamy zrobić, żeby gdzieś tę swoją seksualność wykazał.

To zredukowanie człowieka do jednego wymiaru. Istotnego, ale niejedynego.

Istotnego w momencie, kiedy człowiek jest dojrzały. Nie najważniejszego w procesie całościowego rozwoju i edukacji dziecka.

Kiedy Rafał Trzaskowski ogłaszał deklarację LGBT+, komentatorzy przypomnieli, że to nie prezydent, nawet stolicy, lecz Ministerstwo Edukacji Narodowej określa podstawę programową nauczania szkolnego. A zatem deklaracja prezydenta Warszawy nie ma mocy sprawczej.

Oczywiście, nie jest tak, że samorząd może wprowadzać nowe czy też sprzeczne z podstawami programowymi treści edukacyjne. Powtórzę jednak, że różnymi drogami można wprowadzić do szkoły treści szkodliwe. To nie jest też tak, że pan prezydent Trzaskowski nic nie może. Może zadziałać np. w ten sposób, że w szkołach pojawią się „latarnicy”, czyli osoby, które będą zwracać szczególną uwagę na to, czy jakiś uczeń nie ma homoseksualnych skłonności, bo wtedy należy mu się specjalna ochrona. Czy inne dzieci mają myśleć, że aby być chronionym, trzeba być gejem, lesbijką, biseksualistą czy transseksualistą?

Czy akcja podjęta przez prezydenta Trzaskowskiego nie jest elementem szerszej strategii środowisk LGBT, której celem jest już nie walka o tolerancję, równe prawa, lecz o zajęcie

uprzywilejowanej pozycji w społeczeństwie?

Mam dokładnie takie samo zdanie. To kolejny punkt programu, bardzo mocno skonstruowanego, z jasno określonymi celami. Działanie tych środowisk jest bardzo zdeterminowane. My dzisiaj mamy możliwość szerokiego zapoznania się choćby z tym, co się dzieje np. w Niemczech, skąd przychodzą do nas bardzo niepokojące informacje na

Prezydent Trzaskowski wypowiedział wojnę rodzinom, zaatakował wolność matek, ojców, dziadków oraz zagroził bezpieczeństwu dzieci

temat tego, jak się edukuje dzieci, począwszy od przedszkola. Są tam przekazywane bardzo różne treści, a rodzice już nie bardzo nawet protestują. Ponieważ kiedyś zgodzono się, że wychowanie seksualne będzie w szkołach prowadzone, to w tym momencie odwrócić tę sytuację jest bardzo trudno. Są grupy osób, które protestują przeciwko bardzo agresywnemu wychowaniu seksualnemu dzieci, ale trudno im się przebić do świadomości społecznej. Treści, które są tam przekazywane, od samego początku uczą małe dzieci, że to nie jest tak, iż rodzina to tylko kobieta, mężczyzna i dzieci, oraz jak sympatycznie jest być w związku z osobą tej samej płci. To jest bardzo poważna seksualna indoktrynacja, począwszy od przedszkola.

Co nam grozi, jeżeli do tego dopuścimy?

To, że za chwilę nie będziemy mieli odwrotu. Wystarczy popatrzeć na kraje, które przeszły tzw. rewolucję seksualną. W Szwajcarii rodzice siedmioletniej dziewczynki z Bazylei sprzeciwili się temu, by ich córka uczestniczyła w zajęciach z edukacji seksualnej. Sprawa trafiła do sądu, który uznał, że rodzice nie mieli prawa zabronić

dziecku uczestnictwa w takich zajęciach. W Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu również odrzucono skargę rodziców. Jeżeli dzisiaj nie zablokujemy tego trendu w Polsce, to za chwilę się okaże, że Polacy już nie będą mieli żadnej możliwości odwołania, bo Trybunał w Strasburgu jest w tej chwili opanowany przez środowiska, które nie widzą w tym niczego złego. To ostatni dzwonek. Jeżeli się nie obudzimy, to za chwilę będzie u nas taka sama sytuacja jak na Zachodzie, gdzie dzieci po takiej edukacji mają różne zaburzenia w życiu seksualnym, ale także psychicznym, jest też dużo więcej chorób wenerycznych i ciąż, przed którymi rzekomo ta edukacja ma bronić. A okazuje się to nieprawdą.

Jest pani optymistką, że obronimy dzieci przed krzywdą, jaką chcą na nie sprowadzić seksedukatorzy?

Tak, absolutnie. Wyjaśnię dlaczego. Doczekałam się szerokiego odzewu na moje apele, by ludzie przeczytali standardy WHO i sami się przekonali, co grozi ich dzieciom. Mam wsparcie ogromnej grupy ludzi, którzy wysłuchali moich wypowiedzi; obecnie interesują się tym już 2 mln osób.

Co na pewno wzmacnia panią w starciu z hejtem, który spadł na panią ze strony środowisk sprzyjających LGBT?

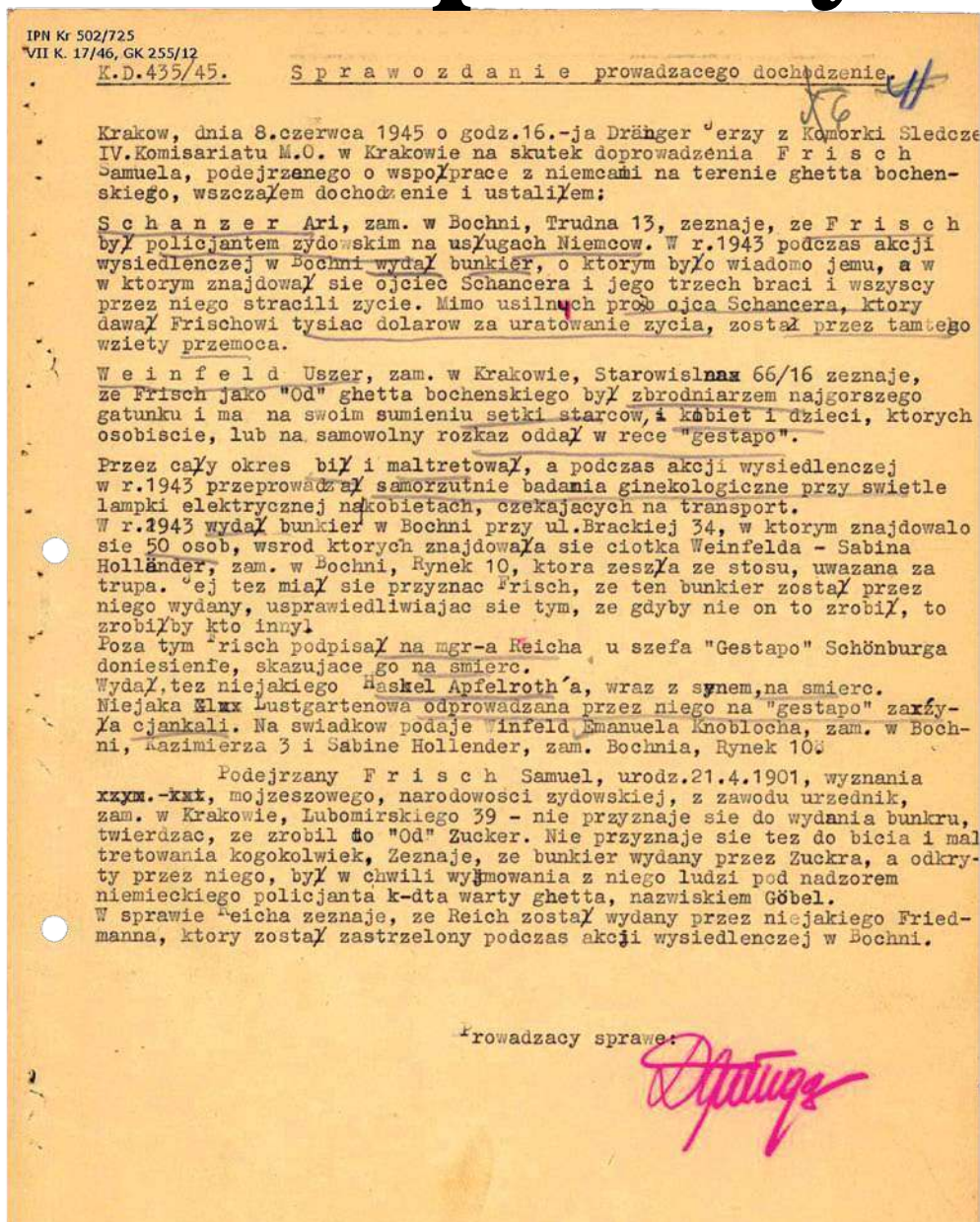
Przez środowiska lewicowe jestem atakowana już od wielu lat. Ich media piszą o mnie kłamstwa, atakują nie tylko mnie, lecz także moją rodzinę, nawet córki, chcą mnie zastraszyć. Dla mnie jednak najważniejsze jest, że społeczeństwo się budzi. Ludzie zobaczyli niebezpieczeństwo i stali się bardzo wrażliwi na to, co się dzieje wokół ich dzieci. Mam z ich strony wiele deklaracji, że razem będziemy bronić bezpieczeństwa dzieci. A to oznacza, że nie działamy w ten sposób, żeby nam tylko dzisiaj było dobrze, lecz dbamy o Polskę przyszłości. My w tej chwili naprawdę bronimy wartości najważniejszych: dziecka, rodziny, narodu i państwa polskiego. I razem musimy je obronić. 

Niezależni od prawdy



PIOTR GONTARCZYK

*Jak się fałszuje historię?
Nie wiedzą państwo, to
niech państwo zobaczą.
Przedstawiamy fragmenty
książki „Dalej jest noc.
Losy Żydów w wybranych
powiatach okupowanej
Polski” pod redakcją
Barbary Engelking
i Jana Grabowskiego
oraz materiały źródłowe,
na których oparte są ich
ustalenia. W czym problem?
W tym, że materiały
źródłowe przeczą tezom
stawianym przez autorów
tej najważniejszej publikacji
nowej „polskiej szkoły
badań Holocaustu”*



„Sprawozdanie prowadzącego dochodzenie” oficera śledczego MO Jerzego Drängera z 8 czerwca 1945 r. Wspomniany oficer opisał wyniki przesłuchań świadków z poprzednich dni w sprawie byłego funkcjonariusza policji żydowskiej Samuela Frisha oraz wyjaśnienia tegoż złożone po jego zatrzymaniu i przesłuchaniu 8 czerwca 1945 r. Sprawa dotyczyła jego roli przy likwidacji bunkrów, w których ukrywali się Żydzi w getcie w Bochni jesienią 1943 r. (dokument mówi o wspomnianej w moim poprzednim tekście „Lustiger” – jej prawidłowe nazwisko brzmi: „Lustgarten”). Na podstawie zgromadzonej dokumentacji 12 czerwca 1945 r. prokuratura Sądu Specjalnego w Krakowie podjęła decyzję o aresztowaniu byłego OD-manna Samuela Frisha jako podejrzanego o przestępstwo z art. 1 Dekretu PKWN z dnia 1 sierpnia 1944 r. „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz zdrajców Narodu Polskiego”.

IPN 502/725 Prokurator
IK. 17/46, GK 255/12
Specjalnego Sądu Karnego
w Krakowie
Dnia 20. grudnia 1945 r.
Nr. IV Ds. Spec. 381/45

Akt Oskarżenia

Prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie
przeciwko

Samuelowi FRISHOWI oskarżonemu o przestępstwo z art. 1 i 1 lit. b Dekretu
P.K.W.N. z 31. sierpnia 1944 r. Ds. U.R.P. Nr. 4 poz. 16 z 1944 r. i Ds. U.R.
P. Nr. 7 poz. 29 z 1945 r.

oskarżam

Samuela Frisha,

syna Pinkasa i Franciszki, urodz. 21. IV. 1901 w Bochni, z zawodu urzędnika
prywatnego sam. w Krakowie, ul. Dietla 44 -
obecnie przebywającego w tut. Więzieniu od dnia 12 sierpnia 1945 r.

o to, że

w roku 1943 w Bochni, idąc na rękę władzy okupacyjnej niemieckiej -
podczas pełnienia funkcji policjanta porządkowego /tz. "OD" / w Gele
żydowskim w Bochni, - działał na szkodę ludności żydowskiej tam znajdują-
jącej się, przez wskazanie ich miejsca ukrycia, ujawnianie i znęcanie
się nad nimi, - na skutek czego szereg żydów zostało rozstrzelanych,
inni wywiezieni do obozów koncentracyjnych, - między innymi rozstrzelaną
została część rodziny Schanzerów.

Czyn oskarżonego stanowi przestępstwo z art. 1 i 1 lit. b Dekretu
P.K.W.N. z 31. sierpnia 1944 r. Ds. U.R.P. Nr. 4 poz. 16 z 1944 r. i Ds.
U.R.P. Nr. 7 poz. 29 z 1945 r.

Na zasadzie art. 7 powyższego Dekretu, podlega on rozpoznaniu przez
Specjalny Sąd Karny w Krakowie.

strona: 0122

Akt oskarżenia z 20 grudnia 1945 r. przeciwko Samuelowi Frishowi, który jako funkcjonariusz żydowskiej policji porządkowej miał działać na szkodę ludności żydowskiej poprzez wskazywanie bunkrów z ukrywającymi się uciekinierami, znęcanie się nad nimi i przekazywanie ich Niemcom, wskutek czego wspomniani byli rozstrzelani i wysłani do obozów koncentracyjnych. Na rozprawę wezwano dziewięciu świadków, których część oskarżała Frisha o zbrodnie, a część (m.in. uratowane przez Frisha żona i córka) zeznawała w jego obronie. Obrońcą oskarżonego był wybitny przedstawiciel krakowskiej palestry Zygmunt Hofmankl-Ostrowski, przed I wojną światową praktykujący w Wiedniu, a w czasie II wojny światowej m.in. więzień Zamku Lubelskiego. Warto dodać, że w trakcie procesu było jasne, iż raczej żaden z Żydów wyciągniętych przez OD-mannów z bunkrów nie trafił do obozu koncentracyjnego.

IPN Kr 502/725
VII K. 17/46, GK 255/12

103 82
Przedstawiliśmy w dniu 10 dni, aż do chwili, w której zaczęto dobijać się do naszego bunkra i udysponowaliśmy wstania, aby bunkier otworzyć. Ja podszedłem i otworzyłem bunkier. Zobaczyłem osk. i jeszcze kilku z Ordnungsdienstu, byli to sami Żydzi! osk. wstał, że mamy iść do pracy, powiedziałem mu, że ja pójdę, ale co robisz, dzieci i starzy i chcia- tam mu dać trochę papierosów, ale się nie zgodził. Musieliśmy przysięść opuścić bunkier, ja szedłem na samym końcu, osk. widząc, iż się odzgam i przos- łaje w tył, kopnął mnie i popychał, rós brat mój uciszał sławami, że nie mogę mu się udzielić. Zaprowadzono nas na Ordnungsdienst, polecono nam oddać wszystkie rzeczy, oddałem więc, co posiadałem, to jest trochę papierosów i 1000 zł. jednemu z Ordnungsdienstu. Widziałem przy uchylo- nie drzwi jak w sąsiednim pokoju osk. przypiszczał miżdyż uogani moją bratową Łatarkę elektrycz- ną, a ona strasznie krzyknęła, gdyż o ten sposób wyciągał jej z pochwy ukryte trochę przed- mioty. To przeprowadzono osobistej rewizji wy- prowadzono nas na stós i rozstrzeliwano. Jula, którą straszyłem nie zabija mnie, przele- załem spokojnie aż do odejścia niuanców, i ukry- tam się w pobliskim domu Sttergutów. Znajdu- jąc się tam Wasserlaufowi i Franklowi poleciłem, aby mi przynieśli ubranie, w które ubrałem się.

strona: 0197

Protokół rozprawy przeciwko Samuelowi Frishowi z 24 sierpnia 1946 r. Zeznaje Sabina Holländer. Opowiada o swoim ukrywaniu się w bunkrze Weinfeldów, o tym, kto go odkrył, oraz że z grupą likwidujących bunkier policjantów żydowskich nie było Niemców, a tym bardziej Polaków. Holländer opowiada, jak prowadzono ją do siedziby Ordnungsdienstu, jak obrabowywano schwytanych, jak przeprowadzano kobietom rewizję. Mówi też, że potem wydano ją w ręce Niemców, i o tym, jak lekko ranna leżała w stosie trupów, z którego następnie się wydostała (odarta wcześniej przez żydowskich policjantów z ubrania). Przeżyła, bo uzyskała pomoc u innych przebywających jeszcze w getcie Żydów. Potem nawet spotkała ponownie Samuela Frisha w getcie. Frish na sali sądowej wprawdzie minimalizował swoją winę, ale potwierdził, że rzeczywiście Holländer uratowała się w opisanych przez nią okolicznościach.

VII K. 17/46.

W y r o k .

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej

Data 27 lutego 1947 r.

Sąd Okręgowy w Krakowie, Wydział VII Karny w składzie :

Przewodniczący : Sędzia Sawron Eugeniusz

Ławnicy : S. Bilńska , K. Działowski

Protokolant : apl. W. Rosławiński

przy udziale Wiceprokuratora S.O. Wroble

rozpoznawszy w dniu 27 lutego 1947 r. sprawę

Samuela Frischa

syna Pinasa i Franciszki , ur. 21.IV.1901 w Bochni w zawodu

urzędnika prywatnego, zam. w Krakowie,

oskarżonego o to, że :

w roku 1943 w Bochni , idąc na rękę władzy państwa niemieckiego podczas pełnienia funkcji policjanta porządkowego /t.zw. O.D./ w getcie żydowskim w Bochni - działał na szkodę ludności żydowskiej tam znajdującej się , przez wskazanie ich miejsca ukrycia , ujmowanie i znęcanie się nad nimi , na skutek czego szereg żydów został rozstrzelanych , inni wywiezieni do obozów koncentracyjnych , między innymi rozstrzelana została część rodziny Schanzerów , - to jest o przest. z art.1. ust. 2. dekretu PKWN z dnia 31.8.1944 r. Dz.U.R.P. Nr. 4. poz. 16. w brzmieniu obw. z dnia 11.XII.1946 r. Dz.U.R.P. Nr. 69. poz. 377,

o r z e k z :

uznać oskarżonego Samuela Frischa winnym, że w roku 1943 w Bochni

-2-

idąc na rękę władzy państwa niemieckiego podczas pełnienia funkcji policjanta porządkowego w getcie żydowskim w Bochni , działał na szkodę ludności żydowskiej tam znajdującej się w ten sposób, że brał udział w wykryciu bunkrów , Schanzerów i Weinfeldów , oraz w ujęciu żydów , znajdujących się w tych bunkrach , czym dopuścił się przestępstwa z art.1. ust. 2. dekretu PKWN z dnia 31.8.1944 r. Dz.U.R.P. Nr. 4. poz. 16. w brzmieniu obowiązującego z dnia 11.XII.1946 r. przy zastosowaniu art.5. cyt. wyżej dekretu na karę więzienia przez 8 /osiem/ lat.

Zaliczyć oskar. Samuelowi Frischowi na podstawie art.53 k.k. na poczet kary pozbawienia wolności ark okres tymczasowego aresztu od dnia 12.VI.1945 r. do dnia 27.II.1947 r.

Orzec po myśli art. 7. cyt. dekretu utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na przeciąg lat 5 /pięciu/ , oraz przepadek całego mienia oskarżonego Samuela Frischa.

Zwolnić oskarżonego Samuela Frischa od obowiązku uiszczenia opłaty sądowej i kosztów postępowania.

Uzasadnienie.

Na podstawie zeznań świadków Ari T. Schanzer , Sabiny Holländer , Uszera Weinfeld , Wolfa Gutfreunda i częściowo wyjaśnienia oskarżonego ustalił Sąd , że oskarżony Samuel Frisch pełnił funkcję policjanta porządkowego w getcie żydowskim w Bochni.

W r.1942 władze niemieckie zarządziły likwidację getta bocheńskiego . Po ostatniej akcji dotyczącej likwidacji , która miała miejsce w listopadzie 1942 r. władze niemieckie pozostały w getcie tylko 250 żydów w tym 46 członków policji porządkowej między nimi również i oskarżonego Samuela Frischa.

W związku z likwidacją getta szereg żydów . obojętnie uchylili się od wywieśnięcia ich z getta bocheńskiego ukryli się w pobliżu już przygotowanych bunkrów . Między innymi w ten sposób ukryła się rodzina Schanzerów tudzież rodzina Sabiny Holländer , przyczem

strona: 0315

strona: 0314

Wyrok Sądu Okręgowego w Krakowie z 27 lutego 1947 r. skazujący byłego żydowskiego policjanta za udział w likwidacji dwóch bunkrów (rodzin Schanzerów i Weinfeldów, łącznie ok. 50 osób) na karę ośmiu lat więzienia. Mimo pojawiających się w różnych zeznaniach informacji o innych bunkrach wykrytych i zlikwidowanych przez OD-mannów (m.in. sprawa wydania bunkra z rabinem Halbersztatem, o którym mowa jest we wstępie) nie zainteresowały one sądu, który miał wyjaśnić przede wszystkim sprawę odpowiedzialności oskarżonego Frischa za czyny zarzucone mu aktem oskarżenia. Sąd uznał więc za bezsporne, że wraz z innymi OD-mannami opróżniał oba bunkry, choć uznał za nieudowodnione, iż to Frish je wydał (w aktach jest błędna data „akcji”, listopad 1942 r., w istocie wydarzenia te miały miejsce dwa miesiące wcześniej). Jednocześnie sąd wyraźnie podkreślił, że w trakcie ich odszukiwania i opróżniania obecni byli wyłącznie policjanci żydowscy, nie było przy tym Niemców, o jakichkolwiek funkcjonariuszach polskiej policji nie wspominając.

P przed tygodniem opublikowałem w tygodniku „Sieci” tekst o jednej z dziesiątków manipulacji dokonanych w książce „Dalej jest noc...” pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Sprawę można określić jako bardzo poważną. Oto bowiem jedna z autorek tekstów monograficznych, Dagmara Swałtek-Niewińska, sięgnęła do akt archiwalnych IPN sygn. Kr 502/725 i na ich podstawie napisała, że we wrześniu 1943 r. w getcie w Bochni grupy poszukujące bunkrów, w których ukrywali się Żydzi, były zespołami składającymi się „z kilku osób, zwykle policjanta

niemieckiego, kilku policjantów polskich oraz często osoby zatrudnionej do wyważania drzwi. Tę ostatnią funkcję pełnił pod przymusem [...] Karol Gross [...] w trakcie ostatniej akcji otworzył na rozkaz Niemców 30–40 bunkrów” (tom II, s. 563-564). Jak jedyne źródło tej informacji podano w książce to: „IPN, Kr 502/725, Akta Sądu Okręgowego w Krakowie w sprawie karnej Samuela Frischa, zeznanie świadka Karola Grossa, 26 VIII 1946, karta 102.”

Cała sprawa wydała mi się dziwna. Jeżeli bowiem mieszkaniec bocheńskiego getta Karol Gross otwierał bunkry na polecenie

Nr.akt K.994/47

W Y R O K

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Sąd Najwyższy w składzie:

Przewodniczący Sędzia S.N.W.Sekalski

Sędziowie S.N.

R.Kawczak

A.Bobkowski (sprawozdawca)

przy udziale Prokuratora S.N. St.Błaszyńskiego

i aplikanta J.Nowickiego, jako protokółanta ,
na rozprawie kasacyjnej dnia 30 września 1947 r.,
w sprawie Samuela Frisha,
oskarżonego z art.1 § 2 dekretu z dnia 31/VIII-1944 r.,
po rozpoznaniu kasacji oskarżonego,

_____ od wyroku Sądu Okręgowego
w Krakowie z dnia 27 lutego 1947 r., VII.K.17/46,

na mocy art.529 i 598 k.p.k. oraz art.4 d.o.o.

s.k. kasację oskarżonego Samuela Frisha o d d a

l a i od kosztów postępowania kasacyjnego tudzież

opłaty sądowej w Sądzie Najwyższym oskarżonego

z w a l n i a.-

strona: 0323

Wyrok Sądu Najwyższego z 30 września 1947 r. w sprawie Samuela Frisha. SN uznał, że zgodnie z treścią kasacji wniesionej przez oskarżonego nie dysponował on wolną wolą, ale to nie wyklucza odpowiedzialności za dokonane przestępstwa. Podkreślił też, że zważywszy na okoliczności, w jakich znajdował się oskarżony, Sąd Okręgowy zastosował już nadzwyczajne złagodzenie kary, wymierzając mu tylko osiem lat więzienia. Sąd odrzucił tezy oskarżonego, że zeznania złożone przeciwko niemu są niewiarygodne i były motywowane zemstą, bo ich zasadnicze wątki, takie jak uczestnictwo Frisha w likwidacji bunkrów, rabowanie i wydanie Niemcom ok. 50 Żydów przez policję żydowską, potwierdzają także wyjaśnienia samego oskarżonego. Samuel Frish przebywał w więzieniu do lata 1951 r., później, po krótkiej inwigilacji przez UB, zniknął z kart wielkiej historii.

Niemców i polskiej policji, to dlaczego sprawa karna jest wymierzona nie przeciwko polskiemu lub niemieckiemu policjantowi, tylko dotyczy osoby o żydowskim imieniu i nazwisku Samuel Frish?

Po sprawdzeniu okazało się, że Frish był żydowskim policjantem w getcie (Jüdischer Ordnungsdienst, policjanci w skrócie od tego drugiego słowa byli nazywani OD-mannami), i to właśnie OD-manni zajmowali się wyszukiwaniem, wyciąganiem z bunkrów swoich rodaków i oddawaniem ich w ręce Niemców, którzy ich potem rozstrzelali.

U z a s a d n i e n i e.

Kasacja oskarżonego zarzuca zaskarżonemu wyrokowi obrazę: a) art.1 punkt 2 i art.5 dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy Dz.Ust.,poz.377/46 przez mylną wykładnię tych przepisów; b) art.350 k.p.k. przez zaniechanie powtórzenia postępowania dowodowego pomimo odroczenia rozprawy i zmiany w składzie sądu; c) art.360 i 379 k.p.k. przez niedostateczną analizę zeznań świadków oskarżenia, którzy zeznawali, powodując się zemstą; d) ponowną obrazę tychże przepisów przez nieuwzględnienie okoliczności, wśród których działań oskarżony i przez nieuwzględnienie jego korzystnej dla Żydów działalności.

1. Przepis art.1 pkt.2 dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy Dz.Ust.,poz.377/46 ma na względzie winę umyślną i świadomość działania. Nieświadome narządzenie zbrodni np. obłąkany, dziecko bez rozeznania i t.p. oczywiście nie ulega karze. Co innego jednak stanowi działanie podjęte pod wpływem groźby, rozkazu lub nakazu; w tych wypadkach świadomość i wola działania istnieją, a tylko proces powstania woli rozwija się tu nienormalnie, gdyż powzięcie woli działania w określonym kierunku i zakresie zostaje narzucone z zewnątrz przez wolę innej osoby. To też aczkolwiek oskarżony działał pod wpływem groźby i rozkazu, niemniej szedł on na rękę władzy okupacyjnej, bowiem przedmiotowo i podmiotowo spełniał czynności współdziałania z okupantem w jego programie wyniszczenia ludności ~~żydowskiej~~ żydowskiej.

Okoliczność, że oskarżony będąc policjantem porządkowym w ghecie podlegał bezpośrednio władzy niemieckiej i wypełniał tylko zresztą pod groźbą utraty życia jej nakazy, nie zwalnia

strona: 0324

Grupy poszukujące ukrytych Żydów składały się z kilku osób, zwykle policjanta niemieckiego, kilku policjantów polskich oraz często osoby zatrudnionej do wyważania drzwi. Tę ostatnią funkcję pełnił pod przymusem m.in. rusznikarz Karol Gross w czasie trzeciej akcji likwidacyjnej we wrześniu 1943 r. Swoją najbliższą rodzinę stracił w pierwszej akcji. W trakcie

564 || Powiat bocheński

ostatniej akcji otworzył na rozkaz Niemców 30–40 bunkrów¹¹⁶. Niestety zebrane materiały archiwalne nie pozwalają na precyzyjne oszacowanie liczby osób ukrywających się wtedy w bunkrach.

¹¹⁶ AIPN Kr, 502/725, Akta Sądu Okręgowego w Krakowie w sprawie karnej Samuela Frisha. Zeznanie świadka Karola Grossa, 26 VIII 1946 r., k. 102.

¹¹⁷ AYV, O.3/10785, Relacja Aleksandra Gutfreunda.

Książka „Dalej jest noc...” pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego składa się z dziewięciu części, z których jedna piera Dagmary Swałek-Niewińskiej dotyczy właśnie powiatu bocheńskiego.

Wspomniana autorka przeczytała kilkaset stron akt sprawy karnej Samuela Frisha, a wyjęła z niej jedno zeznanie i w przypisie podała ich sygnaturę. Rzekomo na podstawie tych akt napisała, że bunkry w getcie w Bochni wykrywali polscy policjanci pod kierownictwem Niemców. Tak żydowską policję zastąpiła polska. W narracji tej w ogóle usunięto nie tylko sprawę działalności Samuela Frisha, lecz nawet sam fakt istnienia i działania żydowskich policjantów. Wedle dość rutynowych działań autorów książki „Dalej jest noc...” cudze „zasługi” w wynajdowaniu i zabijaniu Żydów ukrywających się w bunkrach przypisano Polakom.

policja wyciągnęła z bunkrów. Było ich najprawdopodobniej kilkaset.

W książce „Dalej jest noc...” dokonano z punktu widzenia nauki rzeczy zupełnie niebywalej. Autorka monografii powiatu bocheńskiego Dagmara Swałek-Niewińska, powołując się wyłącznie na wspomniane akta sprawy Samuela Frisha i przywołując zeznanie Karola Grossa, całkowicie usunęła z historii żydowską policję, a na jej miejsce wpisała „policjantów polskich”. „Jeżeli to nie jest grube naukowe oszustwo – zapytałam przed tygodniem – to co nim jest?”

Jak na razie autorzy tej książki – naukowej mistyfikacji (opisana sprawa Samuela Frisha to tylko jeden z dziesiątków podobnych odnalezionych przeze mnie i kolegę z IPN dr. Tomasza Domańskiego przypadków) – zaprotestowali w interne-

cie przeciwko „brutalnemu atakowi medialnemu na autorów książki, ich dorobek oraz niezależność naukową”. Odpowiedzi merytorycznej, dlaczego w dziele „Dalej jest noc...”, wydanej pod znamienitym szyldem Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, w opisie procedury wyszukiwania Żydów ukrytych w bunkrach i wydawania ich w ręce Niemców zamieniono policję żydowską na policję polską, na razie nie było.

Ponieważ sprawa odbiła się szerokim echem nie tylko w świecie nauki, były nawet głosy niedowierzania, warto przedstawić przynajmniej niektóre ważne dokumenty w tej sprawie i skonfrontować je ze wspomnianą książką, by zilustrować mechanizm tej mistyfikacji.

*Autor jest praconikiem IPN.
Treść artykułu odzwierciedla wyłącznie poglądy autora.*



Sędziowie na rozkaz

Trzy lata bezwzględnej więzienia za roznoszenie ulotek, prześladowania księży za „nielegalną” budowę kaplicy, złamane życiorysy i morze bezprawia. Tak działały sądy wojskowe podczas stanu wojennego



WOJCIECH BIEDROŃ

Wydający wyroki i oskarżający opozycjonistów do niedawna mieli się doskonale.

Po 1989 r. pozostali na swoich stanowiskach lub przechodzili w stan spoczynku na wysokie sędziowskie lub prokuratorские emerytury. Wkrótce jednak peerelowskie sędziowie i prokuratorzy mają odpowiedzieć za bezprawne pozbawienie wolności osób, które sprzeciwiały się wprowadzeniu stanu wojennego i protestowały przeciwko komunistycznym władzom. Jak ustalił tygodnik „Sieci”, z takim wnioskiem wystąpiła Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni prze-

ciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Śledztwo w sprawie peerelowskich sędziów i prokuratorów zostało wszczęte na wniosek Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym – Oddział w Koszalinie.

WYROKI ZA POGLĄDY

Wniosek komisji dotyczy trzech byłych sędziów Sądu Pomorskiego Okręgu Wojskowego i czterech byłych prokuratorów Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Koszalinie. Jest rezultatem prowadzonego od września 2016 r. śledztwa, w którym poddano analizie ponad 20 postępowań karnych prowadzonych w latach 1981–1982. Komisja zwróciła się do sądów dyscyplinarnych o odebranie wskazanym sędziom i prokuratorom immunitetów i – co za tym idzie – o możliwość pociągnięcia tych osób do odpowiedzialności karnej. Wskutek ich działań co najmniej kilkanaście osób

zostało bezprawnie skazanych za działalność opozycyjną w okresie Peerelu. Surowe wyroki więzienia i przetrzymywanie w areszcie złamały życie wielu pokrzywdzonym. Wśród nich byli nawet nieletni uczniowie szkół średnich.

„Obrzucając obelgami czołowych przedstawicieli przewodniej siły politycznej społeczeństwa, mających decydujący wpływ na aktualne kierunki polityki państwa oraz równoważąc ustrój z terrorem, przemocą i zbrodniami oskarżona niewątpliwie dopuściła się publicznego lżenia i poniżania ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. [...] Stopień społecznego niebezpieczeństwa tego rodzaju działania w warunkach obowiązywania stanu wojennego i dostrzeganych powszechnie oczekiwań zdecydowanej większości społeczeństwa na ugruntowywanie się spokoju, ładu i porządku wewnętrznego w kraju, ocenić należy jako szczególnie wysoki” – czytamy w wyroku Sądu

Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy z kwietnia 1982 r., który skazał kobietę na trzy lata pozbawienia wolności i dwa lata pozbawienia praw publicznych za rozprowadzanie ulotek antykomunistycznych.

DZIECI DO ARESZTU

O politycznej dyspozycyjności sędziów, których dotyczą wnioski o uchylenie immunitetu, świadczą m.in. wystawiane im w latach 1982–1984 służbowe opinie. Wynika z nich, że byli prawdziwymi „żołnierzami” komunistycznego reżimu.

Opinie zawierają liczne uwagi w rodzaju: „w okresie stanu wojennego wyraził pełną gotowość do obrony zdobyczy socjalizmu”, „z powodzeniem realizuje w praktyce wskazania partii w dziedzinie umacniania praworządności i porządku”, „w pełni popiera politykę partii i rządu, co w szczególności wykazał w okresie stanu wojennego w kraju”, „zwiększone zadania wynikające z wprowadzenia stanu wojennego wykonuje bez zastrzeżeń”, „w orzecznictwie dostrzega i docenia potrzebę eksponowania w nim roli prawa i represji karnej w warunkach stanu wojennego”, „okazuje zrozumienie istoty toczącej się walki politycznej”, „w życiu codziennym wciela ideologię socjalistyczną”, „w okresie stanu wojennego wyraził pełną gotowość do obrony zdobyczy socjalizmu”, „z całym zaangażowaniem orzeka w sprawach o charakterze politycznym”.

Do bardziej drastycznych przykładów politycznej dyspozycyjności sędziów i prokuratorów należy pozbawienie wolności trzech uczniów liceum i technikum ze Ślupska, którzy malowali na murach hasła „WRON-a Orla nie pokona”, „Precz z WRON” i symbole Polski Walczącej. Napisy odnosiły się do powołanej po wprowadzeniu stanu wojennego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

Prokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Koszalinie zdecydował o aresztowaniu uczniów, z których dwóch było nieletnich. Zażądał dla nich kar po trzy lata więzienia. Sąd uznał, że cała trójka poniżała naczelny

organ państwa, mimo że Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego nie była takim organem.

Na rok pozbawienia wolności Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego skazał również młodego robotnika, który na murze zakładu pracy w Kołobrzegu napisał: „Precz z Junta”, „Solidarność”, „Precz z komunizmem”, „Śmierć PZPR”. Sąd uznał, że oskarżony „łżył ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej naczelne organy” oraz „na-woływał do obalenia władzy”.

Pasażera pociągu skazano na dwa lata pozbawienia wolności za to, że w trakcie podróży określił władze PZPR mianem „czerwonych pajaków”

UWAŻAJ NA CZERWONYCH

Inny przykład to skazanie pasażera pociągu na dwa lata pozbawienia wolności za to, że w trakcie podróży wypowiadał się krytycznie o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Miały świadczyć o tym słowa „czerwone pajaki”.

Co ciekawe, wymierzona przez Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego kara została następnie podwyższona do trzech lat więzienia po rewizji wniesionej przez prokuratora Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Koszalinie. Sąd odwoławczy uznał, że oskarżony „publicznie poniżał istniejący ustrój polityczno-prawny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wyszydząc Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą i jej członków”. Miało o tym świadczyć m.in. używane pod adresem członków PZPR określenie „czerwoni”.

Skazujący wyrok zapadł, mimo że nawet ówczesne prawo nie zakładało sankcji za krytykowanie PZPR i jej działaczy. Kodeks karny penalizował publiczne lżenie, wyszydzanie lub poniżanie narodu polskiego, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jej ustroju lub naczelnych organów. Polska Zjednoczona Partia

Robotnicza nie należała jednak do naczelnych organów państwa i nie była objęta ochroną przepisów karnych.

NIE PRAGNĘ ZEMSTY

Ten sam Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego wymierzył karę trzech lat i sześciu miesięcy więzienia księdzu Bolesławowi Jewulskiemu z powodu wygłoszonego przez niego podczas nabożeństwa kazania. Msza odprawiona była w intencji ofiar stanu wojennego. Nagranie dostało się w ręce Służby Bezpieczeństwa. Odnosząc się do PZPR, ksiądz mówił, że to „partia, która mieni się być robotniczą”, a o powołanej bezprawnie po wprowadzeniu stanu wojennego Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego opowiadał: „Wojskowa Rada – jak to brzmi ironicznie – Ocalenia Narodowego”.

Nawoływał też: „Musimy przemoc nazywać przemocą, musimy powiedzieć, że niewola jest niewolą”.

Ze szczególnym potępieniem sądu spotkały się słowa duchownego: „Nie mamy zaufania do tych, którzy mieli bronić narodu, a mundury swoje splamili braterską krwią”. Sędziowie orzekli, że ksiądz w wyjątkowo obraźliwy sposób wypowiedział się o Wojsku Polskim: „Obrażał mundur żołnierza, zwracając się podczas mszy do zebranych wiernych, a więc do tych, których synowie, bracia i mężowie pełnią ofiarnie trudną i odpowiedzialną służbę w warunkach stanu wojennego”.

– Wiedziałem, że ci sędziowie nie byli na tyle silni, by odmówić wykonania rozkazu. Byli niewolnikami tego systemu, ale czas niewoli się skończył, a sędziowie nie ponieśli żadnych konsekwencji. Nie chcę zemsty, nie pragnę dla nich wyroków, ale powinni mieć poczucie, że uczestniczyli w czymś złym. „Gruba kreska” zatraciła odpowiedzialność, a przyniosła koniunkturalizm i ugodowość – tłumaczy dziś ksiądz Jewulski, który przekonuje, że w więzieniach zdarzały się też sceny wzruszające. – Siedziałem w więzieniu z żołnierzem, który nie chciał brać udziału w pacyfikacji i odmówił wykonania rozkazu. Obawiał się, że stanie przed plutonem egzekucyjnym. Na spacerunku udzieliłem mu sakramentu spowiedzi. 



Zatrzymajmy ten „parowóz dziejów”

To moment na apel do wyborców obozu niepodległościowego, prawicy i centroprawicy, by pamiętali doświadczenia lat 1993–1997 i 2001–2005. Wtedy podzielony obóz patriotyczny dał na tacy wygraną postkomunistom. Przestrzegam każdego, kto dzisiaj chciałby oddać swój głos na taki scenariusz

Michał Karnowski rozmawia z *Ryszardem Czarneckim*, politykiem PiS, posłem do Parlamentu Europejskiego, ponownie do niego kandydującym

Już kilkanaście dni upłynęło od czasu, kiedy Władysław Kosiniak-Kamysz zdecydował się dołączyć do Koalicji Europejskiej, a temat wciąż jest żywo dyskutowany. I chyba słusznie, bo to jest coś, co wyraźnie czyni różnicę w porównaniu z poprzednimi wyborami do Parlamentu Europejskiego. A w perspektywie wyborów do Sejmu i Senatu może być osikowym kolkiem, którym lewicowa koalicja pokona PiS dzięki wiejskiemu, ludowemu płuciu. Prawo i Sprawiedliwość się tego nie obawia?

Ryszard Czarnecki: To zapewne będzie osikowy kolek, ale nie dla PiS, tylko dla PSL. Przypomnę ostatnie wybory prezydenckie: wyborcy PSL w drugiej turze gremialnie poparli Andrzeja Dudę, chociaż Jarosław Kalinowski stawał na dwunastnicy, by opowiedzieli się za Bronisławem Komorowskim.

Czyli są granice tego, co zaakceptują wyborcy? Przypomnę jednak, że koalicję rządową z SLD i PO ludowcy znosili bez problemu.

To inne sytuacje. Dla współrządzenia aparat partyjny i wyborcy byli w sta-

nie dużo znieść. Taka bywa natura polityki – zatykamy nosy i budujemy większość, nie zawsze z przyjaciółmi. Ale wejście na wspólną listę to co innego. To żądanie, by oddać głos także, pośrednio lub bezpośrednio, na ludzi całkowicie obcych ideowo, wręcz wrogich. Na Nowoczesną, która chce likwidacji KRUS, na partię Teraz, która żąda postawienia Kościoła katolickiego przed Trybunałem w Hadze, na SLD, którego rząd wynegocjował dopłaty dla rolników dwa i pół razy mniejsze niż w innych krajach Unii – to wśród wyborców PSL nie przejdzie. I już nie przechodzi. Było kilka głośnych protestów, odejście popularnego Sławomira Świerzyńskiego. Eksperti szacują, że 20 proc. dotychczasowych wyborców PSL przerzuci głos na PiS. Moje doświadczenie podpowiada mi, że jeszcze więcej zostanie w domach.

Będą też zyski – pewne miejsca ludowców w Parlamencie Europejskim. Trzy, może cztery?

Ale ludzie spojrzą na to inaczej: całkowite zaprzeczenie własnym wartościom za cenę kilku miejsc w PE. Tanio jak na partię, która szczyci się taką tradycją. Jestem wdzięczny, że

Piotr Zgorzelski, jeden z ważniejszych polityków PSL, otwarcie powiedział, iż nie mieli po prostu pieniędzy na kampanię. Czyli „kasa, Misiu, kasa”. Tu dochodzimy do kolejnej przyczyny: w ostatnich wyborach samorządowych PiS bardzo skutecznie powiększył swój zasób posiadania na wsi i choć PO nieco poszerzyła nawet swój stan posiadania w miastach, to PSL straciło połowę radnych powiatowych. To spowodowało strach, że nie przekroczą progu i finalnie i tak będą musieli wejść w to małżeństwo z Platformą po majowych wyborach, ale już na dużo gorszych warunkach.

A ambicje osobiste?

Też zagrały. Pan Władysław Kosiniak-Kamysz chciał wypchnąć potencjalnego rywala Adama Jarubasa, do niedawna marszałka województwa świętokrzyskiego, z kraju. Szef rady naczelnej PSL Jarosław Kalinowski chciał być po raz trzeci europosem. Na dodatek ten światek PSL bardzo często zazębia się ze światkiem postkomunistycznym, lewicowym. Widzę z bliska w Brukseli i Strasburgu, kogo niektórzy ludzie PSL zapraszają na przykład na staże – bardzo często są

to członkowie rodzin prominentnych działaczy SLD.

Nie ludowcy, ale establishment?

Tak. I to się w tej decyzji o dołączeniu do tęczowej koalicji uwydatniło.

Może to tylko na chwilę? Może po wyborach wróć pod własny sztandar?

Nie wierzę, by to było możliwe. Nie po to stracili teraz cnotę, żeby potem się z tego wycofać. Jeśli w maju idą razem, to samodzielny start jesienią jest niemal niemożliwy. Tak działa polityka. Szczerze mówiąc, sądzę, że nawet nie będą chcieli. Oceniam, że Kosiniak-Kamysz jest psychologicznie uzależniony od swojego byłego rządowego szefa, czyli Donalda Tuska, i nie potrafi mu się przeciwstawić.

Dla PiS zaszyte są tu dwie informacje. Jedna dobra – słabnie wasz konkurent na wsi. I jedna zła – opozycja idzie jednym blokiem, jedną listą. Może mieć premię za jedność. Która ważniejsza?

Nasze zyski są większe niż straty. Uśrednione wyniki analizy ostatnich dziesięciu sondaży wykazują, że formacji Jarosława Kaczyńskiego przybywa mandatów – było 19, może być 22. KE ubywa aż 7. Platforma miała 19, PSL miał 4, SLD – 5. Teraz mają mieć nie 28, ale 21. To oznacza, że nie ma bonusu za jedność, za to jest niechęć wyborców do takich niestrawnych mikсів. Sam znam ludzi, którzy popierają różne partie opozycyjne, ale na to, co im się serwuje, patrzą z niesmakiem. Choćby ludzie, którzy kiedyś byli po stronie antykomunistycznej opozycji, mają teraz głosować na Cimoszewicza czy Millera. Nie dziwię się, że im nie smakuje.

Nie jestem pewien, czy to takie proste. Schetyna kombinuje tak: jeśli wszyscy, którzy są przeciw PiS, się zjednoczą, to wystarczy, by wygrać.

No ale właśnie nie wystarczy. Poza tym cała opozycja nie będzie zjednoczona. Jest Wiosna Biedronia, idzie osobno lewica skupiona wokół partii Razem, która w kampanii może wyskoczyć. Wiadać, że opozycja jest podzielona i skłócona. Pod tym dywanem aż się kotłuje.

PiS rośnie też konkurencja po prawej stronie – powstała koalicja Konfederacja, składająca się m.in. z pana Grzegorza Brauna, Janusza Korwina-Mikkego, Ruchu Narodowego, Kai Godek, Marka Jakubiaka. Groźny przeciwnik?

Dobrze, że o tym mówimy. To moment na apel do wyborców obozu niepodległościowego, prawicy oraz centro-prawicy, by pamiętali doświadczenia lat 1993–1997 i 2001–2005. Wtedy podzielony obóz patriotyczny dał na tacy wygraną postkomunistom. Przestrzegam każdego, kto dzisiaj chciałby oddać swój głos na taki scenariusz. To jest scenariusz zgodny z życzeniem obozu kosmopolitycznego. Taka formacja na prawo od PiS, niezależnie od intencji jej twórców, może odgrywać rolę „pożytecznych idiotów” dla liberałów i lewicy. Przypomnę, że konfederacja targowicka też miała wiarę i ojczyznę na sztandarach, a służyła złej sprawie.

Mocne porównanie. Nie za mocne?

Mówię to świadomie. Nie twierdzę, że są konfederacją targowicką – nie, nie są – ale że skutek polityczny może być podobny. Trzeba być mądrym, bo sprawa rządów w Polsce to śmiertelnie poważna stawka.

To na razie tylko wybory europejskie.

Przypomnę słowa Jarosława Kaczyńskiego: mamy w tym roku dwie tury wyborów: pierwszą – europejską i drugą – krajową.

Opozycja jest rozgrzana. Media, których struktury rządu PiS nie zmieniły, są rozpedzone w poszukiwaniu haków na obóz władzy i w kreowaniu kolejnych skandali, mniej lub bardziej prawdziwych. W tych warunkach da się obronić mandat do sprawowania władzy w kraju?

Dorobek tych rządów jest najlepszą odpowiedzią. Polacy to widzą i jestem przekonany, że to właśnie da nam zwycięstwo. Ale jeśli zostaną w domach, to przegramy. Podam przykład, jak duże ma to znaczenie. W poprzednich wyborach do Parlamentu Europejskiego w Warszawie i „obwarzanku”, skąd kandyduje, frekwencja wyniosła

38 proc. Głosować poszli głównie wyborcy Platformy. Poza stolicą, na Mazowszu, wskaźnik głosujących spadł do 26 proc. Gdy Polacy zostaną w domach, to sami nie damy rady. Dlatego proszę każdego, błagam – głosujmy. Musimy bronić polskich interesów w Brukseli. Tam się decyduje prawie 80 proc. polskiego ustawodawstwa.

To wersja optymistyczna. Tam się decyduje, czy możemy walczyć z kornikiem, bronić się przed ASF, przekopać Mierzeję Wiślaną, zreformować patologiczne sądownictwo.

I dlatego tam się musi dużo zmienić. Jest szansa na nieco inny skład PE, bardziej zrównoważony. Komisja Europejska też może być w efekcie inna, bardziej nam przyjazna.

Stąd taki właśnie skład list? Znane nazwiska, w tym z rządu, zaskakująco silne karty?

Przyznaję – chodzi o mobilizację. Przypomnienie naszym wyborcom, że to są także ich wybory, że tam startują ludzie, których cenią, znają, którzy realnie zmieniali Polskę.

Ale to już rodzi pytania: czy ci ludzie umieją mówić po angielsku?

Spora część tak, część się nauczy. Jestem trzecią kadencję w Parlamencie Europejskim i wiem, że np. wielu parlamentarzystów z Europy Południowej słabo mówi po angielsku. Pamiętam szefa Komisji Spraw Zagranicznych PE, od Berlusconi, który nie mówił w tym języku. Porozmawiajmy o kompetencjach merytorycznych. A te są mocne. Minister Joachim Brudziński często uczestniczył w Radzie Ministrów Spraw Wewnętrznych krajów Unii Europejskiej, premier Szydło brała udział w posiedzeniach szefów rządów, minister Beata Kempa budowała polską pomoc humanitarną dla uchodźców na Bliskim Wschodzie. Nie ma powodu do kompleksów, przeciwnie – mamy silną merytorycznie drużynę.

To nie jest akcja ewakuacja?

Nie, bo to nie jest załatwiona fucha, ale decyzja o poddaniu się wyborczej weryfikacji. Jest zatem odwrotnie: ci

ludzie mają tak mocny dorobek, że po-
ciągną listy. Ale też nie będą mieli nic
za darmo: wewnętrzna konkurencja
na listach będzie duża.

Po stronie Koalicji Europejskiej również.

Nie znamy jeszcze ostatecznego
składu list KE, ale bez wątpienia będą
tam ogromne napięcia. Proszę zwró-
cić uwagę: PO oddała lewicy aż cztery
na trzynaście „jedynek”, kolejne trzy
dostało PSL, jedną pani Bochniarz,
kolejną pani Ochojska. A zatem aż
dziewięć jedynek na trzynaście mają
mieć ludzie spoza PO. Myśli pan, że
to nie wywołało wściekłości w Platfor-
mie? Wywołało.

Czy to będzie miało konse-
kwencje w czasie kampanii?
Duże.

Jakaś rada dla kandydatów?

Rada byłaby spóźniona, bo kam-
panię trzeba zaczynać dzień po
wyborach. Ale na pewno warto
postawić na bezpośredni kontakt
z wyborcami.

Pana trasa też jest w tych dniach bogata: Wołomin, Marki, Tłuszcz, Kobyłka, Pruszków, Otwock, Legionowo. Zmieniono panu okręg. Zabolato?

Uważam za wielki zaszczyt, że
prezes Jarosław Kaczyński powierzył
mi zostanie jednym z liderów listy
w prestiżowym okręgu – w stolicy
jednego z pięciu największych kra-
jów UE.

Celem jest, jak deklarujecie, silna delegacja PiS w PE i walka o pewną korektę unijnej polityki. Ale Brytyjczyków, z którymi tworzycie grupę Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, już nie będzie.

Tak, choć nie jest jasne, kiedy odejdą.
To zależy od scenariusza brexitu. Tu
ciekawostka – mało kto wie, że PO tak
dzielnie „walczyła” o polskie interesy,
że kierowana przez europoseł Danutę
Hübner Komisja Spraw Konstytucyj-
nych przeformowała, aby z mandatów
do podziału po Brytyjczykach Polsce
przypadł jeden, a porównywalnej
z nami ludnościowo Hiszpanii aż pięć.

Niesamowite.

Prawdziwie. Dostaliśmy jeden mandat
więcej, tyle samo co Estonia. Wracając
do naszej frakcji, jestem pewien,
że nowa grupa będzie silna i realnie
wpłynie na kształt Unii Europejskiej.
Wiele w Europie nowe wiatry.

Czy są na tyle silne, by przełamać dominację połączonych sił chadeków, socjalistów?

Uważam, że ci, którzy prognozują bez-
pieczną przewagę tej koalicji, nie mają
racji. Nawet po dołączeniu liberalów
może zabraknąć im głosów do bez-
piecznego kontynuowania tego, „co
było i jest”. Socjaliści oddali władzę we
Francji, Austrii, Czechach, Włoszech,

Musimy bronić polskich
interesów w Brukseli. Tam
się decyduje prawie 80 proc.
polskiego ustawodawstwa.
Dlatego proszę każdego,
błagam – głosujemy

już nie współrządzą w Holandii, w Pol-
sce nie weszli do parlamentu, a na Węg-
rach trzeci raz z rzędu sromotnie prze-
grali wybory. Jeśli to nie eurorealiści
i eurosceptycy będą mieli większość
w PE, to zapewne powstanie wtedy
koalicja anty-Czarnecki, czyli tych sa-
mych sił, które odwołały mnie z funk-
cji wiceprzewodniczącego PE. A za-
tem chadeków, socjalistów, liberalów,
komunistów i zielonych. Słowem taka
Koalicja Europejska, tyle że w Brukseli.

Codla nas niewiele zmienia w sensie wartości, które prezentują, szaleństwa, które promują.

Niekoniecznie. Zacznie się poważna
gra, być może w kontekście współpracy
tematycznej z poszczególnymi frak-
cjami w PE. To będzie – jeśli powstanie
– trudna, skonfliktowana wewnętrznie,
„tęczowa” koalicja, a opozycja nie bę-

dzie już teoretyczna, ale realna. Mamy
bogactwo scenariuszy, łącznie z tym
mówiącym o współrządzeniu w PE.

Angela Merkel może zostać szefem Komisji Europejskiej?

Raczej szefem Rady Europejskiej.
To jest możliwe, jednak raczej już po
zakończeniu swojej czwartej kancler-
skiej kadencji, a więc po jesieni 2021 r.
Ale aby to osiągnąć, być może będą
chcieli zmontować koalicję wszyst-
kich frakcji obecnych w PE. A zatem
i naszej. Naprawdę może się to różnie
potoczyć.

Pomysł, by PiS weszło do Europejskiej Partii Ludowej, czyli chadeków, ostatecznie upadł?

W 2016 r. prezes Kaczyński mówił
w wywiadzie dla PAP, że może so-
bie to wyobrazić. Konflikt z Komisją
Europejską tę perspektywę oddalił.
Obecnie EPL raczej się zawęża, de-
batuje, czy nie pozbyć się Viktora
Orbána, niż rozszerza. Raczej bę-
dzie więc kontynuacja i rozszerze-
nie działania grupy EKR.

Wyzwań nie zabraknie. Choćby ogłoszona właśnie przez prezydenta Macrona wizja przyszłości UE, wizja zbudowania superpaństwa. To może przejść?

Nie. To jest szaleństwo, odlot, cał-
kowite oderwanie od rzeczywistości
i tego, czego chcą obywatele państw
Unii. Szokuje, gdy lider kraju „nr 2”
w Unii nie wyciąga żadnych wniosków
z pojawienia się sił odśrodkowych
w UE. To prawda, że gra na nie Rosja,
ale to nie Rosja je wymyśliła, lecz opór
obywateli przerażonych przyciska-
niem pedału gazu eurointegracji przez
establishment, bez liczenia się z wolą
wyborców. Tak jak za komunistów był
„parowóz dziejów”, tak teraz też nie-
którzy chcieliby takim parowozem
pojechać, bez liczenia się z ludźmi. Ale
to równia pochyła. Jeśli Unia pójdzie
tą drogą, piękna idea zostanie pogrze-
bana. Brexit jest ostrzeżeniem. Wie-
rzę, że nastąpi otrzymanie. To jednak
zależy od tego, od czego zaczęliśmy tę
rozmowę: wyniku wyborów do Par-
lamentu Europejskiego. Moment jest
naprawdę przełomowy. 

O czym wolno pisać w Gdańsku?

Film pokazujący alkoholowe zakupy Aleksandry Dulkiejwicz wywołał lawinę nieprzychylnych komentarzy wobec reportera, który zamieścił nagranie w sieci. Dziennikarz stał się celem ataku całej propagandowej maszyny chroniącej gdańską „małą Sycylię”. Tymczasem nie zakupy pani prezydent są problemem, lecz powszechny w Gdańsku strach przed jakąkolwiek krytyką lokalnych władz



ARTUR CEYROWSKI

Nagranie, które pokazuje Aleksandrę Dulkiejwicz kupującą alkohol w towarzystwie trzech mężczyzn – dwóch ochroniarzy i byłego asystenta Pawła Adamowicza – było

jednym z najczęściej komentowanych tematów w ostatnich dniach w Polsce.

Jak się dziś okazuje, dziennikarz, który umieścił popularne wideo w sieci, naraził się na gniew lokalnej Platformy Obywatelskiej, problemy z pracodawcą, a także głosy krytyki i oburzenia ze strony przedstawicieli trójmiejskich mediów. Zupełnie niepotrzebnie, choć być może nieprzypadkowo, większość komentują-

Kadry z nagrania monitoringu – Aleksandra Dulkiejwicz kupująca wódkę i napój

cych film odnosiła się do tego, co prezydent Aleksandra Dulkiejwicz kupowała w jednym z dyskontów. Ludzka natura lub spryt specjalistów od public relations sprawiły jednak, że dyskusję ukierunkowano na tor donikąd. Bo nie zakupy pani prezydent są tu najważniejsze.

AKT 1. PUBLIKACJA NAGRANIA I BŁYSKAWICZNY LINCZ

Czwartek, siódmy dzień marca, późny wieczór. Maciej Naskręt, dziennikarz portalu Trojmiasto.pl, umieścił



w mediach społecznościowych film z zakupów prezydent Dulkiewicz. W ciągu kilkunastu minut od publikacji na reportera lokalnego portalu spadł gniew Agnieszki Pomaski.

„Dziennikarz Trojmiasto.pl publikuje nagranie monitoringu ze sklepu Biedronka, gdy Prezydent A. Dulkiewicz robi... zakupy. Czy to jakiś nowy standard w tej sieci?! Będziecie publikować wizerunki klientów bez ich zgody?! Oczekuję stanowczej reakcji sieci Biedronka i Trojmiasto.pl!” – grzmiała na Twitterze posłanka PO.

Co oznaczały słowa „oczekuję stanowczej reakcji”? Jeśli nie jesteśmy mieszkańcami Trójmiasta, to na tym etapie jedynie się domyślamy, o co chodzi posłance. Tej samej, która w lipcu 2017 r., razem z grupą kolegów z opozycji, nagrywała posła Piętę, gdy ten wybrał się do sklepu monopolowego. Nie dopominała się wtedy o standardy, nie protestowała przeciwko upublicznianiu wizerunków innych osób.

Wróćmy jednak do nagrania. Po kilkunastu minutach dziennikarz usunął swój wpis i dodał kolejny, w którym napisał: „Kochani wycofuję się z poprzedniego tweeta, zbyt pochopnie go wstawiłem. Przepraszam panią prezydent”. Na tym etapie jeszcze nie wie, że jego ucieczka niewiele da i to, czego doświadczył, to zaledwie początek linczu, który go czeka.

Po sygnale Pomaski do ataku rzucają się bowiem inni lokalni dziennikarze. „Macieju, nie idź proszę tą drogą” – strofował kolegę gdański reporter Radia Zet. W dyskusję włączyli się inni przedstawiciele mediów, którzy zgodnie skrytykowali kolegę, uznając publikację filmu za „złamanie standardów”. Reporter dostał też wiele prywatnych wiadomości, w których oberwało mu się od „kolegów z branży”. Wielu z nich ma żony i rodziny na etatach w miejskich spółkach, od lat pracują w instytucjach i urzędach kontrolowanych przez polityków Platformy. Oni wiedzą, że tutaj niektórych tematów poruszać nie wolno.

Od publikacji minęła zaledwie godzina. Przygotowując materiał dotyczący nagrania, rozmawiam z dziennikarzem, który umieścił film w sieci.

„Zaszczuli mnie” – napisał. Jest przeżony, nie potrafi sobie poradzić z hejtem. Nie spodziewał się, że przeciwko sobie będzie miał nie tylko swoje środowisko, lecz także polityków, dla których nagle stał się wrogiem. W głównej roli występuje walcząca do niedawna o „wolne media” Agnieszka Pomaska. To ona wytoczyła przeciwko dziennikarzowi najmocniejsze działa. Nie wystarczył donos do aktualnego pracodawcy, potrzebne były dalsze środki nacisku w postaci trzech listów, które posłanka opublikowała przed wysłaniem na Facebooku.

Pomaska zażądała od prezesa zarządu sieci dyskontów wyciągnięcia konsekwencji wobec osób odpowiedzialnych za przeciek z monitoringu.

Władze Gdańska nie liczą się z lokalnymi mediami. Wiceprezydent miasta Piotr Borawski na pytanie, kto płaci za ochronę prezydent Dulkiewicz, odpowiedział: „George Soros i ambasada Niemiec”

Dziś już wiemy, że Biedronka rozstała się z pracownikami, których uznano za winnych. Czy straciliby pracę, gdyby Pomaska nie była tak bezwzględna? Tego się nie dowiemy. Liderka lokalnej Platformy Obywatelskiej napisała kolejne listy. Drugi z nich skierowany był do prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, do której Pomaska zwraca się z „uprzejmą prośbą o sprawdzenie standardów pod kątem ewentualnego naruszenia prawa”. Wreszcie trzeci list, przeznaczony dla nowego pracodawcy dziennikarza, który ma wkrótce zacząć pracę w Radiu Gdańsk.

Nie wystarczyło narobienie mu kłopotów w portalu Trojmiasto.pl. Trzeba jeszcze „pomóc” w nowym miejscu, aby

było jasne, z kim nie wolno zdrzeć. „Czy zachowanie redaktora jest zgodne z zasadami etycznymi panującymi w Radiu Gdańsk?” – napisała posłanka w liście do prezesa radia. Można niszczyć człowieka z hasłem „walki o standardy”, będąc jedną z twarzy walki o „wolne media”. Trudno o większą hipokryzję. To jednak wciąż nie koniec, bo przecież jesteśmy w Gdańsku. Tutaj lokalne media muszą się tłumaczyć politykom ze swoich działań.

AKT 2. „KRÓWKĄ” I MAŁE COLE

Od wpisu minęło kilka dni, przez Polskę przetoczyło się mnóstwo komentarzy dotyczących nagrania z prezydent Dulkiewicz. Do sprawy odniosła się także główna bohaterka filmu, która na swoim profilu w mediach społecznościowych napisała: „Od dwóch dni wielu pyta: »Ola czy to prawda, że kupiłaś 0,5 litra i aż 2 cole?«. Panowie »redaktorzy« autorzy »hit newsa« postavili mnie w trudnej sytuacji, bo faktycznie źle to wygląda... Dlatego wyjaśniam: kupiłam »krówkę«, a cole były małe... Mam nadzieję, że po tej informacji zapanuje cisza w tej sprawie i następnym razem, zanim coś wejdzie do mediów społecznościowych, zostanie dokładnie sprawdzone i pozyskane w legalny sposób. Dobrego sobotniego wieczoru! Na zdrowie!” – napisała Dulkiewicz.

Reakcja wywołana spontaniczną chęcią wytłumaczenia społeczeństwu zakupów czy może przemyślanego ruchu podany przez doradców? Trudno oceniać. Podobnie w przypadku prezydenta Dudy, który również odniósł się do zakupów, jakby to one stanowiły meritum sprawy.

„Prezydent Aleksandra Dulkiewicz kupowała alkohol w sklepie? A co, jest zakaz robienia takich zakupów? Nie wolno dorosłej osobie kupować alkoholu? Nie wolno Prezydentowi Miasta robić takich zakupów? Nie widzę tu żadnego problemu. To prywatna sprawa, nie urzędowa. Dajcie spokój!” – napisał Andrzej Duda na Twitterze.

Prezydent postanowił bronić „granic zdrowego rozsądku”, ale nie wspominał słowem o linczu na dziennikarza, który opublikował film w sieci. Szkoda, bo byłby to ważny i potrzebny sygnał dla ludzi, którzy próbują walczyć z lokalnymi sitwami. Nie tylko w Gdańsku.

Do nagrania z prezydent odniosły się niemal wszystkie media w Polsce, ale nikt nie bronił dziennikarza. Prawicowe portale odnotowały fakt zakupów, lewicowo-liberalne skupiły się na obronie prezydenta przed „zaszczuwaniem”. Co gorsza, ani obecny, ani przyszły pracodawca dziennikarza, który umieścił wideo w sieci, nie znaleźli choćby chwili, aby wspomnieć, iż publikacja takiego nagrania była obowiązkiem pracownika mediów. Radio Gdańsk schowało głowę w piasek i chyba jako jedyne w Polsce w ogóle nie zauważyło tematu.

Z kolei redakcja portalu Trojmiasto.pl zareagowała najgorzej, jak można sobie wyobrazić, i tłumaczyła się lokalnej polityk na Twitterze. Cztery dni po publikacji nagrania w sieci w portalu ukazał się kolejny tekst z wyjaśnieniami. Autor, zastępca redaktora naczelnego, tłumaczył, iż w momencie publikacji nagrania w mediach społecznościowych dziennikarz był już w okresie wypowiedzenia ze swoją macierzystą redakcją. Przyznał też wprost, że już wcześniej dochodziło do konfliktów z dziennikarzem „z powodów politycznych”.

„[...] dziennikarz Trojmiasto.pl Maciej Naskręt zamieścił na swoim prywatnym koncie twitterowym film prezentujący prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkwicz podczas zakupów. Szybko zreflektował się, że popełnił błąd – post usunął, a za publikację przeprosił” – napisał Michał Stąporek.

Na czym polegał błąd? Tego nie wiemy. Żnów, nie ma ani słowa o linczu i ogromnej krytyce, jaka spotkała ich pracownika. Z tekstu dowiadujemy się za to, iż już „wcześniej dochodziło do zatargów między wydawcą a dziennikarzem i Maciej był upominany za wpisy o charakterze politycznym”.

Jednocześnie Stąporek przyznawał, że 10 lat pracy ich dziennikarza to był czas „bardzo udany”, bo wspomniany redaktor był świetnym specjalistą, a powody jego odejścia związane są z poglądami politycznymi. Niewłaściwymi poglądami.

Agnieszka Pomaska zażądała od szefa sieci dyskontów wyciągnięcia konsekwencji wobec odpowiedzialnych za przeciek z monitoringu. Biedronka rozstała się z pracownikami, których uznano za winnych

AKT 3. KTO ODPOWIADA ZA OCHRONĘ PREZYDENTA MIASTA?

W całej sprawie niemal wszystkim umknęła jeszcze jedna ważna kwestia, na którą pierwsi zwrócili uwagę lokalni dziennikarze z portalu Gdańsk Strefa Prestiżu. To oni w mediach społecznościowych przypomnieli, że – przed publikacją nagrania – władze miasta nie chciały mówić nic o kosztach i charakterze ochrony prezydent Aleksandra Dulkwicz. Na zadawane im w tej sprawie pytania nie udzielały żadnej odpowiedzi.

Te dziwne standardy przypadły do gustu Piotrowi Borawskiemu, wiceprezydentowi grodu nad Motławą. Związany z Platformą Obywatelską polityk na pytania lokalnego portalu o to, kto płaci za ochronę prezydent Dulkwicz, odpowiedział: „George Soros i ambasada Niemiec”. Po wszystkim wyśmiał redakcję i przyznał, że nie uznaje ich za dziennikarzy. Borawski może sobie pozwolić na taki luz, bo wie, że w jego „małej Sycylii” mediów obawiać się nie trzeba. Jeśli znajdzie się choć jeden niepokorny, to zawsze można go zniszczyć, do czego rękę przyłożą ludzie z jego własnego środowiska.

Kiedy temat stał się już tak medialny, że żyła nim cała Polska, Urząd Miasta Gdańska w końcu odpowiedział na pytania o charakter ochrony prezydent Dulkwicz. Odpowiedź była oczywiście ogólnikowa i pozbawiona najistotniejszych kwestii, ale w końcu pozwalała skupić się na sprawach naprawdę istotnych. Dowiedzieliśmy się, że „urząd zlecił wyspecjalizowanej firmie ochroniarskiej świadczenie usługi w formie zabezpieczenia ochrony osobistej dla [...] Aleksandry Dulkwicz, obecnie pani prezydent. Firmą świadczącą usługę jest »Taurus« Agencja Ochrony Mienia sp. z o.o.”.

Kosztów ochrony nie podano, choć to ważna kwestia z wielu powodów. Ten najważniejszy to oczywiście śmierć prezydenta Adamowicza, do której pośrednio doszło także z powodu oszczędności przy zabezpieczaniu koncertu WOŚP. Na to nałożyły się liczne nieprawidłowości w Agencji Ochrony „Tajfun”, która zabezpieczała imprezę w Gdańsku.

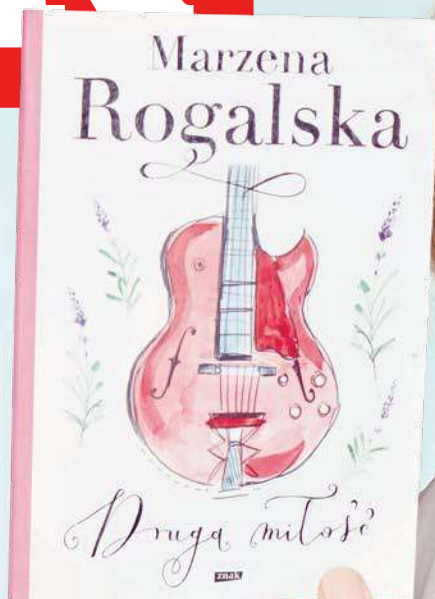
Drugi ważny powód, aby sprawę ochrony prezydent Dulkwicz traktować z ogromną powagą, stanowią pogróżki, jakie pod koniec stycznia trafiły do urzędu miasta. Ich adresat trafił do prezydenta Gdańska i jej rodzinie. Listy z groźbami bada aktualnie Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Wrzeszcz, a prokurator Grażyna Wawryniuk przyznaje, że śledztwo w tej sprawie jest kontynuowane.

Trzeci, ostatni z powodów, dla których media powinny tę sprawę traktować z należytą powagą, to to, iż na III kontroli agencji ochrony w 2018 r. aż w 27 przypadkach MSWiA zdecydowało o cofnięciu koncesji. Z tego powodu poprosiliśmy resort spraw wewnętrznych o komentarz do tej sprawy. Niestety, jedyną odpowiedzią z działu prasowego ministerstwa była prośba, aby „kontaktować się w tej sprawie z Biurem Prasowym Urzędu Miasta Gdańska”.

Chcielibyśmy się skontaktować, na prawdę. Niestety mówimy o mieście, w którym ludzi stawiających ważne pytania niszczy się i szykanuje.



ULTIMATY



To będzie jej rok?

Tańczy, śpiewa... recytuje chyba też. Zmienia stroje i fryzury, by w rozrywkowy sposób przeprowadzić widzów przez minione dekady.

*W programie „To był rok” **Marzena Rogalska** wydaje się spełniać i siebie, i swoje marzenia*



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Darzona wielką sympatią osobowość radiowa i telewizyjna. Powiedzieć tak o Marzenie Rogalskiej to dziś trochę mało. Od paru lat jest już nie tylko empatyczną osobą, prowadzącą autorskie programy w Radiu Żłote Przeboje i drugą połówką (z Tomaszem Kammelem) prezenter-skiego duetu „Pytania na śniadanie”. Na koncie ma trzy, pokażnej objętości, bestsellerowe powieści. Jej debiut z 2016 r. zarekomendowała sama Katarzyna Grochola, pisząc: „To nie dziennikarka telewizyjna Marzena Rogalska napisała książkę. To pisarka Marzena Rogalska pracuje w telewizji”. Można do tego również dodać, że od paru sezonów gra na profesjonalnej scenie. W spektaklu „Czy ty to ty” warszawskiego Teatru Capitol. Teraz, w programie „To był rok”, ma szansę połączyć wcześniejsze doświadczenia i pasje.

WULKAN ENERGII

Z dzieciństwa może pamiętać lata 70. Dorastała w kolejnej dekadzie. Urodzona w Przasnyszu przez jakiś czas mieszkała z rodzicami i siostrą w Chełmku, do szkoły średniej chodziła w Oświęcimiu. Koledzy z tamtego okresu wspominają, że już jako nastolatka była wulkanem energii i dobrego humoru.

Występując w licealnym teatrze Na Stronie, marzyła o aktorstwie. W spektaklu „Jako czynią lątkom” stworzyła ponoć brawurową postać. Nie udało się jej jednak dostać do szkoły teatralnej, jak podsumowała w jednym z wywiadów, „z powodu krzywego zgryzu, nad którym intensywnie pracowała, i słabego głosu”. Ukończyła więc pedagogikę kulturalno-oświatową, ale nie rezygnowała z marzeń.

W czasie studiów, na Famie (Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej), zdobywała nagrody za „aktorskie in-



Fot. Jan Bogacz/VFP

terpretacje”. Wystąpiła też w musicalu „Metro” i trafiła do kabaretu Grupa Rafała Kmity. Jednocześnie coraz bardziej zaczęło ją wciągać dziennikarstwo.

DO STUDIA I NA PLAN

Przygodę z mediami zaczęła w 1995 r. w krakowskim oddziale TVP. Prowadziła tam magazyn filmowy. Wkrótce odkryła też, jak przynajmniej, „medium wciąż dla niej magiczne”. Przez wiele lat współpracowała z radiem RMF FM, następnie z Radiem Kolor, teraz jest związana z Radiem Żłote Przeboje.

Jej telewizyjnym domem jest Dwójka, ale była też jedną z pierwszych gospodyń kultowego talk-show w TVN Style „Miasto kobiet”. Prowadziła teletur-nieje „Czy jesteś mądrzejszy od piąto-klasisty” (w TV Puls) i „Dzieciaki górą” (TVP2). Można ją było oglądać w Dwójkowym show „Kocham Cię, Polsko” i w kinowych filmach – od debiutu w romantycznych „Zakochanych” (2000), przez „Testosteron” (2007), po najnowsze „Kobiety mafii”. Nieobce były jej plany seriali – „Magdy M.”, „Niani” czy „Barw szczęścia”. Ma za sobą wcale nierzadkie doświadczenia kinowego dubbingu i gościnne występy m.in. na płytach zespołu Raz, Dwa, Trzy i Matta Kowalsky’ego.

JAK PODUSZKA I KOŁDRA

„Marzena jest jak poduszka, jak kołdra w zimowy wieczór. Człowiek ją widzi i od razu chce się przytulić [...]. Gdybyście kiedyś odczuli silną potrzebę

pogadania z kimś o życiu i żeby to życie wydało Wam się naprawdę cudownym doświadczeniem... macie Marzenę [...]” – tak w Radiu Żłote Przeboje rekomendowana jest jej audycja „Rogalska od kuchni”.

Umiejętność przyjaznego komunikowania się z najbardziej różnorodnymi rozmówcami sprawiła, że już jako współprowadząca pierwszych sezonów talk-show „Miasto kobiet” (emitowanego od 2004 r.) zaczęła dostawać propozycje napisania książki. Molowi książkowemu, jak się przedstawia, marzyło się jednak napisanie powieści. Z tym że musiała do niej dojrzeć. Dziś ma na koncie trylogię: „Wyprzedaż snów”, „Gra w kolory” i „Druga miłość”.

Mówi, że jej powieści są „dla kobiet, które jak ona lubią smakować życie”. Przyznaje też, że powieściowa Agata ma niesamowitych ludzi wokół siebie. Takich ludzi przyciąga również Marzena Rogalska.

Do regularnych występów w zawodowym teatrze namówiła ją Daria Widańska. W spektaklu „Czy ty to ty” spotyka się m.in. z Łukaszem Nowickim, z którym jakiś czas temu prowadziła „Pytanie na śniadanie”, i Michałem Rolnickim, z którym poznali się na planie „Barw szczęścia”.

Nowy projekt z udziałem Marzeny Rogalskiej też czerpie z osobowości – przypominanych na ekranie i zapraszanych do studia. Oby dobra energia, empatia i doświadczenie prowadzącej podkreśliły temperaturę kolejnych odcinków programu i sprawiły, że to będzie jej rok.

MICHAEL JACKSON

1958 - FOREVER

Czy to koniec legendy?

Dokument „Leaving Neverland” mną wstrząsnął.

Uwierzyłem ofiarom Jacksona, które twierdzą, że uprawiał z nimi seks, kiedy były dziećmi

Wojna dopiero się zaczęła. Teraz czas na kanonadę ze strony prawników rodziny Michaela Jacksona. Jest czego bronić. Dekadę po śmierci króla pop jego muzyka przynosi krocie. Od 2009 r. zarobiła, uwaga, 2,1 mld (sic!) dol. W 2016 r. przychody zmarłego Jacksona wyniosły rekordowe 825 mln dol. Dziś kolejne stacje muzyczne zdejmują jego utwory z playlist. Z serialu „Simpsonowie” wycięto odcinek „Star Raving Dad”, w którym Jackson podkładał głos. Prawdopodobnie następnym krokiem będzie usuwanie jego popiersi i nazwiska z amfiteatrów oraz hal koncertowych, burzenie pomników i może kasowanie muzyki z serwisów streamingowych.

Czy to koniec legendy Michaela Jacksona? Fani nie będą chcieli na to pozwolić. Jednak po emisji filmu „Leaving Neverland” nic już nie będzie takie samo. Nawet królowa amerykańskiej telewizji Oprah Winfrey odcięła się publicznie od Jacksona, robiąc wywiad z dwoma oskarżającymi go mężczyznami. Rodzina króla pop zapowiedziała pozew sądowy przeciwko emitującemu dokument HBO na kwotę 100 mln dol. Fani Jacksona przekonują, że sąd uniewinnił go od zarzutów. Bronili go wówczas jego dzisiejsi oskarżyciele.

Dokument Dana Reeda oddaje głos tylko pokrzywdzonym. Nie zobaczymy w nim obrońców muzyka ani jego



ŁUKASZ ADAMSKI

rodziny. Nie usłyszymy głosów dzieci przebywających z nim w jego posiadłości, które nie twierdzą, że były molestowane. Nie zobaczymy rozmów z agentami FBI, którzy nie znaleźli niezbitych dowodów jego winy. To dokument opierający się na emocjach. Mnie jednak przekonał. Uwierzyłem spowiedzi ofiar, ale rozumiem, że można im nie wierzyć. Podejrzewać, że konfabulują i kłamią. Trzeba jednak ten czterogodzinny dokument obejrzeć przed wydaniem wyroku. Bez spojrzenia w oczy oskarżycieli naprawdę nie można ocenić sprawy Jacksona, który przecież przez ponad dekadę zmagał się z podejrzeniami o pedofilię.

DLA KASY?

Od razu po emisji dokumentu na polskim HBO GO przeczytałem na portalach społecznościowych oskarżenia, że chodzi wyłącznie o wyludzenie kasy od rodziny Jacksona, bo rzekome ofiary przypomniały sobie o molestowaniu po 30 latach. Bardzo niemądry zarzut. Wystarczy poczytać wywiady z psychologami zajmującymi się ofiarami przemocy seksualnej, by się dowiedzieć, dlaczego potrafią one milczeć całe życie. Ja nie mam odwagi, by oceniać, co się dzieje

w sercu i umyśle wykorzystywanego seksualnie dziecka. Szczególnie tego, które zostało skrzywdzone przez króla popu. Człowieka fetowanego przez prezydentów USA, królową Anglii i przywódców religijnych. Jacko był człowiekiem od „Heal the World”. Ubierał się w strój głównego obrońcy niewinnych i pokrzywdzonych przez los. Był tym, który pomaga dzieciom na całym świecie. Był popkulturową Matką Teresą. Jego kalifornijska Kalkuta, nazwana Neverland, kryła jednak wyjątkowo mroczną tajemnicę. To zresztą bardzo ciekawa część dokumentu. Jak napompowana przez popkulturę ikona staje się pogańskim bożkiem. Jak staje się nadczłowiekiem.

W 2005 r. ława przysięgłych sądu w Santa Maria w Kalifornii orzekła, że Jackson nie dopuścił się w 2003 r. molestowania seksualnego wobec 13-letniego, chorego na nowotwór chłopca. W latach 90. Jackson miał podobno zapłacić w ramach cichej ugody ponad 200 mln dol. oskarżającym go ofiarom. Niedługo przed śmiercią artysty media donosiły, że w sprawie molestowania w 1993 r. zawarto ugodę, która kosztowała go 15,3 mln dol. W ostatnich dniach na światło dzienne wypłynęło nagranie sprzed 26 lat, na którym siostra Michaela, La Toya, odnosi się do pierwszych oskarżeń. „Michael jest moim bratem, bardzo go kocham, ale nie chcę i nie będę cichym sprzymierzeńcem w sprawie jego zbrodni przeciwko małym, niewinnym dzieciom. Kocham mojego brata, ale to jest niewłaściwe. Nie chcę widzieć, jak one cierpią” – mówiła. „Leaving Neverland” nie jest więc pierwszym ciosem w mit Jacksona. Ale najmocniejszym.

Jeżeli prawdą jest to, co mówią ofiary Jacksona, to Piotruś Pan miał twarz potwora. Nie chodzi mi o operacje plastyczne, bielactwo ani nos, który mu odpadł podczas jednego z koncertów. „Leaving Neverland” pokazuje, że był on potworem przede wszystkim w środku. Wyrachowanym, bezwzględnym i bardzo przebiegłym. Szkoda, że nie żyje i nie skonfrontuje się z tym, co widzimy na ekranie. Wiemy jednak, co by powiedział. „Jesteście ignorantami” – krzyczał w wywiadach na swoich oskarżycieli, dodając, że spanie dorosłego mężczyzny w jednym łóżku z obcymi dziećmi nie jest niczym nagannym ani podejrzanym.



Wade Robson i Michael Jackson – pierwsze spotkanie



Michael Jackson oraz Robsonowie, luty 1990

SEKS Z SIEDMIOLATKIEM

W „Leaving Neverland” o swoim związku z Jacko opowiadają dwaj mężczyźni. Obaj byli zapatrzeni w króla pop. Obaj imitowali go na scenie. James „Jimmi” Safechuck miał 10 lat, gdy musiał ścisnąć sutki masturbującego się króla pop. W wieku ośmiu lat zagrał w reklamie Pepsi z Jacksonem. Wade Robson miał tylko siedem lat, gdy Michael przekonywał go, że rozkładanie przed nim pośladków jest elementem miłości i przyjaźni. Obaj bardzo przekonująco opowiadają o swoich koszmarnych doświadczeniach. Wade był członkiem dziecięcego zespołu tańca z Brisbane w Australii. W 1987 r. – w wieku pięciu lat – wygrał konkurs taneczny, w którym główną nagrodą było spotkanie z Jacksonem. Dorośli dziś mężczyźni ze szczegółami opowiadają, jak Michael rozkochał ich w sobie. Powodował, że czuli się najważniejsi na świecie. Dzwonił do nich z każdej trasy koncertowej. Spędzał czas w ich domach. Zostali zaproszeni do jego krainy. Pełnej najlepszych na świecie zabawek, kolejek górskich i egzotycznych zwierząt. Własny park rozrywki.

Ich rodzice również zostali zafascynowani przez Jacksona. Ten podziwiany przez miliony ludzi na świecie gwiazdor siedział w pokoju tych zwykłych mam i tatusiów. Żył z nimi. Traktował jak swoich rodziców. „Prażem mu ubrania. Jemu!” – mówi na ekranie wciąż dumna z siebie matka jednego z mężczyzn.

Dlaczego to robił? Jackson rekompensował sobie brak dzieciństwa i koszmarnie relacje z sadystycznym ojcem. Jednocześnie miał potrzeby dorosłego mężczyzny. Siedmioletniemu dziecku miał włożyć do ust penisa. „Jak się o tym ktoś dowie, to życie twoje i twojej rodziny będzie skończone. Jak moje. Trafimy do więzienia” – mówił chłopcom. A oni go kochali. Nie widzieli nic złego w tym, co on im robił. Przez lata korzystał z tego szantażu. W 2005 r. obaj zeznawali w procesie sądowym na jego korzyść. Bronili go w telewizji. Ze strachu? Z poczucia przynależności do rodziny Jacksona? Ze wstydu? Wszystkiego po trochu.

Nie ukrywają, że byli zazdrośni, gdy Jacko odsunął ich na bok i otoczył się nowymi chłopcami, zainteresował się m.in. aktorem Macaulayem Culkinem. Słynny Kevin z „Home Alone” do dziś utrzymuje, że Jackson pedofilem nie był. Autorzy filmu to odnotowują. Obaj odnoszą się do tego, że przez lata Jacksona bronili. Robili to nawet pod przysięgą. „Byliśmy w sobie tak jakby zakochani. Ciągłe o nim myślałem. Byliśmy jak małżeństwo. Używam tego słowa, bo nawet wzięliśmy ślub. Taki na niby. To było w jego sypialni” – wspomina Safechuck. Podczas „zaślubin” miał 11 lat. Dziś, kiedy trzyma w ręku pierścione, trzęsą mu się ręce. Wade mówi, że nie chciał, by jego przyjaciel poszedł do więzienia na resztę życia. „Postanowiłem, że zabiorę do grobu informację o naszym seksualnym związku”.



Michael Jackson z Jamesem Safechuckiem

w ściganiu pedofilów w sutannach. Corey Feldman, który zaczął karierę w fabryce snów już w wieku trzech lat, grając m.in. w „Gremliny rozrabiają”, utrzymuje, że w Hollywood istnieje coś takiego jak „kanapa do castingu”, na której lądują zarówno nieletni, jak i aktorzy dorośli. Jego słowa potwierdził znany m.in. z roli Frodo we „Władcy Pierścieni” Elijah Wood. Jego zdaniem w Hollywood działa „zorganizowana pedofilia”. „Ofiary nie potrafią mówić tak głośno jak wpływowi ludzie” – mówi aktor, który dodał, że jego (debiutował w wieku ośmiu lat) od pedofilskich zapędów obroniła matka dbająca o jego karierę.

Feldman napisał akurat, że nie zna dowodów świadczących o pedofilii Jacksona i wątpi, by były one prawdziwe. Cóż, przez lata inni nie wierzyli w jego słowa o pedofilii w świecie filmu.

Dziś trudno nie patrzeć z zażenowaniem na niektóre wywody rodziców molestowanych chłopców. Jedna z matek nadal wydaje się zaślepiona blichтром Jacksona. Mimo krzywdy swojego dziecka! Gdzie byli rodzice? Naprawdę mogli być tak zaślepieni kasą? Te pytania przewijają się przez cały ten porażający dokument. Teraz obie matki mówią, że czują się współwinnymi cierpienia dzieci. Mają problem, bo nie odbudowały relacji z dużą częścią własnych rodzin. A mimo to wspominają Jacksonem z dziwnym uśmiechem na ustach. Jakby sentymentalnym.

ZŁY W SKÓRZE GENIUSZA

Gdy zabrałem się do pisania recenzji „Leaving Neverland” na portal w Polityce.pl, założyłem na uszy słuchawki i puściłem muzykę Jacksona. Wspaniałą. Genialną. W pewnym sensie boską. Tańczyłem do niej jako dziecko. Mój synek niedawno też przebiegał się za Jacko. Po tym dokumencie już bym mu na to nie pozwolił. Wiem, że imitował postać na scenie. Tyle że w przeciwieństwie do innych wokalistów Jackson na scenie nie był kimś innym. „Mógłbym na niej mieszkać. Kocham scenę” – mówi w nagraniu audio podczas zabawy w wywiad z małym „Jimmim”. On na scenie tańczył z obydwojema chłopcami. Tańczył z innymi dziećmi. Do piosenki „Bad” i „Dangerous”. Po obejrzeniu dokumentu uważam, że Michael Jackson był złym i niebezpiecznym potworem, tworzącym najgenialniejszy pop w historii. Ten film pokazuje, że „Wacko Jacko” był potworem z teledysku „Thriller”. Nie przez przypadek gwałceni chłopcy nosili jego czerwoną kurtkę. Nigdy do końca jej nie zdjęli, co widać w każdym ujęciu „Leaving Neverland”. Nigdy tego piekła nie opuszczają.

MISTRZ MANIPULACJI

Najbardziej przerażającą częścią dokumentu nie są opisy seksualnego związku Jacksona z dziećmi, ale uzależniania chłopców od siebie. Izolował ich od rodziców. Z jednej strony podstępnie i bardzo delikatnie budował ich nienawiść do matek („Wszystkie kobiety są złe” – wmawiał chłopcom), z drugiej – przekupywał ich rodziny. Wakacje w najdroższych apartamentach, kontakty z najbardziej znanymi ludźmi, wielkie zakupy drogich domów. Okazuje się, że Jackson wcale nie był wyłącznie infantylnym dzieckiem w ciele dorosłego mężczyzny. Jego dusza była pokiereszowana nie mniej niż jego pocięta skalpelem chirurgicznym twarz.

Jackson jak najbardziej przebiegły i działający na zimno psychopaci utkał emocjonalną więź między sobą a ofiarami. Wade Robson osiągnął przecież w show-biznesie wielki sukces. Jako choreograf pracował z Britney Spears, Justinem Timberlakiem czy Pink. Mimo zawodowej pozycji (a może przez nią?) i niezależności bronił Jacksona podczas jego pierwszego procesu o molestowanie seksualne. Obaj wykorzystani mężczyźni w latach 90. i na początku XXI w., gdy pojawiły się publiczne oskarżenia Jacko o molestowanie, nic nie powiedzieli nawet najbliższym. Dopiero po założeniu własnych rodzin i narodzinach swoich dzieci (ale też po załamaniu nerwowym) postanowili ujawnić światu prawdę. „Wykorzystanie nie wydawało się dziwne, bo dokonywał tego on, człowiek, który był dla mnie jak Bóg” – mówi Wade.

GDZIE BYLI RODZICE?

Pedofilia w show-biznesie jest okryta złą milczeniem. Często przez tych, którzy chętnie gładzą Kościół za zaniechania

Winni zamiast szlachty

Kino historyczne trzyma się u nas raz lepiej, raz gorzej. Co do seriali – cóż, wiadomości są raczej kiepskie. Nie najgorszy pomysł zilustrowania historii Polski życiorysami kobiet, czyli „Drogi wolności”, poległ przez mielizny scenariusza. Nawet „Bodo”, choć historia światka kabaretowo-filmowego w międzywojniu to właściwie samograj, wydał mi się ledwie poprawny.

Aż tu nagle... Czy powinienem po dwóch odcinkach chwalić „Stulecie Winnych” w TVP1? Pewnie wypadnie do niego jeszcze nieraz wrócić. Pierwsze wrażenia są zaskakująco dobre. Adaptacja udanej podobno powieści Albeny Grabowskiej, napisana przez nią wspólnie z Iloną Łepkowską i wyreżyserowana przez Piotra Trzaskalskiego, zaskoczyła już na wstępie paroma rzeczami.

Bąłem się wykalkulowanego fachmaństwa Łepkowskiej każącego zonglować faktami i emocjami. Jak na razie imponujący jest już sam wybór tematyki. Winni to chłopska rodzina, co prawda spod Warszawy (Brwinów), ale w roku wybuchu I wojny światowej odpowiednio biedna i zaniedbana, bez podejrzenia o szlacheckość, choćby zagrodową. A przecież, jak za uważał Jan Englert, wszyscy Polacy są dzisiaj szlachtą. Tradycji chłopskiej, choć wyrasta z niej większość z nas, trochę się wyparliśmy. Tu, jak rozumiem, jest ambicja, aby w konwencji sagi rodzinnej (którą skądinąd uwielbiam) nadrobić zaległość.

Zwykle takie seriale są przeładowane scenkami ilustrującymi kolejne tezy, obserwacje, idee. Dwa pierwsze odcinki „Stulecia...” obracały się zaś wokół w sumie jednego zdarzenia: rodzina Winnych ukrywa się w lesie najpierw przed wycofującymi się Rosjanami, potem nadchodzącymi Niemcami. Dramatyczne jest tu zagubienie jednostek. Scenariusz umie się zatrzymać przy przejmującej historii ojca rodu, nieidealnego, pijącego sporo zduna, który w chwili próby rusza ratować rodzinę. Przejmujące role Romana Garnarczyka

i Kingi Preis jako Winnych seniorów dopełniają fenomenu spojrzenia na historię z takiej perspektywy. Można by rzec „od dołu”.

To w arcydziełach takich jak „Wołyń” mieliśmy obraz historii przejeżdżającej po grzbietach szaraczków. Tu jest tak również – i o takim wymiarze przeszłości warto pamiętać. Czy tak będzie cały czas? Nie wiem, bo przecież polscy chłopci przeżywali rozłożony na różne okresy proces uobywatelnienia. W każdym razie wydaje mi się to, jak na razie, zaskakująco naturalne. Chwilami niemal szekspirowskie w wymiarze indywidualnych tragedii przeżywanych z niewielką liczbą słów. Może moje pochwały okażą się pochopne. Mam nadzieję, że nie.

Bohaterowie mówią, prawda, literacką polszczyzną, ale wszelkie językowe stylizacje byłyby chyba jeszcze bardziej zdradliwe w swojej nienaturalności. Nie będę nawet narzekał, że Jan Wieszczkowski czy Krzysztof Kwiatkowski są zanadto serialowo „amanczy”, zbyt mało chłopscy. Nie było jednej, takiej samej polskiej wsi ani jednego typu chłopca.



Proszę zobaczyć na fotkach, jak wyglądał Marian Bernaciak, czyli partyzancki dowódca „Orlik”, syn biednego rymarza spod Ryk. Szlachetna, inteligentna twarz. Ludzie tak już mają, że nie wszyscy mieszczą się w jednym schemacie.

Choć najbardziej autentyczny wydaje mi się soczyście charakterystyczny Arkadiusz Janiczek jako brat tamtych dwóch, a syn

Garnarczyka i Preis. W tym wszystkim jest mało tak typowego dla wypraw kina na wieś klimatu cepeliady, przebieranki. Jest za to mocna ciekawość, co dalej.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Notatki z odchodzenia

*Jak można poddawać krytyce zapiski czynione na krawędzi,
domagać się elastyczności języka i podejmowania gry
z czytelnikiem od kogoś, kto z trudem brnie piórem przez kartkę?*

Wśród wielu najbardziej osobistych doświadczeń ludzie dzielą się również tym: umieraniem. Nic dziwnego – może właśnie wtedy sprawą najwyższej wagi staje się ocalenie, poprzez składanie słowa do słowa, swojego ja. Piszą wspomnienia, listy pożegnalne i testamenty, czasem jednak postanawiają opisać sam czas gaśnięcia. Pisali dzienniki ostatnich dni rozbitkowie i ofiary epidemii, spisywali swoje doświadczenia suchotnicy i zawałowcy. W drugiej połowie XX w. miejsce innych przypadłości zajął „cesarz wszech chorób”: rak.

Błogów, zapisków, wyznań związanych z nowotworem, który już dziś jest statystycznie drugą najczęstszą przyczyną śmierci po chorobach krążenia, a z czasem może się wysforować na pierwsze jest tyle, że zyskały sobie niezbyt życzliwą nazwę zbiorczą: onkoliteratura. Gatunek ten dorobił się swoich klasyków (jak gigant amerykańskiego dziennikarstwa, zmarły na białaczkę w latach 70. Stewart Alsop, którego zapis choroby, zatytułowany „Odroczenie egzekucji”, był sensacją), debiutantów i wyrobników. Onkoliteratura budzi obawę nie tylko materią, którą porusza, lecz i tym, że niemal nie sposób jej oceniać – jak można poddawać krytyce zapiski czynione na krawędzi, domagać się elastyczności języka i podejmowania gry z czytelnikiem od kogoś, kto z trudem brnie piórem przez kartkę?

Można o książkach z tej półki pisać, kiedy okażą się czymś więcej niż osobistym wyznaniem lub lamentem, gdy

stają się opisem kondycji. A tak stało się z zapiskami zmarłej w ubiegłym roku 35-letniej filozofki Anety Żukowskiej, przez kilkadziesiąt miesięcy doświadczającej zbliżania się śmierci.

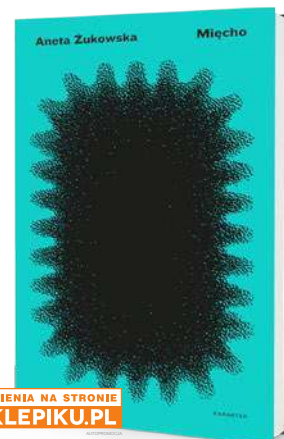
Jedni będą czytać „Mięcho” z doskoku, doświadczając na przemian fascynacji i lęku, inni będą sunąć strona za stroną, znużeni lekturą, ale nie odpuszczając jej sobie. Trafimy na fragmenty, które mogą prowokować do polemiki, które skłaniają do refleksji raczej o współczesnej kulturze niż o sprawach ostatecznych – autorka chłodno i konsekwentnie wybrała, jak to określa, „świat bez Boga” („Nie akceptuję dla siebie tej idei, po prostu mi się ona nie podoba”). Realizowała się w działaniach artystycznych, pozostała wierna tym wyborom również w chorobie; opisywany przez nią świat wypeł-

niony jest „projektami”, „przyjaciółmi”, „partnerami”, „związkami otwartymi”, ba, „niektórymi narkotykami” – wszystkimi tymi rekwizytami wielkomiejskiej zabawy, których widok po kilku latach nuży, nie bulwersuje. Jeśli coś jest bardziej banalnego od tej emancypacyjnej terminologii, to rozmówczyni Żukowskiej z dwóch długich, zamykających książkę, nieco drewnianych wywiadów, lekarka i psycholożka, które zarówno niechęć do podejmowania dyskusji o eutanazji, jak skandaliczny fakt, że w Polsce tak wolno rozwija się leczenie bólu, nader przewidywalnie tłumaczą oczywiście fatalnym dziedzictwem katolicyzmu. Te wywiady są chwilami niczym wydarte z „Wyborczej”, a jednak nawet w nich widać pragnienie śmiertelnie chorej pisarki, by dwa coraz bardziej oddalające się od siebie światy chorych



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Elias Canetti, „Księga przeciwko śmierci”,
przetł. Maria Przybyłowska, wydawnictwo
Pogranicze, 2019



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Aneta Żukowska, „Mięcho”,
wydawnictwo Karakter, 2019

i zdrowych łączyło jakieś zrozumienie, by wytłumaczyć tym, którzy nie zachorowali, jak to jest.

„Mięcho” można by określić mianem przewodnika po życiu pacjenta przyjmującego chemioterapię, zdarzają się w nim fragmenty czysto reporterskie, ale przede wszystkim jest to dziennik intymny: zapis zmagania się z perspektywą najpewniej bliskiej śmierci w sytuacji, gdy „trzydzieści trzy lata to jest czas na bujność, na głód świata, na strumień życia, nie na bycie mędrce. Jeszcze nie teraz”. Odpowiedzią Anety Żukowskiej było pragnienie autentyczności, doświadczenia, „święta życia”, które skłoniło ją nawet do przerwania na kilka miesięcy leczenia.

Paradoksalnym odkryciem, jakie płynie z lektury „Mięcha”, jest to, że wypracowana przez autorkę i pacjentkę zarazem postawa – dążenie do doświadczenia pełni życia mimo perspektywy

nieodległej śmierci – okazuje się zaskakująco nieodległa od rad ks. Jana Kaczkowskiego, przywoływanego zresztą bez wrogości przez Żukowską. Zmarły przed trzema laty na glejaka duchowny, świadom przecież wpisanej w samą kondycję człowieka pewności śmierci, pisał i przypominał o potrzebie doświadczania życia właśnie w perspektywie „rzeczy ostatecznych”, bez podszytego pychą budowania planów na dziesięciolecia, ukazywał logikę chrześcijańsko pojętego *carpe diem*.

Siła wyznań Żukowskiej, która już na zawsze pozostanie debiutantką – na zmianę pełnych rezygnacji i żarliwych, czasem na granicy ekshibicjonizmu – jest tak duża, że cyzelowane przez samego pisarza, a potem przez badaczy i wydawców dzieło życia Eliasa Canettiego, jego „Księga przeciwko śmierci” wydaje się w porównaniu z „Mięchem” momentami szeleścić papierem. Poeta

i dramaturg, potomek sefardyjskiej rodziny i ocalały przed Shoah wiedeńczyk, poliglota i noblista, przez całe niemal dorosłe życie oburzony na skandaliczność śmierci i na powszechność zabijania gromadził na ten temat paradoksalne aforyzmy, wypisy z antropologów i proroków, szkice fabuł osuwających się w groteskę à la Roland Topor. Powstało dzieło gęste, kopalnia cytatów, opowiadań, anegdot o kolegach pisarzach, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że Canetti prowokował i bawił się tematem, że w poszczególnych paradoksach zaprzeczał sobie, że żonglował samym słowem „śmierć” niczym gumową piłką, którą wyczyniać można nieprawdopodobne sztuczki, że fenomen umierania traktował to z ironiczną powagą, to że zgrozą, to targając je za wąsy. Cóż, mógł sobie na to pozwolić: nie doświadczył odchodzenia w wieku 35 lat, lecz mając ich blisko trzy razy więcej. 

Haiku w wazonie

Albumów z reprodukcjami arcydzieł malarstwa, niezastąpionych jako snobistyczny prezent, publikuje się na kopy. Ale wydane w tych dniach „Kwiaty baroku” to rzecz trochę z innego porządku, jakby komentarz do zamieszczonych powyżej uwag o zapisach przemijania. Mniejsza o wielkie nazwiska: w książce Macieja Sadowskiego znalazły się, wyszukane przez kustoszy, powiększone, detale z płócien Murilla i Caravaggia, ale największe wrażenie i tak robi Jan van Huysum, który dostrzegł czekoladowe przecinki mrówek drobiących w pierzastej dalii.

To o tym traktuje ten album gromadzący pół setki malarzy europejskiego baroku w mechanicznym porządku od a do z, bez żadnych względów dla chronologii, szkół i filiacji. Można więc wędrować po jego kartkach w dowolnym porządku, tropiąc poszczególne tulipany (karminowe na jedwabnym antependium ołtarza spod pędzla Giovanny Garzoni, fioletowoczarne u Abrahama Mignona, żółkowe czerwono jak kamień szlachetny na antwerpskiej

akwareli Jacoba Marrela). Można kolekcjonować odcienie (stalowa, przechodząca w błękit zieleń liści goździków, mdła szminka maków), krople wody na liściach, posadzone tam trochę w funkcji wodopoju dla motyli, a trochę soczewki, trzy sposoby na oddanie pędzlem chłodnej przejrzystości szkła.

A najlepiej tropić symbole wanitatywne. Nie każdy jest tak prostolinijny, by, jak Philippe de Champaigne, posadzić pośrodku stołu żółtką, bezzębną czaszkę, po czym dodać jej do towarzystwa jeden, krótko ucięty tulipan w kulistej fioletce, nie mają jednak obrazu, który nie przypominałby o przemijaniu: jak nie zegarek kieszonkowy na atlasowej wstążce, to martwa jaszczurka, jak nienadkrojona brzozkwinia, to plaga ślimaków. Herman Herstenburg podpiera wazon porcelanowobiałą kością udową, u Balthasara van der Asta zdumiona, próżna papuga zerka na pół tuzina muszli i natrętną muchę, szukającą nie wiadomo czego na płatkach cynii.

To wszystko jednak tylko wymogi konwencji, memento mori natrętne niczym łokieć wsadzony nam pod pokryte



jeszcze skórą żebro, bo najcelniejszym przypomnieniem o przemijaniu są właśnie kwiaty. Niezmordowane irysy, nieskończone róże w tej samej chwili, w której osiągają akme, zaczynają więdnąć, i najdoskonalszymi obrazami w albumie są te, które ukazują ten stan rzeczy: wiotkie płatki, które za moment osypią się na stół. Daleki Wschód, chcąc skupić uwagę na pojedynczej, niepowtarzalnej chwili, stworzył wersy haiku. Zachód, chcąc ćwiczyć uważność na swój sposób, wymyślił barokową botanikę. 



Ricky Gervais na (prawie) poważnie

Ricky Gervais to komik, który zupełnie szczerze i w niewyrachowany sposób niszczy normy poprawności politycznej. Nie dlatego, że ostatnio jest to modne. On naprawdę nie uznaje żadnych świętości. Ma do tego w sobie brytyjski pazur niestępiony sztucznym uśmiechem Hollywood, co było widać, gdy prowadził Złote Globy. Tak bardzo oburzył żartami hollywoodzkich celebrytów, że ci przez długi czas atakowali go w mediach. W końcu odniósł się do niezrozumienia swoich żartów przez przesiąkniętych politpoprawnością Amerykanów w Netflixowym stand-upie „Humanity”. Teraz Netflix wyprodukował jego autorski serial. „After life” ma wszystko, co fani Gervaisa w nim kochają. Ten zaś w zdumiewający sposób odsłania zupełnie nieznaną stronę swojej osobowości. Wrażliwą!

To on dał nam oryginalną wersję serialu „Biuro”. Wicie więc, jakiego rodzaju humoru się spodziewać. Gervais wciela się w Tony’ego, faceta w średnim wieku z prowincjonalnego miasteczka nad morzem. Rak zabrał mu ukochaną żonę. Tony pozostał sam z psem i nagrany przez żegnającą go kobietę filmikiem, który odtwarza w przerwach między piciem, paleniem haszyszynu a zaniechanymi (przez wyraz pyska swojego wiernego czworonoga) próbami samobójczymi. Nic nie zostało z jego pogody ducha ani radości życia. Gardzi pracą w lokalnej gazecie, gdzie opisuje dziwactwa mieszkańców miasteczka, pragnących chociaż raz pojawić się na jej łamach. Szydzi ze współpracowników i bezczelnie dokucza zatrudniającemu go szwagrowi. Ciepłe uczucia ma tylko do siostrzeńca i swojej suczki. Nawet do cierpiącego na alzheimera ojca przychodzi z przymusu. Cynizm, sarkazm i ironia – oto, co charakteryzuje zamieniającego się w zombie Tony’ego.

Znajdziecie tutaj całą masę typowego dla Gervaisa czarnego humoru. Tony jest do bólu szczerzy wobec otoczenia. Nie zwraca uwagi na konwenanse ani nie interesują go społeczne maski. „Dobry dzień jest wtedy, kiedy nie chodzę, mając



VOD

ochotę zacząć strzelać do nieznajomych ludzi, a potem zabić się sam” – mówi Tony, oblewając nas kolejnymi depresyjnymi wywodami, które, o zgrozo!, udzielają się widzowi. Do czasu.

Tym razem reżyser i scenarzysta sześciu odcinków (każdy ma pół godziny, więc serial się połyka w jedno popołudnie) chce przekazać coś więcej o ludzkiej kondycji. Jest więc „After life” poważną, choć podlaną komicznym sosem, opowieścią o radzeniu sobie z traumą po śmierci ukochanej osoby. Co ciekawe, znany z celebrowania swojego ateizmu brytyjski komik odrzuca nie tylko religię, lecz również psychoterapię, wyśmiewając kozetkę w wyjątkowo ostry i okrutny sposób. Ostatecznie wiecznie niepoprawnie mizantropiczny Gervais pochyla się nad istotą miłości i... dbania o wspólnotę. Banal i cikliwość? Tak, ale w ujęciu twórcy „Biura” wyśmienicie go się chrupie.

Dawno żaden serial nie nastroił mnie tak dobrze do życia. No, może przesadzam. Równie uroczy i słodko-gorzki jest „The Kominsky Method” z tej samej platformy VOD. Jak już Gervais podtrzymuje na duchu, to może jest nadzieja dla świata.

„AFTER LIFE” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Kino

Kino moralnego niepokoju

Hirokazu Koreeda jest mistrzem lustrowania rodziny. „Jak ojciec i syn” czy „Nasza młodsza siostra” dowodzą, że nie są przesadą porównania japońskiego reżysera do samego Yasujiro Ozu. Nominowane w tym roku do Oscara „Złodziejaski” to najpełniejsze dzieło Japończyka. Koreeda opowiada o trzypokoleniowej ubogiej rodzinie z przedmieść Tokio. Utrzymuje się ona m.in. z drobnych kradzieży. Mimo biedy i beznadziei przyjmuje pod swój dach bezdomną dziewczynkę.

Obserwowana do tej pory z zewnątrz rodzina odsłania przed nami swoje tajemnice. Jak zawsze u niego bliskość nie ozna-



cza tylko więzów krwi. Jest wspólnotą, gdzie wykuwa się dopiero miłość i przywiązanie. A co jak jej członkowie noszą maski? Czy na kłamstwie da się zbudować miłość? Koreeda jest mistrzem obserwacji i subtelnego wyciągania z zachowania członków rodziny ich drugiego dna. Do tego drażni moralnie. Stawia widza przed potrzebą wyboru, który nie jest moralnie jednowymiarowy. Cóż, Koreeda kręci prawdziwe kino moralnego niepokoju. Rozdzierające serce.

„ZŁODZIEJASKI”

REŻ. HIROKAZU KOREEDA, DYSTR. PMPG POLSKIE MEDIA



Mitologia Kapuścińskiego

Ryszard Kapuściński to ikona polskiego dziennikarstwa. Pomnik, na którym nie wolno zrobić nawet małej rysy, o czym przekonał się uczeń Kapuścińskiego Artur Domosławski. Jego książka „Kapuściński. Non fiction” rozwścieczyła wszystkich świętych tzw. salonu. Za co? Za reporterskie spojrzenie na karierę dziennikarza w kontekście jego uwikłania w kolaborację z komunistami.

„Jeszcze dzień życia” Damiana Nenowa i Raúla de la Fuente jest bardzo ciekawie zrealizowanym dziełem filmowym. To eklektyczne gatunkowo połączenie bardzo dobrej animacji, dokumentu (wypowiedzi świadków wydarzeń) i brutalnego kina wojennego. Jednocześnie jest to film na wskroś mitologiczny. Kapuściński jest w nim idealnie niedogolonym, przepełnionym i twardejśko błyskotliwym reportażyście z „karabinem na ramieniu”. Kapuściński przyznawał, że to właśnie w Angoli strzelał w obronie walczących o niepodległość mieszkańców tego kraju. „W wywiadach opowiadał, jak w 1975 r. w Angoli chwycił za broń.

Ale o tym, że był tłumaczem sowieckich doradców wspierających komunistyczną partyzantkę, wiedział tylko jego szef” – pisał Domosławski. Twórcy starają się wprost nie mówić, że wspierany przez Kapuścińskiego Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli – Partia Pracy (MPLA) to komunistyczna partyzantka. Oj nie! Tutaj mamy socjalistycznych rewolucjonistów walczących romantycznie, jak Fidel Castro i Che Guevara.

„Jeszcze dzień życia” bardzo mocno dotyka rozważań o granicach autocenzury i odpowiedzialności za słowo. Kapuściński w Angoli dostał informacje, że MPLA wspierają Kubańczycy. Gdyby ją ujawnił, wpłynąłby na przebieg zimnej wojny między mocarstwami, które oficjalnie nie wspierały rewolucyjnych ruchów w Afryce czy Ameryce Południowej. „Jako jeden z niewielu wiedziałem od początku o obecności Kubańczyków”



– przyznawał rok po opuszczeniu Angoli. Mam podejrzenia, graniczące z pewnością, że gdyby Kapuściński wiedział o pomocy Amerykanów dla przeciwników marksistów z MPLA, nie miałby oporów, by „zmieniać bieg historii”. Jednak on przez całe życie umacniał romantyczny mit komunistycznej partyzantki pod każdą szerokością geograficzną świata.

To jest coś, czego nie mogę przebaczyć infantylnym artystom wyrosłym z rewolucji '68. To oni stworzyli romantyczny mit Che Guevary i innych komunistycznych morderców, którzy stali się symbolem na T-shirtach zblazowanej od kapitalistycznych pieniędzy lewicowej młodzieży. Młodzieży noszącej drogie ciuszki i protestującej przeciwko kapitalizmowi za pomocą manifestów pisanych na macie z kawą Starbunia. Kapuściński nigdy nie ukrywał swoich sympatii dla komunistycznych partyzantek. Był uczciwy w kreowaniu czerwonej mitologii. Niestety jego bezkrytyczni fani tworzą już tylko martwe kopie jego znakomitych warsztatowo reportaży. Ten film jest tego dowodem.

„JESZCZE DZIEŃ ŻYCIA”,

REŻ. DAMIAN NENOWA I RAÚL DE LA FUENTE, DYSTR. NEXT FILM

Robin Hood z fast foodu

Każdy ma swoją ulubioną wersję legendy Robin Hooda. Ja jestem dzieciakiem lat 90., więc w sercu mam „Robina z Sherwood” z nieśmiertelną sceną śmierci Loxleya z czarnymi włosami (Michael Praed), którego zastąpił blondyn (Jason Connery). Pamiętając tamtą zjawiskowo klimatyczną produkcję, trudno mi znaleźć słowa potępienia po seansie tego potworka. „Robin Hood. Początek” to absolutnie kretynska wersja przegód banity z Sherwood, zrobiona dla zblazowanej bezkofeinowej buraczanej latte widowni, podłączonej non stop do smartfona.

Rob, tak się zowie tutaj Robin, żeby ćpający popkulturowy fast food mógł widza nie musiał zapamiętywać

długości imienia. No i ma ten Rob-model luk o sile AK47 i wyrzeźbioną klatę. Walczy w dziwacznym świecie, będącym hybrydą średniowiecznej Anglii i współczesnej Europy. Szeryf z Nottingham ma natomiast skórzany płaszcz rodem z „Matrixa”. Absurdalne uwspółcześnienie (Rob to krzyżowiec chyba z wojny w Iraku), bełkotliwe dialogi i bałamutne przesłanie – nic dziwnego, że ten film zyskał miano najgorszego obrazu zeszłego roku. Nie rozumiem, po co komu ten XXI-wieczny Rob z Loxley, skoro z luku bardziej widowiskowo strzela Hawkeye w „Avengers”. Trzymać się z daleka!

„ROBIN HOOD. POCZĄTEK”,

REŻ. OTTO BARTHURST, DYSTR. MONOLIT



Kornel Morawiecki – żywa księga historii

Premier Węgier Viktor Orbán uhonorował marszałka seniora Kornela Morawieckiego wysokim węgierskim odznaczeniem: Krzyżem Średnim Orderu Zasługi Węgier. Uroczystość odbyła się 10 marca w ambasadzie Węgier w Warszawie. Prezentujemy krótką laudację wygłoszoną z tej okazji przez premiera Orbána



Jest w Europie wiele salonów, w których można się spotkać, tak jak my się tu spotkaliśmy. Ale nie ma drugiego takiego salonu, w którym można tak konkretnie dotknąć przyjaźni, jak wówczas, gdy w jednym pomieszczeniu spotykają się Polacy i Węgrzy. Ta miłość płynąca z Polaków i Węgrów sprawia, że nie ma drugiego takiego miejsca. Daje to nam nadzieję na to, że Duch Święty działa także w polityce.

Z synem pana marszałka (premierem Morawieckim) przybyliśmy z pokazu wojskowego. Przypomniały mi się moje lata wojskowe i dobrze pamiętam, że gdy byłem w wojsku, wysłano nas do okręgu, gdzie dostaliśmy do ręki ostrą broń. Czekaliśmy z tą bronią półtora dnia, nie wiedząc, o co chodzi. Dopiero po powrocie do garnizonu dowiedzieliśmy się o wojskowym puczu w Polsce. Dobry Bóg oszczędził nas, nie musieliśmy, jako żołnierze, wchodzić do Polski, tak jak w 1968 r. do Czechosłowacji.

Bardzo rzadko zdarza się człowiekowi, panie marszałku, że stoi naprzeciwko żywej księgi historii. W 1984 i 1985 r. studiowaliśmy z przyjaciółmi działalność różnych środkowoeuropejskich kręgów opozycyjnych. Było to w ramach półoficjalnych zajęć na naszej uczelni. Uczono nas wówczas o Solidarności i tam pierwszy raz zetknąłem się z nazwiskiem „Morawiecki”, i po raz pierwszy usłyszałem o Solidarności Walczącej. Bardzo się cieszę, że mogę teraz stać twarzą w twarz z moim ówczesnym „materiałem naukowym”. Zapytałem się wówczas mojego profesora, która z polskich grup opozycyjnych, który z nurtów jest nam najbliższy. I wtedy mój profesor powiedział: „Morawiecki, to jest nasz człowiek”.

Parę miesięcy po zdławieniu Solidarności, gdy polskie ulice spacyfikowały czołgi, została ogłoszona odezwa Solidarności Walczącej. Znalazły się w niej mocne, zdecydowane zdania. Cytuję: „Dlaczego walka? Byśmy wygrali.

Byśmy mogli ochronić najsłabszych i tych, którzy cierpią przez ubóstwo, przez głód, w więzieniach. Byśmy nie żyli w niewoli. Byśmy mogli być wierni tradycjom naszych ojców i naszych dziadków. Za naszą i waszą wolność. Byśmy pokazali światu, że można się przeciwstawić złu i przemocy”.

Było to w 1982 r., o zmianie ustroju wówczas jeszcze nawet nie rozmawiano, ale prowadzona przez pana Solidarność Walcząca wyznaczyła już wtedy takie cele, jak rozpad Związku Radzieckiego, stworzenie zjednoczonych Niemiec oraz odzyskanie niepodległości przez państwa Europy Środkowej. Za takie zdania płaciło się wówczas bardzo wysoką cenę. Takie myśli nawet na Zachodzie przychodziły do głowy niewielu osobom. Ludzie byli tam przekonani, że Związek Radziecki i komunizm będą istniały jeszcze przez wiele dekad. Ci, którzy sądzili, że będzie inaczej, czerpali swoją



Dzięki panu i pana kolegom ludzie wiedzieli, że komunizmu nie można naprawić, nie można go zreformować, że nie można mu nadać ludzkiej twarzy i że jego brzemień musi zostać ujawnione. My, młodzież węgierska, zwracaliśmy się ku państwu

siłę z państwa walki. Dzięki panu i pana kolegom ludzie wiedzieli, że komunizmu nie można naprawić, nie można go zreformować, że nie można mu nadać ludzkiej twarzy i że jego brzemień musi zostać ujawnione. My, młodzież węgierska, zwracaliśmy się ku państwu.

Gdy później założyliśmy swoją własną organizację, musieliśmy zdecydować, w jakim stopniu będziemy radykalni.

I zdecydowaliśmy, że będziemy tak radykalni, jak pan i pana organizacja. Bo ci, którzy chcą zburzyć mury, najpierw muszą dojść do tych murów, tak jak wy to učiniliście.

Solidarność Walcząca zawsze mówiła i robiła to, co trzeba było wówczas robić, w takiej formie, że jej przekaz był dla wszystkich i wszędzie zrozumiały. Dzięki panu kultura odważnego dzia-

łania i czystej mowy istnieje do dziś w Polsce, żyje też jeszcze na Węgrzech. Dobrze wiemy, że w tej części Europy narody zawsze muszą być czujne.

Legendarny marszałek Polski tak to ujął: „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo. Zwyciężyć i spocząć na laurach – to klęska”. Tak właśnie walczyli polscy i węgierscy powstańcy w czasie Wiosny Ludów, tak właśnie walczyła Armia Krajowa, tak walczyli państwo w Solidarności Walczącej. W tym też duchu walczymy teraz również my.

Odnaczenia mówią zazwyczaj o tym, że okazujemy szacunek osobom, którym przekazujemy wyróżnienie. W tym wypadku jest inaczej. Bo fakt, że mogę wręczyć panu to odznaczenie, to podziękowanie za solidarną postawę wobec Węgier, jest wielkim zaszczytem przede wszystkim dla mnie. W imieniu narodu węgierskiego życzę panu dużo siły, dużo zdrowia. Niech Pan Bóg błogosławi! 

Jedna z egzekucji w tzw.
Warszawskim Pierscieniu Śmierci



Zbrodnia zapomniana

Niewiele wiadomo o okolicznościach i ofiarach egzekucji w Górach Szwedzkich. Można przyjąć, że rozstrzelani byli mieszkańcami różnych dzielnic Warszawy i okolic. Zostali oni najprawdopodobniej wcześniej aresztowani i osadzeni w więzieniach, skąd przywieziono ich 6 stycznia 1940 r. na miejsce egzekucji



KATARZYNA UTRACKA



REMIGIUSZ STEFANI

Do jednego z dołów żołnierze w mundurach feldgrau prowadzą dziewięćdziesięciu ludzi przywiezionych ciężarówkami. Potem rozlegają się strzały. Pojedyncze strzały. Wszystko trwa dość długo. Kilku skazańców wyrywa się



i nieporadnie wbiega na wzniesienia. Potykając się, próbują uciekać w stronę odległych zabudowań. Dosiegają ich kule. Widzieliśmy to z okien. Widziałem tych ludzi, jak upadali. Mieszkaliśmy w Chomiczówce, widzieliśmy te pagórki. Kilkaset metrów od nas. Małe uciekające postacie. Patrzyłem skamieniały”. Ten wstrząsający opis pochodzi z książki „Ptaki drapieżne. Historia Lucjana »Sępa« Wiśniewskiego, likwidatora z Kontrwywiadu AK”, i dotyczy wydarzeń, które rozegrały się 6 stycznia 1940 r. na terenie podwarszawskich Gór Szwedzkich. Zbrodnia ta, mimo że była drugą po wawerskiej masowej egzekucji w Warszawie, w której zginęła zresztą podobna liczba osób, została prawie zupełnie zapomniana.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
Okręg Warszawski

Warszawa, dn. 14 IV 1945 r.

PROTOKÓŁ Nr. 69/MS 12742 **o ekshumacji zwłok znajdujących się**

na terenie

Nazwisko i imię

Wiek lub data urodzenia

Imiona rodziców

Ostatnie miejsce zam.

Miejsce skąd zabrano zwłoki

Miejsce gdzie pochowano

Nr. znaczka

Znaki szczególne

Przyczyna zgonu

Depozyty

Uwagi

Protokółant P.C.K.

Lekarz

Kierownik Odcinka

TERROR MÓGŁ DOTKNĄĆ KAŻDEGO

Niemcy w okupowanej Polsce od pierwszych tygodni prowadzili politykę bezwzględnego terroru, zmierzającą do wyniszczenia polskiej ludności. Warszawa – jako nie tylko największe, lecz i najbardziej aktywne społecznie, politycznie i kulturalnie skupisko Polaków – stała się terenem jej szczególnego nasilenia. Stosunek władz okupacyjnych do stolicy Polski i jej mieszkańców

najlepiej oddaje wypowiedź generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich Hansa Franka: „W kraju tym znajduje się pewien punkt będący źródłem wszelkich nieszczęść; jest nim Warszawa. Gdyby w Generalnej Guberni nie było Warszawy, wówczas trudności, z którymi się borykamy, zmalałyby o 4/5. Warszawa jest i będzie ogniskiem wszelkich zaburzeń, miejscem, z którego niepokój rozchodzi się po całym kraju”.

Okupant natychmiast przystąpił do organizowania niemieckiego aparatu administracyjnego i policyjnego, którego brutalność miała odstraszyć warszawiaków od wszelkiej działalności niepodległościowej, kulturalnej, a nawet ekonomicznej. Na ulicach Warszawy prowadzono kontrole dokumentów, dokonywano rewizji, zatrzymań i egzekucji. Wśród aresztowanych znalazł się m.in. prezydent stolicy, współorganizator obrony miasta we wrześniu 1939 r., Stefan Starzyński (został zamordowany przez Gestapo w grudniu 1939 r., dokładne miejsce jego śmierci do dziś nie jest znane). Podczas ulicznych łapanek dochodziło do masowych aresztowań przypadkowych przechodniów; większość z nich wywożono na roboty przymusowe do III Rzeszy lub do obozów koncentracyjnych.

27 grudnia 1939 r. w odwecie za śmierć dwóch niemieckich żołnierzy zabitych w podwarszawskim Wawrze (obecnie dzielnica Warszawy) przez miejscowych kryminalistów okupant zamordował 107 cywilów. Zbrodnia ta odbiła się głośnym echem nie tylko w Warszawie, lecz również w całym kraju. Była to pierwsza masowa egzekucja ludności cywilnej w Generalnym Gubernatorstwie. Wywołała prawdziwą psychozę strachu. Zdano sobie bowiem sprawę, że terror niemiecki może dotknąć każdego bez wyjątku. Polacy zaczęli żyć w nieustannym zagrożeniu przed śmiercią.

EGZEKUCJA W ŚWIĘTO TRZECH KRÓLI

10 dni po zbrodni wawerskiej, 6 stycznia 1940 r., w święto Trzech Króli, które przypadło wówczas w sobotę, Niemcy dokonali kolejnego zbiorowego mordu na polskich obywatelach. W godzinach rannych na teren podwarszawskich Gór Szwedzkich przyjechały niemieckie ciężarówki, z których wyładowano 96 osób. Niemcy, wykorzystując ukształtowanie terenu, liczne góry i zagłębienia, spędzili ofiary w jedno z takich miejsc i je rozstrzelali. Ze względu na mrozy, które wówczas panowały (temperatura dochodziła do -20°C), zamrożoną ziemię Niemcy rozbili granatami, przysypując zwłoki bryłami. Dopiero wiosną



Fot. MPW

Kobiety przywiezione ciężarówką więzienną, tzw. budą, na egzekucję

miejscowa ludność przykryła zwłoki ziemią.

MIEJSCE ZBRODNI

Góry Szwedzkie znajdowały się na pograniczu dzisiejszych Bielan i Bemowa. Były to półkoliste, piaszczyste wzgórza wydmy, które po II wojnie światowej zniknęły z pejzażu miasta – zostały splantowane pod budowę lotniska wojskowego Warszawa-Babice (popularnie nazywanego lotniskiem Bemowo). Nazwa sugeruje, że w tych okolicach mogły stacjonować kiedyś wojska szwedzkie. Nie znajduje to jednak potwierdzenia w źródłach. Nazwa może też być traumatyczną spuścizną po potopie szwedzkim, kiedy pustkowie i nieużytki często określano przymiotnikiem „szwedzki”.

Historia Gór Szwedzkich nierozdzielnie sprzęgnięta jest z dramatycznymi dziejami Warszawy. Były one miejscem walk niepodległościowych z czasów insurekcji kościuszkowskiej i powstania listopadowego. W XIX w. stały się częścią olbrzymiego rosyjskiego poligonu wojskowego, gdzie wzniesiono budowle ćwiczebne. Z czasem w ramach Twierdzy Warszawa Rosjanie wybudowali w okolicy zespół fortów: Fort „P” – Parysów (od 1921 r. Fort Bema), Fort II Wawrzyszew, Fort IIa Babice i Fort III Blizne.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości teren Gór Szwedzkich przejęło Wojsko Polskie. Nadal mieścił się tam poligon wojskowy, a w pobliżu stała nowoczesna Transatlantycka Radiostacja Nadawcza. Po krwawych walkach toczonych we wrześniu 1939 r. w obronie stolicy i po zajęciu Warszawy przez

Niemców Góry Szwedzkie i pobliskie tereny dalej były wykorzystywane przez wojsko, tym razem niemieckie. Z tym okresem wiąże się jeszcze jedna dramatyczna historia, która wydarzyła się ponad cztery lata po egzekucji z 6 stycznia 1940 r.

MASAKRA ODDZIAŁÓW POWSTAŃCZYCH

2 sierpnia 1944 r. nad ranem na polach pod Boernerowem nieopodal Gór Szwedzkich doszło do masakry części oddziałów powstańczych z Żoliborza, wycofujących się do Puszczy Kampinoskiej. Zginęło wówczas 73 praktycznie nieuzbrojonych powstańców, w tym szpica kolumny, której żołnierzy wziętych do niewoli Niemcy rozstrzelali. Polegli i zamordowani powstańcy zostali pochowani na miejscu masakry. W listopadzie 1945 r. pracownicy Polskiego Czerwonego Krzyża przeprowadzili ekshumacje. Szczątki ofiar przeniesiono do kwatery wojskowej na cmentarzu w Wawrzyszewie. 4 sierpnia 1946 r. w pobliżu miejsca, gdzie znajdowały się dwie mogiły zbiorowe, pojawił się głaz-pomnik. Rok później w związku z budową lotniska przeniesiono go pod figurę Matki Bożej z Dzieciątkiem u zbiegu al. Aleksandra Prystora i ul. Parkowej (obecnie ulic Westerplatte i Grotowskiej). W tym miejscu pomnik znajduje się do dziś.

EKSHUMACJA

Niewiele wiadomo o okolicznościach i ofiarach egzekucji w Górach Szwedzkich. Można przyjąć, że rozstrzelani byli mieszkańcami różnych dzielnic

Warszawy i okolic. Zostali oni najprawdopodobniej wcześniej aresztowani i osadzeni w warszawskich więzieniach, skąd przywieziono ich na miejsce egzekucji. Więcej informacji dostarczyła ekshumacja przeprowadzona wiosną 1947 r. na zlecenie wojska przez Powiatowy Komitet Opieki nad Grobami Bojowników o Wolność.

Z dołu znajdującego się w naturalnym zagłębieniu terenu w okresie od 31 marca do 3 kwietnia wydobyto szczątki 96 osób, w tym jednej kobiety. Były one przysypane cienką warstwą ziemi. Na podstawie dokumentów odnalezionych przy zwłokach udało się zidentyfikować jedynie trzy osoby: Mariana Gutowskiego (ur. 2.08.1908 r. w Warszawie, syna Józefa i Franciszki, zam. ul. Czerniakowska 148), Kazimierza Makowskiego (zam. Henryków k. Jabłonnej, ul. Poniatowskiego, tzw. dom Hofera) i Władysława Guten-szuta. Wszystkich ekshumowanych pochowano na cmentarzu wojennym w Palmirach.

ŚWIADECTWA ZBRODNI

W Archiwum Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża znajdują się protokoły oraz dwa sprawozdania z ekshumacji. Lektura dokumentów pozostawia wstrząsające wrażenie. Potęguje je urzędowy charakter materiałów. Są one lakoniczne, zawierają podstawowe informacje o ofierze: płeć, stan zachowania szczątków, opis odzieży, odniesione obrażenia i znalezione przy zwłokach przedmioty. Każda z ekshumowanych osób ma nadawany numer identyfikacyjny, który widnieje w protokole. Zawiera on również informacje o miejscu pochowania na cmentarzu w Palmirach.

Dokumentacja dostarcza bezcennej wiedzy o sposobie przeprowadzenia egzekucji. Ofiary w większości mają ślady postrzałów w klatkę piersiową. Większość z nich ma również roztrzaskane głowy. Przed śmiercią ofiary miały związane jasne opaski na oczach. Ubiór sugeruje, że ofiary założyły na siebie wszystko, co miały pod ręką, np. dwie pary spodni, jedwabne spodnie od pizamy, garnitury, marynarki, palta z futrzanymi kołnierzami, jesionki,

szaliki. Wydaje się, że ofiary nie miały świadomości, iż jadą na rozstrzelanie. Być może wmówiono im, że są przewożone w inne miejsce (co praktykowano przy tego typu egzekucjach). W celu uwiarygodnienia tej wersji wydawano aresztowanym odzież i przedmioty osobiste znajdowane później przy zwłokach. Tak było w przypadku zamordowanych w Górach Szwedzkich. Podczas ekshumacji znaleziono grzebień, ołówki, chustki płócienne, papierosnice, portfele, drobne pieniądze, strzępy dokumentów i inne.

W kieszeni jednej z ofiar była opaska z gwiazdą Dawida, co wskazuje, że osoba ta została aresztowana po 1 grudnia 1939 r. (data wprowadzenia zarządzenia o konieczności noszenia opasek przez ludność żydowską).

PRZYWRACANIE PAMIĘCI

W literaturze przedmiotu można znaleźć jedynie lakoniczne wzmianki o zbrodni w Górach Szwedzkich. Co ciekawe, Instytut Pamięci Narodowej prowadził śledztwo w sprawie egzekucji dokonywanych przez Niemców w okresie od 1939 do 1945 r. w okolicach Warszawy, w tym w Górach Szwedzkich. „Wobec śmierci sprawców kierowniczych” oraz „wobec niewykrycia sprawców bezpośrednich” śledztwo dotyczące „niemieckiego Katynia” zostało umorzone w 2016 r.

Sprawie pamięci o wydarzeniach z 6 stycznia 1940 r. nie pomaga to, że samo miejsce egzekucji nie zostało w żaden sposób upamiętnione. Góry Szwedzkie jako takie już nie istnieją. Po wojnie teren został zniwelowany, całkowicie zmieniając swój charakter.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
Okręg Warszawski

Warszawa, dn. 2.11.1945 r.

12742

399/10

aa

PROTOKÓŁ Nr. 399/10
o ekshumacji zwłok znajdujących się
na terenie *Henryków k. Jabłonnej*

Nazwisko i imię *Makowski* płeć *m.*
Wiek lub data urodzenia *1893* narod. *Pol.*
Imiona rodziców *Henryk i Franciszka*
Ostatnie miejsce zam. *Henryków k. Jabłonnej*
Miejsce skąd zabrano zwłoki *Henryków k. Jabłonnej*
Miejsce gdzie pochowano *ul. 4. Sobieskiego*
Nr. znaczka *12539*
Znaki szczególne *Opaska z gwiazdą Dawida*
Przyczyna zgonu *Strzelanie*
Depozyty *Opaska z gwiazdą Dawida*
Uwagi *Strzelanie z bliznami*
Lekarz *Kornel - Malinowski*
Protokółant P.C.K. *S. Ma...*
Kierownik Odcinka *Rej. 22/11/45*

Obecnie jest to północna granica Bemowa, teren lotniska i ogródków działkowych. Wykorzystując stare plany Warszawy, zdjęcia lotnicze z 1944 r. oraz relacje świadków, znakomity warszawianista, ekspert ds. wojennych fotografii lotniczych Zygmunt Wałkowski ustalił z dużym prawdopodobieństwem, że miejsce egzekucji znajdowało się na środku dzisiejszego pasa startowego.

O ile na terenie Bemowa przetrwały relikty zarówno rosyjskich XIX-wiecznych fortów czy Transatlantycznej Radiostacji Nadawczej, o tyle Góry Szwedzkie bezpowrotnie zniknęły z pejzażu dzielnicy. Przywracanie pamięci o egzekucji z 6 stycznia 1940 r. należałoby zacząć od jej upamiętnienia. Wydaje się więc, że najlepszym dla tego miejscem jest ul. Powstańców Śląskich, nieopodal skrzyżowania z ul. gen. Maczka. Przy okazji warto przypomnieć bogatą historię tego miejsca, o którym pamięć w świadomości współczesnych warszawiaków praktycznie nie istnieje.

W 2018 r. zawiązał się Społeczny Komitet Upamiętnienia Polaków Zamordowanych przez Niemców w Górach Szwedzkich w dniu 6 stycznia 1940 r. //



Petro Poroszenko



Julia Tymoszenko

Król czekolady, gazowa księżniczka i sługa narodu

31 marca odbędą się wybory prezydenckie na Ukrainie.

Do wyścigu stanęło 44 kandydatów, ale na ostatniej prostej liczy się tylko troje

Przez wiele miesięcy wydawało się, że walka o najważniejszy urząd w państwie rozstrzygnie się między dwojgiem zaprawionych w bojach polityków: Petro Poroszenką a Julią Tymoszenko. Ich rywalizacja sięga jeszcze roku 2005. Oboje byli wówczas czołowymi postaciami pomarańczowej rewolucji: on jako sponsor działający na zapleczu, ona jako liderka na scenie. Gdy prezydentem został Wiktor Juszczenko, pojawiło się pytanie, kto będzie premierem. Juszczenko i Poroszenko byli kumami, czyli ojcami chrzestnymi swych najmłodszych dzieci, a na Ukrainie kum to ktoś więcej niż w Polsce – to członek rodziny. Pierwszy obiecał więc drugiemu fotel szefa rządu. Sytuacja potoczyła się jednak inaczej. To charyzmatyczna Tymoszenko stała się twarzą rewolucji i zdobyła tak mocną pozycję, że Juszczenko musiał wyznaczyć ją na premiera. Zarazem zatrudnił u siebie w kancelarii Poroszenkę, który stworzył gabinet cieni, patrząc na ręce szefowej rządu i recenzując jej działania.

Zapoczątkowany wówczas konflikt trwa do dziś. Po latach obojgu znów



GRZEGORZ GÓRNY

przychodzi rywalizować, tym razem nie o fotel premiera, lecz prezydenta. Poza nimi nie ma na ukraińskiej scenie politycznej lidera dużego formatu. Towarzyszy temu jednak pewien paradoks: zarówno on, jak i ona mają w społeczeństwie więcej przeciwników niż zwolenników. Dlatego politolodzy powtarzają, że zwycięży ten, kto będzie miał mniejszy elektorat negatywny.

W ostatniej chwili dwójce doświadczonych graczy popsuć może szyki kandydat spoza polityki, który w sylwestrową noc ogłosił swój start w wyborach. Chodzi o popularnego komika i celebrytę Wołodymyra Zelenskiego. Ludziom zmęczonym starymi twarzami i deklarującym niechęć do całej klasy politycznej jawi się on jako alternatywa

dla starego układu i nadzieja na zmiany. To powoduje, że w sondażach przedwyborczych na czele rankingów znajduje się niezmiennie z dużą przewagą nad pozostałymi troje faworytów: Poroszenko, Tymoszenko i Zelenski.

KRÓL CZEKOLADY

Wydaje się, że ze wszystkich kandydatów to właśnie Petro Poroszenko ma największe kompetencje, by sprawować urząd prezydenta. Był ministrem spraw zagranicznych, ma więc doświadczenie dyplomatyczne, zna kilka języków, posiada dobre kontakty na świecie. Jako były szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego dysponuje wiedzą, która przydaje się jako zwierzchnikowi sił zbrojnych. Ma też pojęcie o gospodarce jako biznesmen i potentat w branży cukierniczej, który dorobił się miana „króla czekolady”.

Po pięciu latach prezydentury Ukraińcy są jednak rozczarowani jego rządami. Gorycz budzą zwłaszcza kryzys gospodarczy, hegemonia oligarchów i wszechobecna korupcja. Fatalne na-

stroje panują szczególnie na prowincji. Wielu młodych nie widzi dla siebie przyszłości w kraju i wybiera zagranicę. Na emigracji przebywa obecnie ok. 4 mln ludzi. Obywatele mają świadomość, że kraj znajduje się w stanie wojny o Donbas, ale mówią, że nie można tym w nieskończoność usprawiedliwiać wszystkich błędów i zaniedbań. Nic nie wyszło np. z zapowiadanego hucznie przez Poroszenkę programu 4 x D, czyli deregulacja, debiurokratyzacja, deoligarchizacja, decentralizacja.

Niepowodzenia na niwie gospodarki prezydent próbuje powetować sobie sukcesami w innych dziedzinach, które zawarte są w jego wyborczym hasle: „Wojsko. Język. Wiara”. To m.in. dzięki niemu w ciągu kilku lat Ukrainie udało się odbudować silną, 200-tysięczną, ostrzelaną w bojach armię, która stanowi dziś ważny czynnik militarny w Europie. Z jego inicjatywy przyjęto też nową ustawę oświatową, która ma promować język ukraiński i zapobiec pelzającej rusyfikacji narodu. On też był architektem porozumienia z patriarchatem Konstantynopola, dzięki czemu ukraińskie prawosławie uzyskało niezależność od Moskwy. Wśród jego zasług wymienia się również zniesienie wiz dla obywateli Ukrainy podróżujących do Unii Europejskiej.

Jest faktem, że pod rządami Poroszenki kraj przesunął się geopolitycznie na Zachód i wyrwał z rosyjskiej strefy wpływów. Tworzy się nowa świadomość narodowa, której fundamentem jest walka z Moskwą o niezależność. W związku z tym zwolennicy prezydenta powtarzają: „Albo Poroszenko, albo Putin”, dając do zrozumienia, że każdy inny wybór może oznaczać ponowne uzależnienie od wschodniego sąsiada.

Publicyści nad Dnieprem zadają sobie pytanie, czy obywatele bardziej docenią starania prezydenta o wzmocnienie ukraińskiej państwowości, czy przeważą krytyczna ocena jego dorobku w kontekście biedy, kryzysu i korupcji. Ten ostatni wątek eksponują zresztą stale rosyjskie media, stawiając znak równości między niepodległością Ukrainy a zapaścią gospodarczą. Poroszenko dysponuje jednak atutem, jakiego nie mają inni: administracją państwową,

usługami i mediami, co może się okazać rozstrzygające dla wyniku wyborów.

GAZOWA KSIĘŻNICZKA

Kariera polityczna Julii Tymoszenko obfitowała w liczne wzloty i upadki. Dwa razy była premierem i dwa razy siedziała w więzieniu. Dziś znajduje się na fali wznoszącej. Po rewolucji na Majdanie odzyskała wolność, ale nie znalazła się w gronie bohaterów tamtych wydarzeń. Traktowano ją raczej jak przedstawiciela epoki, która już przeminęła. Uważano, że nigdy nie odbuduje dawnej pozycji politycznej. Ale ambitna Julia zawzięła się, zmieniła image. Nie wygląda już jak słowiańska piękność z długim warkoczem splecionym wokół głowy, lecz jak zachodnia bizneswoman w obcisłej garsonce, patrząca znad okrągłych okularów na prezentowane wykresy makroekonomiczne.

Wykorzystuje to, że jest doktorem ekonomii, i na tym polu toczy główny bój z Poroszenką. Wie, że nie może rywalizować z nim na hasła patriotyczne, więc koncentruje się na tym, co stanowi jego najsłabszy punkt, czyli na sytuacji gospodarczej. Co rusz z ław opozycji punktuje błędy i niedociągnięcia rządzących. Prześciga się w przedwyborczych obietnicach dla wszystkich grup społecznych, przez co bywa nazywana populistką, jednak nie przejmuje się tym, licytując coraz wyżej. Liczy na to, że niezadowolenie z kryzysu będzie wśród ludzi większe niż duma z osiągnięć prezydenta.

W obozie Poroszenki zarzucają jej z kolei, że jest ukrytą przedstawicielką opcji prorosyjskiej. Przypominają, że w 2009 r. jako premier Ukrainy zawarła w Moskwie bardzo niekorzystne dla państwa umowy na dostawy gazu. Nie można tłumaczyć tego jej ignorancją, ponieważ swą wielką karierę zaczynała właśnie w branży gazowej, dzięki czemu została zresztą jedną z najbogatszych osób w państwie.

SŁUGA NARODU

Czarnym koniem wyborów może się okazać jednak aktor Wołodymyr Zelenski, znany jako odtwórca tytułowej roli w popularnym serialu „Sługa



Czarnym koniem wyborów może się okazać aktor Wołodymyr Zelenski, znany jako odtwórca tytułowej roli w popularnym serialu „Sługa narodu”

narodu”. W jego przypadku mamy do czynienia z przemyślanym projektem politycznym skonstruowanym wokół lubianej powszechnie postaci. Oto pojawia się rozpoznawalna publicznie, względnie młoda osoba, która przebojem wchodzi do wielkiej polityki, krytykując wszystkie partie i obiecując nową jakość. Część elektoratu zmęczona dotychczasowymi liderami stawia na efekt świeżości, trochę licząc na realne zmiany, a trochę by utrząć nosa starym przywódcom.

Ponieważ Zelenski nie ma żadnego zaplecza politycznego ani nie zgromadził olbrzymiego majątku, dziennikarze zaczęli dociekać, skąd ma pieniądze na prowadzenie niezwykle kosztownej kampanii wyborczej. Szybko wytropili, że za kandydaturę komika stoją finanse jednego z najbogatszych ludzi na Ukrainie, oligarchy Ihora Kołomojskiego. Ostatnio wypadł on z łask obozu rządzącego, poróżnił się z Poroszenką, stracił intratne kontrakty oraz sądzi się z państwem ukraińskim o olbrzymie pieniądze.

Występując pod swoim nazwiskiem, nie miałby szans na odniesienie wyborczego sukcesu, ale wysuwając i wspierając zaufanego człowieka – jak najbardziej. Zelenski i jego partia Sługa Narodu otwierają przed Kołomojskim nowe możliwości, ponieważ stwarzają warunki do rywalizacji lub negocjacji z rządzącymi na nowych zasadach. W związku z tym pozostali kandydaci przedstawiają aktora nie jako nową twarz w polityce, lecz jako marionetkę w rękach oligarchów. Zobaczymy, która narracja przekona wyborców.

Strzeż się swoich myśli

Niewłaściwie postawiony lajk na Facebooku, krytyczny komentarz wobec islamu mogą się dziś skończyć dla sprawcy tych „zbrodni” utratą pracy. Pracę może stracić nie tylko on sam, mogą tego doświadczyć również jego najbliżsi. Takie standardy coraz częściej obowiązują w Europie i Stanach Zjednoczonych



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Polityka to religia lewicy. Czci ona swoje polityczne cele niczym złotego cielca i strzeże granic debaty publicznej, wyznaczonych w toku wielkiego marszu przez instytucje, gdzieś w anglosaskich kampusach równie zażarcie jak chasydzi zasad koszerności. Stąd dotąd, nie dalej. I biada temu, kto złamie zasady czystej doktryny. Jest wyśmiewany, marginalizowany i stygmatyzowany. Przyszywa mu się łatkę „nacjonalisty”, „rasisty”, „ksenofoba” lub „populisty”. To ostatnie pojęcie – jak zauważył Francis Fukuyama – „z grubsza określa wszystkie polityczne działania wspierane przez zwykłych ludzi, ale znienawidzone przez elity”. Lewica i liberalowie głośno domagają się tolerancji, poszanowania zasad pluralizmu, wolności słowa i szacunku, szybko jednak o nich zapominają, gdy zderzają się z odmiennymi poglądami. Jedyne opinie, które są bowiem w stanie tolerować, to własne. I nie stronią w walce z przeciwnikami politycznymi od brudnych metod.

DONOSICIELE

Przekonała się o tym amerykańska blogerka i krytyk islamu Amy Jane Mekelburg. Jej kontrowersyjne wpisy na Twitterze o prawie szariaty były retweetowane przez samego prezydenta USA Donalda Trumpa. Mekelburg usiłowała zachować anonimowość, tweetując pod pseudonimem AmyMek. Aż do maja zeszłego roku, gdy jej tożsamość ujawnił reporter Huffington Post Luke O'Brien. W swoim artykule dziennikarz nazwał Mekelburg „antymuzułmańskim trollem Trumpa”. O'Brien nie poprzestał jednak na ujawnieniu tożsamości kobiety. Zadzwonił także – jak twierdzi konserwatywny portal American Thinker – do pracodawcy jej męża. W efekcie mężczyzna został zwolniony z pracy. Tylko dlatego, że jest małżonkiem osoby, której poglądy nie odpowiadają mainstreamowi. Przy okazji O'Brien wymienił w swoim artykule



nazwę i adres sklepu należącego do ojca blogerki oraz bar, który prowadzi jej brat. W ten sposób cała rodzina Mekelburg została kolektywnie pociągnięta do odpowiedzialności za jej „mysłobrodnię”. Podobieństwo do stalinowskich metod nie jest tu bynajmniej przypadkowe.

A ponieważ w ostatnim czasie „populistyczne” partie i prawicowe organizacje oraz wydawnictwa wyrastają jak grzyby po deszczu, wylapywanie wszystkich i stawianie ich pod pręgierzem stało się o wiele trudniejsze niż kiedyś, więc i bardziej czasochłonne. Nie obędzie się zatem bez pomocy uczynnych obywateli. I tak dwóch dziennikarzy niemieckiego tygodnika „Die Zeit”, którzy opublikowali na początku miesiąca książkę o „sieci nowej prawicy” (połów był marny, na liście znalazła się m.in. firma szyjąca „konserwatywne garnitury”), wzywa w niej obywateli, by aktywnie uczestniczyli w znajdowaniu „faszystów” i sami wysyłali kolejne zgłoszenia do autorów. „Denuncjant to mistrz z Niemiec” – komentuje niemiecki publicysta Henryk M. Broder na portalu Achgut.com. I z sentymentem wspomina „dobre tradycje w tej dziedzinie z III Rzeszy oraz NRD”. W tej samej książce padają też zarzuty wobec twórców mediów prawicowych, jak Roland Tichy z Tichy’s Einblick, że „planują brunatne przejęcie republiki federalnej”.

KARA ZA POGŁĄDY

Nauczyciel chemii z Berlina Hendrik Pauli przekonał się w listopadzie 2016 r. na własnej skórze, że sympatyzowanie z Alternatywą dla Niemiec (AfD) szkodzi karierze. Został bowiem zwolniony z pracy. Ktoś doniósł dyrekcji szkoły, że 38-latek został skarbnikiem lokalnego oddziału AfD w dzielnicy Neukölln oraz że chodził na „manifestacje ruchu tożsamościowego”, który jest obserwowany przez Urząd Ochrony Konstytucji (czyli kontrwywiad). Nie pomogły tłumaczenia nauczyciela, że uczy chemii i nie rozmawia z uczniami o polityce. AfD nazwała jego zwolnienie „polityczną czystką”. Jeszcze surowiej ukarany został prokurator Sascha Ott ze Stralsundu, który w 2016 r. miał zostać ministrem sprawiedliwości Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Jego kandydaturę wysunęła CDU. Ministrem jednak nie został, gdyż odważył się załajkować profil lokalnej AfD na Facebooku oraz kilka postów krytycznych wobec islamu. Takich przykładów jest więcej, tyle że nie zmieszczą się w tym artykule. Zwolnieni „prawicy” i członkowie AfD są usuwani ze związków zawodowych, urzędów, stowarzyszeń i szkół pod argumentem, że instytucje te „są miejscami, w których pielęgnuje się tolerancję”.

W lutym minister spraw wewnętrznych Horst Seehofer rozpoczął proces sprawdzania, czy urzędnicy państwowi przestrzegają zasady „politycznej wstrzemięźliwości”. Minister zarzeka się, że to rutynowa procedura, ale media za Odrą jako przyczynę jej wszczęcia wskazują właśnie AfD. Wcześniej kontrwywiad ogłosił, że zamierza zająć się zasiadającą w Bundestagu partią i sprawdzić, czy jej działalność jest zgodna z konstytucją. A faktem jest, że wielu urzędników to członkowie AfD, i MSW ostrzegł ich, że jeśli kontrwywiad weźmie partię pod obserwację, mogą stracić stanowiska. Były

w Niemczech takie czasy, gdy zwalniali za przynależność do socjaldemokracji. Czasy się zmieniły, ale – jak widać – nasi sąsiedzi są przywiązani do tradycji.

WALKA Z GWIAZDĄ

Ulubionym celem nienawiści lewicy jest oczywiście Donald Trump. Przykładów kampanii trwającej nieprzerwanie od przejęcia przez niego urzędu prezydenta USA jest wiele. Jej absurdalny, wręcz surrealistyczny charakter znakomicie ilustruje spór o gwiazdę Trumpa na hollywoodzkim Walk of Fame, czyli w Alei Gwiazd. Trump otrzymał tę gwiazdę w 2007 r., gdy był jeszcze gospodarzem popularnego show „The Apprentice”, za swoje dokonania w branży telewizyjnej, w tym za stworzenie konkursu Miss Universe. Gdy dziewięć lat później ogłosił zamiar kandydowania na prezydenta, gwiazda znalazła się nagle w centrum zainteresowania różnorodnych lewicowych aktywistów. Najpierw, w lipcu 2016 r., artysta o ksywie „Plastic Jesus” zbudował wokół niej mur. Kilka tygodni później gwiazda została uszkodzona za pomocą młota. Sprawca, James Otis, mówił wówczas, że kawałki gwiazdy będzie sprzedawał kobietom, które twierdziły, iż były seksualnie molestowane przez Trumpa. Jak dodał, nie pochwała wandalizmu, ale w tym wypadku „jest on uzasadniony”.

Kilka dni przed wyborami prezydenckimi podczas happeningu artystycznego gwiazdę ozdobiono swastyką. W grudniu tego samego roku lewicowi aktywiści położyli się na gwieździe z kartkami z napisem „Nie” w rękach, by protestować przeciwko zapowiadanemu przez Trumpa rozszerzeniu arsenału nuklearnego USA. Potem ktoś obok gwiazdy ustawił złotą toaletę, zachęcając przechodniów, aby się na nią „wysr...li”. W lipcu 2018 r. gwiazda znów została zniszczona za pomocą młota. Po tym akcie wandalizmu rada gminy West Hollywood przegłosowała usunięcie jej z alei. Napisała także list do burmistrza Los Angeles, demokraty Erica Garcettiego. Radni argumentowali, że to „szansa, by stanąć po stronie kobiet i podkreślić nasze wartości”. Takie jak otwartość czy tolerancja. Przy okazji wymienili wszystkie „grzechy” Trumpa, jak wyjście z umowy paryskiej w sprawie klimatu, niewypuszczanie imigrantów z Meksyku do kraju oraz zamknięcie armii na osoby transseksualne.

Ostatecznie próba usunięcia gwiazdy Trumpa nie powiodła się, ale walka w celu usunięcia pomników konfederatów jako symboli niewolnictwa i „rasizmu białej Ameryki” trwa. Do doktryny lewicy musi się dostosować nie tylko teraźniejszość, lecz także przeszłość. Historyczne fakty są przy tym zupełnie nieistotne. Liczy się fanatyczna wiara. To lewicowi liberałowie prowadzą kampanię na kampusach amerykańskich uniwersytetów w celu ograniczenia debaty publicznej i odebrania – jeśli się da, na zawsze – możliwości wypowiedzi osobom o poglądach prawicowych. Nieliczni wykładowcy o „niepostępowych” poglądach często są poddawani silnej presji kolegów i studentów. Jak pisze publicystka Kim Holmes: „Myślenie stadne i nietolerancja cechują dziś lewicę”. Czyli ciemnota, niewiedza i ciasnota umysłowa. To wprawdzie ciemnota postępową, jednak tylko ciemnota.



**„Trump chce dać pokój Afganistanowi”
– mówi na antenie BBC Mohammad
Stanikzai, od wielu lat faktyczny
minister spraw zagranicznych
afgańskich talibów. To deklaracja
niezwykła, jeśli zważyć, że talibowie
cały czas prowadzą przecież krwawą
wojnę z rządem afgańskim,
a wspierając ów rząd wojska NATO
traktują jako wroga armię okupacyjną**

Jedzenie słonia na raty

Od 25 lutego w katarskiej stolicy Dosze Stanikzai współprzewodniczy piątej rundzie negocjacji talibów z Amerykanami; rundzie, która z dwudniową przerwą na odpoczynek i konsultacje, trwa już przeszło dwa tygodnie. Tym razem jednak w Katarze pojawił się także człowiek o wiele ważniejszy od Stanikzaia w politycznej hierarchii władzy talibów. Jest nim mułła Abdul Baradar, niedawno zwolniony po przeszło dekadzie z pakistańskiego więzienia na wyraźną prośbę Amerykanów.

Baradar to jedna z kluczowych figur ruchu talibów od chwili jego powstania, szwagier i najbliższy współpracownik przywódcy obalonego przez Amerykanów reżimu – nieżyjącego już mułły Omara. Podobno zresztą sam Omar przeżył podczas amerykańskiej inwazji w 2001 r. tylko dzięki odwadze i ratunkowi, jaki dał mu właśnie Baradar. W 2010 r. schwytyany jako terrorysta, teraz jest witany w Dosze przez amerykańskich negocjatorów jako polityk umiarkowany i dążący do pokoju.

„To znacząca chwila” – mówił szef negocjatorów amerykańskich Zalmay Khalilzad, spotykając 25 lutego pierwszy raz z Baradarem podczas uroczystej kolacji w Dosze, wydanej przez emira Kataru.



JAN ROKITA

Skądinąd amerykański negocjator to również figura ciekawa i nietuzinkowa. Pasztun urodzony w Afganistanie, muzułmanin, intelektualista, przyjaciel Zbigniewa Brzezińskiego, który w czasach prezydentury Busha juniora dostał nominację na amerykańskiego ambasadora przy ONZ, a teraz służy rządowi Trumpa jako kluczowy ekspert, ale także polityczny autorytet w kwestiach

świata wojującego islamu.

W POSZUKIWANIU KOMPROMISU

Katarskie negocjacje okazały się możliwe po tym, jak latem ubiegłego roku Donald Trump zmodyfikował polityczny kurs Waszyngtonu wobec talibów. Dotąd bowiem Ameryka odrzucała bezpośrednie z nimi rozmowy, domagając się, aby negocjowali z oficjalnym rządem afgańskim i uznali konstytucję nadaną Afganistanowi po amerykańskiej inwazji.

Barack Obama chciał być bardzo lojalny względem swoich wasali z Kabulu, a zwłaszcza wobec afgańskiego prezydenta Aszrafa Ghaniego, bądź co bądź obywatela USA i wychowanka najlepszych amerykańskich uniwersytetów Harvarda i Stanforda. Trump słabiej odczuwa tego rodzaju lojalności,

a powrót 14 tys. żołnierzy USA do kraju uznaje za cel priorytetowy. Zwłaszcza że ostatnimi czasy talibowie znów mają militarne sukcesy w walce z rządem w Kabulu.

Jak ostatnio poinformowała afgańska misja ONZ, rok 2018 był dla ludności afgańskiej najbardziej krwawy od dziesięciu lat, odkąd misja stara się robić tego rodzaju statystykę. Śmierć poniosły bowiem w ciągu tego roku aż 3804 ofiary cywilne, a – jak można domniemywać – straty walczących wojsk to zapewne co najmniej drugie tyle.

Odkąd w 2001 r., w odwecie za 11 września oraz w pościgu za Al-Kaidą, Amerykanie wylądowali w Afganistanie, zginęło tam ok. 2,4 tys. ich żołnierzy, oficjalnie zaś podawany koszt tej wyprawy sięgnął już 1 bln dolarów. Wśród zabitych jest także 45 polskich żołnierzy. Trump zarządził nie tylko bezpośrednie rozmowy z talibami bez warunków wstępnych, co z nieufnością i niepokojem obserwuje oficjalny rząd afgański, lecz także w geście dobrej woli skłonił Pakistan do spektakularnego uwolnienia Baradara. Amerykanie liczą, że jego deklaracje o potrzebie pokoju oraz potężny osobisty autorytet wśród bojowników talibskich dadzą realną szansę na zawarcie jakiegoś racjonalnego kompromisu.

POWAŻNE NEGOCJACJE?

To, co Baradar już zaakceptował, to generalny model „dealu”, jaki miałby zostać zawarty. Wojska USA mają opuścić Afganistan, talibowie zaś w zamian mają dać wiarogodne gwarancje, iż ich kraj nie tylko nie stanie się ponownie bazą terroryzmu, lecz będzie uczestniczył w globalnej z nim wojnie. Talibowie nie mają powodu występować w tych negocjacjach w roli obrońców Al-Kaidy, gdyż w międzyczasie stali się już jej śmiertelnymi wrogami. Bliższy mógłby być im islamistyczny radykalizm zbrodniczego Państwa Islamskiego, ale patrząc na los owej formacji w Syrii i w Iraku, jest to sojusznik definitywnie pokonany i doszczętnie rozbity.

Do Dauhy przybył tym razem także głównodowodzący wojsk USA w Afganistanie gen. Austin Miller, co najwyraźniej wskazuje, że negocjacje doszły do szczegółowych kwestii militarnych, których bez wojskowych nie da się precyzyjnie dogadać. Powołano nawet do szczegółowych kwestii mieszane zespoły robocze, a to sprawia, że negocjacje rozciągają się w czasie.

Świadczy to o ich poważnym traktowaniu przez obie strony i szansach na powodzenie. Jednak jest to też wynik pewnego wybiegu dyplomatycznego, dobrze znanego z tego rodzaju negocjacji wojujących z sobą stron. Otóż nie mogąc się ciągle porozumieć co do kwestii zasadniczych, odkłada się je na jakiś czas po to, by zbudować minimum zaufania przy omawianiu rozmaitych kwestii bardziej szczegółowych. Ale ostateczny sukces zależy przecież i tak od porozumienia co do rzeczy fundamentalnych.

AMERYKANIE WYCHODZĄ?

Taką właśnie rzeczą jest dla Amerykanów zawieszenie broni w walkach talibów z rządem oraz wejście z nim przez talibów w bezpośrednie rozmowy. Trump zrezygnował z traktowania tej sprawy jako warunku wstępnego rozmów, ale nie porzucił

przecież politycznych interesów władz afgańskich, nad którymi Ameryka sprawuje swoistą ogólną kuratelę.

Tymczasem w oświadczeniu wydanym po pierwszej 11-dniowej części obecnej rundy w Dosze delegacja talibów informuje, że rozmowy dotyczą wyłącznie dwóch kwestii: wycofania Amerykanów i tego, „aby Afganistan nikogo już więcej nie ranił”. Natomiast inne kwestie – piszą talibowie – „które dotyczą wewnętrznych kwestii kraju, nie są związane z USA, i w związku z tym nie były przedmiotem dyskusji”. To oczywiście nieprawda, wiadomo bowiem dobrze, że Ameryka musi próbować skłonić talibów do rozmów z rządem w Kabulu, a także nalegać na ich elementarne gwarancje w dziedzinie praw człowieka (np. podstawowych praw kobiet).

Zgoda Amerykanów na odłożenie w czasie rozmów na ten temat nie oznacza, że zostały one zdjęte z agendy negocjacyjnej. Pytany o to przez dziennikarzy ambasador Khalilzad odpowiada całkiem jasno, choć w formie metafory czy raczej przysłowia. Mówi: „You can't eat an elephant in one bite”.

Dobrze poinformowana katarska telewizja Al-Dżazira twierdzi, że z przecieków od delegacji amerykańskiej wie, iż Trump wstępnie planuje wycofanie wojsk do końca obecnego roku. Talibowie zaś publicznie sugerują, że w akcie dobrej woli Trump już wkrótce zmniejszy kontyngent wojskowy o połowę. Mało to prawdopodobne, nie tylko z powodu stanowczych dementi ze strony ambasadora Khalilzada.

Trump nie może sobie pozwolić na nadmierną nieostrożność, jaką byłoby bez wątpienia rozpoczęcie wycofywania bez gwarancji ostatecznego porozumienia. Sytuacja przypomina trochę o wiele bardziej spektakularne dogadywanie się z koreańskim tyranem Kimem, gdzie nastąpił impas, bo Trump odmówił jednostronnych koncesji, bez końcowej umowy. Dla Baradara i jego ludzi rząd w Kabulu to amerykańskie marionetki, do których talibowie nie żywią niczego więcej prócz pogardy.

MOSKWA MOŻE POMÓC

Wygląda na to, że Baradar chce pokoju, gotów jest też porzucić nierealny program podboju przez talibów całego Afganistanu i dać Trumpowi jakieś wiarogodne dlań gwarancje powstrzymania się talibów od wsparcia dla międzynarodowego terroryzmu. Na razie jednak nadal nie jest gotów do układania się, na żądanie Amerykanów, z ich stronnikami z Kabulu.

Tymczasem Trump chce co prawda zdjąć sobie z głowy problemy kotła afgańskiego, jednak nie za każdą cenę. Nie może tego zrobić, zwłaszcza jeśli ową ceną miałyby być wsparte politycznie przez Moskwę i Pekin obalenie słabej, jednak jako tako funkcjonującej demokracji afgańskiej.

W lutym delegacja talibów naradzała się z głównymi wrogami prezydenta Ghaniego nie gdzie indziej jak właśnie w Moskwie. To dla Amerykanów czytelny sygnał, co mogą znaczyć niedawne zapewnienia rosyjskiej dyplomacji, że „jest gotowa pomóc” w zawarciu afgańskiego porozumienia. Za sprawą nowej strategii Trumpa, który z niejaką nawet przesadą wierzy w siłę negocjacyjną Ameryki, pokój w Afganistanie po raz pierwszy od dziesięcioleci staje się realnie możliwy. Ale na razie jest to ciągle nic więcej niż realna możliwość. ▀



Trudne wyzwania

*Kraje bałtyckie stoją przed widmem całkowitej depopulacji,
a ich elity myślowo wciąż tkwią w początku XX w.*

Fot. Shutterstock

Liczba mieszkańców Litwy spadnie w ciągu najbliższych 40 lat o ponad 30 proc., do mniej niż 2 mln obywateli. Łotwa zaś jest krajem, który wyludnia się najszybciej na świecie. Nie lepiej wygląda sytuacja w Estonii. To są przewidywania, które wieszczą katastrofę, ale elity państw bałtyckich nadal, jak się wydaje, tkwią w paradygmatach z początku XX w.

LITWA

Zacniemy od Litwy. Spór z lokalną społecznością polską, który Litwini prowadzą od dziesięcioleci, dla zewnętrznego obserwatora jest pozbawiony większego sensu, bo dziś największym zagrożeniem dla Litwinów nie jest polonizacja, tylko depopulacja.

To zjawisko rozwija się na dwóch płaszczyznach. Przede wszystkim na niskim wskaźniku urodzeń, a po drugie – na migracji do innych krajów Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii, która już wkrótce może opuścić wspólnotę. Mimo że zmieniają się rządy z konserwatywnych na socjaldemokratyczne lub włościąńsko-zielone, to problem z nazwami ulic, pisownią nazwisk, edukacją czy zwrotem ziemi pozostaje wśród tamtejszej elity najważniejszy.

Litewskie władze często zwracają uwagę na to, że jednym z powodów takich działań jest polityka, którą prowadzi najsilniejsze ugrupowanie reprezentujące społeczność polską

na Wileńszczyźnie, czyli Akcja Wyborcza Polaków na Litwie (AWPL). Głównym zarzutem ma być sojusz Akcji z Rosją, czego dowodem są okazjonalne wypowiedzi liderów AWPL Waldemara Tomaszewskiego lub Zbigniewa Jedzińskiego, nacechowane prororyjskimi sympatiami. Pomijając politykę AWPL, trzeba jednak stwierdzić, że władze w Wilnie nie postarały się jak dotychczas, by ten sojusz rozbić poprzez zniesienie progu wyborczego dla mniejszości narodowych, co w efekcie dałoby AWPL możliwość samodzielnego startu do litewskiego parlamentu i nie wymagałoby już tworzenia wspólnej listy z Rosjanami.

Litewska gospodarka od lat notuje średni wzrost na poziomie 2–4 proc. PKB, ale jest on silnie zróżnicowany regionalnie. Główną rolę gra stołeczne miasto Wilno i okolice, a reszta – oprócz Kowna – raczej znajduje się w gospodarczej stagnacji. Jakiś czas temu pojawił się pomysł, by stworzyć swego rodzaju kowieńsko-wileński duopol metropolitalny, rozbudowując infrastrukturę oraz skierowując rozwój przestrzenny obu miast ku sobie. Rozwiązanie to dość szybko trafiło na rafy. Dlaczego? Choćby z powodu konkurujących z sobą i blisko rozmieszczonych lotnisk w Kownie i Wilnie.

Niedostateczny wzrost gospodarczy oraz idący za tym niedostatek nowych, atrakcyjnych miejsc pracy prowadzi do rosnącej emigracji. Corocznie z kraju wyjeżdża ponad 20 tys. osób i mimo że w 2018 r. wskaźnik ten spadł o prawie 20 proc., nadal pozostaje bardzo wysoki. A to oznacza, że co

roku liczba mieszkańców zmniejsza się o 1–1,5 proc. Czyżby za 100 lat Litwa przestała istnieć?

Władze Litwy dotychczas nie rozumiały, że największym zagrożeniem dla kraju jest demografia, a nie pisownia polskich nazwisk. Mimo kilku prób w ciągu ostatnich dwóch dekad Litwa nadal nie ma całościowej koncepcji wsparcia rodzin, przede wszystkim rodzin wielodzietnych.

Z drugiej strony pozytywnym sygnałem dla Polski jest zapowiedź rozbudowy rafinerii Orlenu w Możejках. Bo jak niedawno oświadczył prezes PKN Orlen Daniel Obajtek: „Klimat biznesowy na Litwie uległ istotnej poprawie, dlatego rozważamy uruchomienie procesu rozbudowy rafinerii w Możejках, by m.in. obniżyć koszty produkcyjne”. Cóż, tym pozytywnym akcentem przeniesiemy się z Litwy na Łotwę.

ŁOTWA

Od początku 2018 r. Łotwę wstrząsa potężny skandal bankowy. Czy oznacza to koniec europejskiego „laundromatu” rosyjskich pieniędzy? „Laundromatem” nazwano operację nielegalnego wyprowadzenia z Rosji w latach 2012–2014 ponad 20 mld dol. na konta w europejskich bankach. W proceder ten, jak pisała „Nowaja Gazieta”, był mocno zaangażowany ryski bank Trasta Komerbanka. Ujawnienie tych nielegalnych transakcji w 2014 r. doprowadziło do stopniowego zaostrzenia przepisów odnośnie do kont nierezydentów na Łotwie i w Estonii (notabene na Litwie banki niechętnie zakładały konta dla nierezydentów). Pokłosiem tamtej historii stała się afera bankowa na Łotwie i częściowo w Estonii.

Dlaczego bogaci Rosjanie do swoich operacji finansowych wybrali Łotwę? Bo po rozpadzie Związku Sowieckiego była jedną z najbardziej zrusyfikowanych republik bałtyckich. Do dziś w Rydze zrusyfikowani mieszkańcy stanowią większość. Kolejnym aspektem była polityka banków łotewskich i estońskich, które postanowiły zarobić na sprowadzeniu bogatych rosyjskich klientów oraz ich kapitałów.

W 2016 r. łotewski regulator państwowy – Bank Łotwy – zaostrzył przepisy, nakazując obniżenie udziału nierezydentów w bankach łotewskich do 5 proc., przy czym do tej pory utrzymywał się on na poziomie ponad 40 proc. Afera bankowa pociągnęła za sobą likwidację Latvijas Krājbanka i Trasta Komerbanka, a ostatnio także banku ABLV. Klienci nierezydenci, mowa przede wszystkim o Rosjanach, muszą poszukać innych miejsc lokowania swoich pieniędzy.

Łotwa, podobnie jak Litwa, stoi przed widmem depopulacji. W ciągu ostatnich trzech lat ten kraj opuszczało średnio ok. 20 tys. obywateli rocznie, czyli 1 proc. mieszkańców. Przedstawiciele łotewskiego biznesu nalegają na władze kraju, by otworzyły rynek pracy dla obywateli Wspólnoty Niepodległych Państw. Ale elita polityczna na razie stoi

tworząc na stanowisku, że wpuszczenie tak dużej liczby ludności nielotewskiej zagrozi tożsamości narodowej państwa.

Trzeba przyznać, że sporo jest w tym racji, ale może warto byłoby stosować bardziej elastyczną politykę imigracyjną i udostępnić rynek pracy w pierwszej kolejności Białorusinom. Obywatele tego kraju z dużym prawdopodobieństwem mogą się zintegrować ze społeczeństwem łotewskim. Na Łotwie już teraz mieszka stosunkowo dużo Białorusinów, należałoby co prawda zabezpieczyć tę grupę przed wpływami rosyjskimi, rozwijając media i szkolnictwo białorusko-łotewskie.

ESTONIA

Sytuacja w Estonii w mniejszym stopniu przypomina tę z pozostałych krajów bałtyckich. Przede wszystkim wskutek

bliskości etnicznej i geograficznej z Finlandią, a także lepszej sytuacji gospodarczej tego kraju. Choć główny potok migracyjny z Estonii jest skierowany właśnie do Finlandii, to w przypadku Tallina i Helsinek trudno w ogóle mówić o przeniesieniu się na stałe do innego kraju, lecz o przemieszczaniu się w granicach jednej aglomeracji metropolitalnej.

Według danych statystycznych w ciągu ostatnich 30 lat liczba mieszkańców Estonii zmniejszyła się o 5 proc., co na pewno nie jest dobrą sytuacją, ale także nie jest katastrofą. Specyfika migracji do Finlandii jest taka, że w zasadzie Estończycy w czasie pobytu w tym kraju nie tracą własnej tożsamości narodowej ani kulturowej, nie zapominają własnego języka ze względu na bliskość fińskiego do estońskiego. Zachowanie tożsamości sprzyja licznym powrotom do kraju. W roku 2018 odnotowano po raz pierwszy nadwyżkę powrotów w saldzie migracyjnym pomiędzy Estonią a Finlandią, i dobrze rokuje to na przyszłość.

Estonia nie uniknęła afery bankowej, chociaż starała się prowadzić bardziej transparentną politykę. Wpadła jednak w tarapaty po skandalu, który dotknął filię Danske Bank. W czerwcu 2018 r. prokurator generalny Estonii postawił bankowi zarzuty, twierdząc, że poprzez jego filię wyprano ok. 9 mld dol. pochodzących głównie z Rosji i zrobiono to według „schematu moldawsko-łotewskiego”. W wyniku oskarżenia we wrześniu ubiegłego roku do dymisji podał dyrektor generalny Danske Bank.

Przedstawiony obraz sytuacji w krajach bałtyckich nie napawa optymizmem. Litwa i Łotwa nie tworzą atrakcyjnych perspektyw dla swoich mieszkańców, zagraża im depopulacja, Estonię na razie ratuje Finlandia. Elity tych krajów utkwily w niewoli dawnych stereotypów narodowych. Brakuje wizji przyszłości, która byłaby odpowiedzią na wyzwania globalne, połączone z nowoczesnym patriotyzmem.

Aleksander Stralcou-Karwacki

Wydaje się, że władze Litwy na razie nie rozumiały, że największym zagrożeniem dla kraju jest demografia, a nie pisownia polskich nazwisk



Zakaz pod znakiem zapytania

Trudno dziś – tak jak to się niekiedy dzieje – przesądzać definitywnie, że ograniczenie niedzielnego handlu się nie sprawdziło. Z drugiej strony jednak na pewno nie wszystko wyszło tak, jak przewidywali i życzyli sobie tego twórcy ustawy



SZYMON SZADKOWSKI

W ostatnich dniach mamy do czynienia z kampanią przeciwników zakazu niedzielnego handlu. Trudno jednak nie dostrzec, że w tej kampanii czołowe tytuły prasowe, a także organizacje zrzeszające pracodawców, zamiast posługiwać się twardymi danymi, powołują się głównie na obiegowe opinie. Od Franciszka Podlacha, dyrektora ds. rozwoju Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, dowiadujemy się jedynie, że w społeczeństwie rośnie grupa przeciwników zakazu handlu w niedzielę. Nie otrzymujemy jednak przy tym precyzyjnych informacji, jak ten zakaz wpłynął na realną kondycję drobnego handlu.

Zacznijmy zatem od zaskakującej analizy, którą przedstawili w marcu tego roku ekonomiści z banku PKO BP. Ich zdaniem niedziela nie jest ulubionym dniem na zakupy Polaków. Na podstawie transakcji z kart bankierzy wskazali, że najbardziej „gorącymi” dniami tygodnia są sobota (obroty na poziomie ok. 120 proc. przeciętnego dnia handlowego) i piątek (obroty na poziomie ok. 114 proc. przeciętnego dnia handlowego). Najmniej „cennym” dniem dla handlu detalicznego stała się niedziela handlowa, kiedy sprzedaż (odzworowywana obrotami na kartach) jest średnio o 30 proc. niższa niż w przeciętny dzień handlowy.

„Okazało się, że wprowadzenie zakazu nie doprowadziło do istotnych zmian w preferencjach Polaków. W jego efekcie minimalnie zwiększyła się popularność zakupów dokonywanych w soboty i poniedziałki, a marginalnie spadło handlowe znaczenie czwartków i piątków” – czytamy w analizie ekonomistów PKO BP.

Jak uzasadniają analitycy banku, dane za okres od marca 2018 do stycznia 2019 r. pokazują, że łączna wartość transakcji dokonanych kartami w niedziele niehandlowe była o 63 proc. niższa od tych dokonywanych w niedziele handlowe. Z kolei liczba takich transakcji była o 50 proc. mniejsza niż w niedziele handlowe (różnicę tłumaczyć może niższa przeciętna wartość pojedynczej transakcji w niedziele niehandlowe).

HURTOWNIE SĄ PRZECIWKO

W odróżnieniu od analityków bankowych zaopatrzeniowcy mają wyrobione zdanie. Robert Kijas, prezes Polskiej Organizacji Handlowej, która zrzesza hurtownie spożywcze, przyznaje, że ustawa o ograniczeniu handlu w niedziele i święta ma negatywny wpływ na małoformatowe sklepy działające na rynku.

– Ustawodawcy zwyczajnie zabrakło wyobraźni, by przewidzieć skutki



Fot. Shutterstock

SIŁA REKLAMY

Dość skomplikowane są wyniki tegorocznych badań przeprowadzonych przez Centrum Monitorowania Rynku (CMR) na zlecenie Polskiej Izby Handlu, które wskazują, że choć wartość sprzedaży sklepów małoformatowych (do 300 mkw.) w styczniu tego roku wzrosła – licząc rok do roku – o 6,3 proc., to liczba transakcji była o prawie 2 proc. niższa niż przed rokiem. Zwiększyła się wartość sprzedaży najważniejszych dla tej kategorii sklepów grup produktów, czyli alkoholu i papierosów, a klienci więcej niż przed rokiem wydawali również m.in. na napoje, produkty mleczne i słodkocze.

Jednak – licząc z miesiąca na miesiąc – wyniki są już słabsze. W porównaniu z grudniem 2018 r. obroty tych sklepów obniżyły się o 10,9 proc., natomiast łączna liczba transakcji spadła o ok. 2 proc.

O tym, że nic nie jest w tym sporze czarno-białe, mówi również Maciej Ptaszyński, dyrektor Polskiej Izby Handlu (PIH). Według niego jest kilka spraw, z którymi nie sposób się spierać. Po pierwsze, wprowadzenie ograniczenia handlu w niedzielę dało potężny impuls rozwojowy dyskontom, pozwoliło im zwiększyć wartość koszyka zakupowego w piątki i soboty m.in. dzięki potężnym inwestycjom w reklamę.

– Największe sieci dyskontowe wydały na reklamę w zeszłym roku aż 700 mln zł. Jej celem jest przekierowanie strumienia konsumentów do sieci dyskontowych w piątki i soboty. To zgodne z tym, przed czym ostrzegała Polska Izba Handlu już w 2016 r. – wyjaśnia dyrektor Ptaszyński.

– Do Polskiej Izby Handlu docierają sygnały o zmniejszaniu się liczby paragonów już w piątek po południu. Z kolei małe i średnie sklepy prowadzone przez polskich przedsiębiorców w segmencie do 300 mkw. to w większości placówki, w których są z reguły dwie kasy oraz część samoobsługowa. Prowadzenie ich przez jedną osobę, na co pozwalała ustawa, jest niemożliwe. Jedna osoba nie jest w stanie obsłużyć dwóch kas, pilnować i donosić towaru do części samoobsługowej ani wykonywać innych czynności. Takie sklepy muszą być

w niedzielę zamknięte i ich właściciele tracą najwięcej – zauważa dyrektor Polskiej Izby Handlu.

W ocenie Ptaszyńskiego, w świetle dostępnych danych dla małych i średnich placówek handlowych, dotychczasowe ograniczenie handlu w niedzielę nie przyniosło pożądanych efektów w postaci bardziej dynamicznego wzrostu.

– Dalsze pogłębianie ograniczeń, chociażby przez zwiększenie liczby niehandlowych niedziel, lub zaostrzanie zakazów może prowadzić do spotęgowania niekorzystnych zjawisk dla całego segmentu, przede wszystkim wskutek zmian nawyków zakupowych konsumentów i wzmocnienia tym samym pozycji dyskontów – twierdzi Ptaszyński.

KLIENCI ZMIENIAJĄ NAWYKI

Do tej dyskusji dołączył się również BIG InfoMonitor, który przeprowadził badania „Wpływ niedziel wolnych od handlu na budżet domowy”. Na pozytywne oddziaływanie zakazu handlu na wzrost oszczędności wskazał co szósty badany. Zakaz handlu w największym stopniu wpłynął na budżety respondentów między 18. a 44. rokiem życia (19–24 proc. ogółu ankietowanych). To w ich gronie najczęściej osób oszczędza na ograniczeniu niedzielnych zakupów, ale – z drugiej strony – widoczne są już zmiany nawyków. Kupując na zapas w soboty, część osób (7–9 proc. w tej grupie wiekowej) zaczęła wydawać nawet więcej niż przed wprowadzeniem ograniczeń handlu w niedzielę.

Dostosowanie do nowych warunków postępuje szybko. Na zamknięciu sklepów w niedzielę bardzo skorzystał handel internetowy. Świadczy o tym m.in. dynamiczny wzrost liczby nowo uruchamianych e-sklepów.

Jak twierdzi Franciszek Podlacha z Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, na razie jest zbyt wcześnie, aby w pełni ocenić oddziaływanie ograniczenia handlu w niedzielę na sklepy małoformatowe. Dane są ciągle niejednoznaczne. Trudno więc – tak jak to się niekiedy dzieje – przesądzać definitywnie, że zakaz handlu się nie sprawdził. Z drugiej strony jednak na pewno nie wszystko wyszło tak, jak przewidywali i życzyli sobie tego twórcy ustawy. ▀

wprowadzenia zakazu handlu. Początek obowiązywania tejże ustawy był jeszcze w miarę obiecujący. Małe, rodzinne sklepy, dla których niedziela przed wprowadzeniem ustawy była bodaj najgorszym dniem handlowym, nagle musiały się zmierzyć z nową rzeczywistością w postaci niedzielnych kolejek zdezorientowanych i zaskoczonych klientów. Wprawdzie niedzielny utarg był kilkakrotnie wyższy od standardowego dnia pracy w tygodniu, ale ustawa uderzyła przede wszystkim we właścicieli, którzy mają kilka punktów handlowych. Zgodnie z ustawą musieli się bowiem zdecydować na uruchomienie jednego punktu handlowego kosztem pozostałych, gdyż nie sposób było obsadzić członkami rodziny wszystkich placówek – wyjaśnia Kijas.

Dla odmiany duże sieci handlowe wykorzystały swój potencjał marketingowy i poprzez wiele promocji popartych niezwykle skuteczną kampanią reklamową zmodyfikowały nawyki konsumenckie Polaków.

– Uważam, że ten scenariusz był do przewidzenia i jego skutki również. Piątkowo-sobotnie szaleństwa zakupowe w dużych sieciach handlowych, reszta znów stała się mało atrakcyjna – dodaje Kijas.

Ryzykowny pomysł na bezpieczeństwo

Popularne leki na przeziębienie wyłącznie na receptę? To niezwykle ryzykowny i kosztowny, także politycznie, pomysł. Tym bardziej warto wydobyć spod medialnej piany istotę problemu i sprawdzić, co rzeczywiście planuje w tym obszarze państwo

Są w popularnych lekach na przeziębienie, po które, zwłaszcza o tej porze roku, sięgamy często. Odpowiednio używane – pomagają, nadużywane – są niebezpieczne. Chodzi o pseudoefedrynę, dekstrometorfan i kodeinę, substancje znajdujące się w składzie stosowanych powszechnie tabletek, syropów i kropli do nosa. Zażyte w ilościach znacznie większych od dawek terapeutycznych działają jak narkotyki. Debata o tym, jak ograniczyć dostępność do tych leków – zwłaszcza młodym miłośnikom mocnych wrażeń – trwa od dawna.

Na mocy rozporządzenia ministra zdrowia od 2017 r. dorośli pacjenci (sprzedaż dzieciom jest zakazana) mogą jednorazowo kupić bez recepty lek zawierający maksymalnie 720 mg pseudoefedryny, 240 mg kodeiny oraz 360 mg dekstrometorfanu. To wystarczająco dużo, by skutecznie poradzić sobie z kaszlem, katarzem czy objawiamy alergii, ale zdecydowanie zbyt mało, żeby się tym odurzyć.

DWIE INTERPELACJE, JEDNA ODPOWIEŹ

Najnowszą falę dyskusji o dostępności leków na przeziębienie wywołały dwie posłanki – Anna Sobecka z PiS i Anna Nemś z PO. Obie w lutym wystosowały do ministra zdrowia interpelacje, w których poruszają problem dostępności leków zawierających pseudoefedrynę, dekstrometorfan i kodeinę. Poseł Sobecka skupia się na nadużywaniu tych substancji przez młodych Polaków, którzy zastępują nimi narkotyki czy coraz skuteczniej zwalczane przez państwo dopalacze. Parlamentarzystka zwraca uwagę na niedoskonałości obecnie obowiązujących regulacji.

„Jest ograniczona ilość tych substancji, która może być sprzedana w jednej transakcji, ale przecież można pójść do kilku aptek w celu dokonania zakupu” – pisze Sobecka.

Anna Nemś nacisk kładzie z kolei na kryminalny proceder, który jej zdaniem trwa na granicy polsko-czeskiej. Nasi celnicy „od kilku lat”, co podkreśla parlamentarzystka, zatrzymują na granicy obywateli Czech, przewożących do swojego kraju duże ilości leków na bazie pseudoefedryny, kodeiny oraz leki przeciwalergiczne drugiej generacji. W Polsce mogą je kupić bez recepty, w ich kraju ten dostęp jest znacznie trudniejszy.

W obu interpelacjach pada pytanie: co zamierza zrobić rząd, żeby problem zlikwidować. Na obie odpowiedział wicemin-



PIOTR FILIPCZYK

ster zdrowia Maciej Miłkowski. W obu pada sformułowanie, które wywołało niemałe zamieszanie: „Wydaje się, że jedynym skutecznym rozwiązaniem opisanego problemu byłaby zmiana kategorii dostępności produktów leczniczych zawierających pseudoefedrynę, dekstrometorfan i kodeinę z »OTC« na »Rp« i sprzedaż ich na podstawie recepty lekarskiej” – stwierdza Miłkowski.

SZOKUJĄCY POMYSŁ POLITYKÓW

Jak to? Ze zwykłym przeziębieniem trzeba będzie iść po receptę do lekarza? Co z kolejkami? Czy system ochrony zdrowia nie ma dziś poważniejszych problemów? – takie pytania zawirowały w przestrzeni publicznej, bo sprawę szybko podchwyciły media. Dla nich „wydaje się” ministra Miłkowskiego zamieniło się w jednoznaczne stwierdzenie, że resort zamierza szybko wprowadzić bardzo daleko idące zmiany.

„Szokujący pomysł polityków” – obwieszczał w swoim stylu „Super Express”, ostrzegając przed „jeszcze większymi kolejkami do lekarzy” i „wściekłością pacjentów”.

– To bardzo złe rozwiązanie. Kiedy wejdzie w życie pomysł resortu, będę musiał siedzieć godzinami w kolejkach, żeby dostać taką receptę. Po co takimi pomysłami komplikować życie ludziom i narażać ich na wiele problemów? – pytał cytowany przez gazetę emeryt z Siedlec.

Tego samego dnia w jednym z programów telewizyjnych w sprawie rzekomego pomysłu Ministerstwa Zdrowia pytywany był Marcin Sobotka z Porozumienia Rezydentów OZZL. Podkreślił, że obecne rozwiązania uważa za wystarczające. – Wprowadzenie teraz recepty spowoduje, że jak ktoś będzie miał katar i będzie chciał wziąć preparat z „jakąś pseudoefedryną”, to będzie problem. Bo będzie musiał znowu iść do lekarza POZ, gdzie są kolejki. Po receptę na lek względnie bezpieczny – mówił Sobotka. – Musimy wyeliminować patologię, którą jest wykorzystywanie tych preparatów jako narkotyków. Ale nie możemy systemowo tego załatwiać w ten sposób. Nie możemy wszystkiego zakazywać, bo nie chodzi o to, żeby stworzyć państwo policyjne – przekonywał medyk.

Resort zdrowia zareagował szybko, bo i interpretacje wypowiedzi Macieja Miłkowskiego były coraz dalej idące. – Ministerstwo Zdrowia aktualnie nie prowadzi prac legislacyjnych zmierzających do zmiany kategorii prostych



leków zawierających pseudoefedrynę, dekstrometorfan i kodeinę – poinformowała Sylwia Wądrzyk, dyrektor biura komunikacji MZ.

Na bardziej wyczerpującą odpowiedź trzeba pewnie jeszcze poczekać. Ale w resorcie nieoficjalnie słyszymy, że wypowiedź Macieja Miłkowskiego jest nadinterpretowana. Bo nikt nie planuje obecnie radykalnych zmian.

URZĄD STUDZI EMOCJE

Przedstawiciele Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, który decyduje o kategorii dostępności leków, również studzą emocje. Jak podkreśla rzecznik urzędu dr Wojciech Łuszczyna, „produkty lecznicze zawierające w swoim składzie odpowiednio pseudoefedrynę, dekstrometorfan lub kodeinę, stosowane zgodnie z zaleceniami określonymi w procesie rejestracji, nie odbiegają poziomem bezpieczeństwa od innych leków wydawanych bez przepisu lekarza”, co oczywiście nie oznacza, że mogą być groźne, gdy użytkuje się je w sposób niezgodny z prawem.

– Urząd nie ma sygnałów, uzyskanych w związku z prowadzeniem nadzoru nad bezpieczeństwem farmakoterapii, wskazujących na występowanie poważnych zagrożeń związanych z racjonalnym (zgodnym ze wskazaniami w ulotce) stosowaniem tych leków – informuje dr Łuszczyna. – Dlatego na tym etapie nie było rozważane podejmowanie jakichkolwiek inicjatyw zmierzających do zmian kategorii dostępności w związku ze sprawowaniem nadzoru nad bezpieczeństwem farmakoterapii. Kwestie ewentualnych nieprawidłowości bądź patologii, do których dochodzi w legalnym łańcuchu dystrybucji takich leków, leżą natomiast poza kompetencjami prezesa urzędu.

Bardzo ostrożnie do sprawy podchodzą politycy partii rządzącej. W nieoficjalnych rozmowach podkreślają, jak kosztowne mogłoby być wprowadzanie drakońskich regulacji – i mówimy tu także o koszcie politycznym.

– Przecież chodzi o tabletki na przeziębienie, zwykłe syropy czy krople do nosa. Mamy powiedzieć ludziom, żeby przy każdym katarze biegali do lekarza po receptę? Przecież to niepoważne. Niedobrze, że takie nieostrożne wypowiedzi w ogóle się pojawiają, nie ma sensu otwierać kolejnego frontu – mówi nam jeden z parlamentarzystów partii rządzącej.



PRZED WSZYSTKIM EDUKACJA

Także w oficjalnych wypowiedziach panuje daleko posunięta ostrożność.

– Temat nie jest nowy, powraca od lat. I jest z pewnością wart poważnego zastanowienia, ale też nie możemy popaść z jednej skrajności w drugą. Najpierw należałoby zrobić konkretną ewidencję, sprawdzić, jakie leki są dostępne na receptę i przeanalizować, czy wszystkie powinny być w takiej dostępności. Sprawa jest delikatna, wymagałaby współdziałania z ministerstwem ponadpartyjnymi podziałami. No i jest jeszcze kwestia edukacji, to bardzo ważne – mówi Tomasz Latos (PiS), wiceszef sejmowej komisji zdrowia.

Kto ma edukować? Przede wszystkim rodzice. Dzieci muszą wiedzieć, że „przygoda” z „efedrą” może się zakończyć fatalnie. W dalszej kolejności – szkoła. To rozwiązania oczywiste. Tak samo oczywiste jak odpowiedzialność aptekarzy, którzy zresztą chcą jej – jak się wydaje – mieć coraz więcej, skoro forsują pomysł nowej ustawy o opiece farmaceutycznej. Dzisiaj niestety jest z tym różnie. Bo o ile trudno zapobiec sytuacji, w której ktoś kursuje między aptekami, w każdej kupuje dozwoloną ilość leków, by na koniec mieć ich znacznie więcej, niż dopuszcza prawo, to nie jest wcale niczym wyjątkowym, że w przypadku większych zakupów pacjenci słyszą od farmaceuty: „Dobrze, tylko rozbiję na dwa paragony”.

– Na razie nie zajmujemy stanowiska w tej sprawie. Dwie interpelacje to za mało – skwitował naszą prośbę o rozmowę Michał Byliniak, wiceprezes Naczelnej Rady Aptekarskiej.



V Europejski Kongres Samorządów już na początku kwietnia w Krakowie

Kilka miesięcy po wyborach samorządowych, tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i wyborami parlamentarnymi, Kraków już po raz piąty będzie gościł najważniejszych polityków, samorządowców, przedstawicieli biznesu i lokalnych liderów

Czas (8–9 kwietnia 2019) i kontekst zbliżającego się kongresu jest szczególnie ze względu na spodziewane pierwsze podsumowania dotychczasowej pracy wybranych przed kilku miesiącami władz lokalnych. Ponadto format tego największego w Europie Środkowo-Wschodniej spotkania samorządowców umożliwia dyskusję w szerszym kontekście, dotyczącą nie tylko wyzwań, z jakimi mierzą się samorządy w Polsce i w Europie, lecz także obszarów, w jakich potrzebna jest współpraca z władzą centralną, przedsiębiorcami, jednostkami naukowymi i organizacjami pozarządowymi.

W V Europejskim Kongresie Samorządów weźmie udział ok. 2 tys. uczestników z niemal 40 krajów świata.

Liczne, ponad 100-osobowe grono dziennikarzy zrelacjonuje ponad 70 wydarzeń, które znajdą się w jego programie, w tym bloki programowe, panele, warsztaty, wykłady, prezentacje i „historie sukcesu”. Wśród najważniejszych punktów programu jest także gala wręczenia nagród w konkursie na najlepszych samorządowców. Dyskusje tradycyjnie będą prowadzone w ramach ścieżek tematycznych: Finanse, Społeczeństwo, Innowacje, Gospodarka, Środowisko, Dobre praktyki oraz Zdrowie.

Swoją obecność na kongresie potwierdzili m.in.: **Olgierd Geblewicz**, marszałek województwa zachodniopomorskiego, prezes Związku Województw RP, **Marek Woźniak**, mar-

szalek województwa wielkopolskiego (przewodniczący polskiej delegacji w Europejskim Komitecie Regionów, wiceprzewodniczący Europejskiego Komitetu Regionów), **Cezary Przybylski**, marszałek województwa dolnośląskiego, **Władysław Ortyl**, marszałek województwa podkarpackiego, **Elżbieta Anna Polak**, marszałek województwa lubuskiego, **Jacek Majchrowski**, prezydent Krakowa, **Paweł Rabej**, wiceprezydent Warszawy, **Hanna Zdanowska**, prezydent Łodzi, **Bogdan Wenta**, prezydent Kielc, **Piotr Grzymowicz**, prezydent Olsztyna, **Wojciech Szczurek**, prezydent Gdyni, **Krzysztof Żuk**, prezydent Lublina, **Zygmunt Frankiewicz**, prezydent Gliwic i prezes Związku Miast Polskich. Wśród gości, którzy po-



jawią się w Krakowie, są również **Beata Szydło**, wicepremier i przewodnicząca Komitetu Społecznego Rady Ministrów, **Anna Zalewska**, minister edukacji narodowej, i **Zdzisław Krasnodębski**, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

Co roku rośnie liczba samorządowców i przedstawicieli instytucji zagranicznych, a swoją obecność na zbliżającym się kongresie potwierdzili m.in.: Risto Poutiainen, gubernator Karelii Północnej (Finlandia), Davit Gabaidze, przewodniczący Rady Najwyższej Autonomicznej Republiki Adżarii (Gruzja), Olga Germanowa, deputowana Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej i przewodnicząca Union of Women of Russia, Guillermo Ramirez Martin, sekretarz generalny Stowarzyszenia Europejskich Regionów Granicznych (Niemcy), Eva Hallström, radna regionu Värmland, członkini oraz przewodnicząca Komisji ds. Energii i Klimatu Zgromadzenia Regionów Europy (Szwecja).

W ubiegłym roku bardzo wiele uwagi poświęcono konieczności modyfikacji ustawodawstwa i rozszerzenia uprawnień samorządów oraz potrzebie ułożenia na nowo relacji pomiędzy państwem a samorządem. Tegoroczny kongres będzie okazją do zmierzenia się z odpowiedzią na pytanie, na ile się to udało. W myśl hasła „Samorząd – razem dla przyszłości” spodziewana jest pogłębiona dyskusja wokół rozwiązywania takich kwestii jak alternatywne źródła finansowania rozwoju polskich regionów w kontekście nowej perspektywy finansowej UE, finansowanie współpracy transgranicznej, współpraca samorządów z ośrodkami badawczo-rozwojowymi, inwestycje w smart-

-rozwiązania czy możliwości integracji migrantów.

Uczestnicy Kongresu będą również wspólnie definiować „miasto przyjazne mieszkańcom”, dyskutować, jak rozwijać turystykę w regionach o bogatym dziedzictwie historycznym, jak walczyć ze smogiem oraz jak z sukcesem prowadzić „srebrną politykę” (politykę senioralną) i wspierać profilaktykę zdrowotną w obliczu nasila-



jących się zagrożeń cywilizacyjnych. To tylko wybrane kwestie spośród bogatej problematyki, którą zawarto w agendzie.

Prezydent miasta Krakowa – gospodarza kongresu – prof. Jacek Majchrowski tak mówi o wydarzeniu: „Europejski Kongres Samorządów nie porusza tematów abstrakcyjnych, akademickich. Mówimy o sprawach życia w miastach, ich rozwoju, codzienności, a więc o czymś, co jest bardzo realne

i bliskie każdemu z nas. Współorganizujemy kongres, ponieważ w wielu tych dziedzinach życia miasta czujemy się liderem, uważamy, że mamy czym się dzielić, a jednocześnie jesteśmy ciekawi przemysłów osób z zewnątrz”.

Organizatorem Europejskiego Kongresu Samorządów jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich, która jest również organizatorem Forum Ekonomicznego w Krynicy. Przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Krynicy Zygmunt Berdychowski tak definiuje kierunek dyskusji o przyszłości samorządu: „Samorząd musi wykonywać coraz więcej zadań i w ślad za tym otrzymywać coraz więcej środków na ich realizację. Ale nie mogą to być dotacje, lecz dochody własne. Musi działać samodzielnie”.

Podczas kongresu wręczone zostaną nagrody dla najlepszych samorządowców. W ubiegłym roku najlepszą wiejską

gminą zostały Koberzyce. Tytuł najlepszej miejsko-wiejskiej gminy trafił do gminy Dziwnów. Nagroda dla najlepszego powiatu powędrowała do powiatu pruszkowskiego. Najlepszym miastem na prawach powiatu zostały Gliwice, a najlepszym miastem Legionowo. 

Wszelkie informacje o V Europejskim Kongresie Samorządów znajdują się na stronie internetowej <http://www.forum-ekonomiczne.pl/v-europejski-kongres-samorzadow/>



Fot. Shutterstock 22 | 42/0219/F

Na wyciągnięcie ręki

Decyzja o większym komforcie finansowym po zakończeniu aktywności zawodowej zależy od każdego pracującego człowieka. Szansą na większe oszczędności na emeryturze dla wielu Polaków będą Pracownicze Plany Kapitałowe

PPK są systemem długoterminowego oszczędzania dla pracowników, współfinansowanym przez pracodawców i państwo. Warto pamiętać, że to rozwiązanie nie jest częścią systemu emerytalnego, dlatego oszczędności na koncie pracownika są i pozostaną prywatne, mogą być wypłacone w każdej chwili (pod pewnymi rygorami) oraz podlegają w 100 proc. dziedziczeniu.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej przyjął 26 października 2018 r. ustawę o Pracowniczych Planach Kapitałowych, została ona podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę w ub.r. PPK będą wprowadzane we wszystkich przedsiębiorstwach, począwszy od lipca 2019 r. do stycznia 2021 r., włączając do prywatnego oszczędzania potencjalnie około 11,5 mln pracowników. Wpłaty na konto każdego

uczestnika będą pochodzić z trzech źródeł: od pracodawcy, pracownika i państwa, co czyni tę formę oszczędzania bardzo atrakcyjną, z punktu widzenia pracownika praktycznie niemającą konkurencji na rynku finansowym.

Na pierwszy ogień idą największe zakłady pracy – zatrudniające ponad 250 osób (wydatki poniesione przez pracodawcę na realizację obowiązków wynikających z ustawy o PPK w tym przede wszystkim wpłaty pracodawcy będą kosztami uzyskania przychodu). Podczas startu programu u danego pracodawcy wszyscy zatrudnieni (od 18 lat do 55 lat) zostaną automatycznie do niego zapisani. Z PPK będzie można się wypisać, składając deklarację u pracodawcy, a także w każdej chwili powrócić do programu.

PEWNE I POLSKIE

„Jeżeli pracownik zarabia 4 tys. zł brutto, to jego miesięczna wpłata do PPK wyniesie 2 proc. od tej kwoty, tj. 80 zł. Do tego 60 zł dołoży firma, w której jest zatrudniony. Do tych pieniędzy 20 zł dopłaci budżet państwa. W sumie daje to 160 zł miesięcznie zaksięgowanych na indywidualnym, prywatnym koncie, a zatrudniony wpłacił połowę tej kwoty. Czyli mamy 160 zł miesięcznie z 80 zł własnych – dwa razy więcej” – wyjaśnia Bartosz Marczuk, wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju. „Jeśli przełożymy to na rachunek roczny – z wpłaconych 960 zł na rachunku PPK, nie uwzględniając zysków, wychodzi blisko 2 tys. zł. I dlatego tę formę długoterminowego

oszczędzania można nazwać interesem życia” – uważa Bartosz Marczuk.

Ustawodawca przewidział ulgę, gdy chodzi o wpłaty do PPK, dla najmniej zarabiających. Takie osoby będą mogły odprowadzać obniżone składki – mniej niż 2 proc., ale nie mniej niż 0,5 proc. wynagrodzenia, jeżeli wynagrodzenie uczestnika osiągnięte z różnych źródeł w danym miesiącu nie przekracza kwoty odpowiadającej 120 proc. minimalnego wynagrodzenia.

W tworzeniu systemu PPK ważną rolę odgrywa Polski Fundusz Rozwoju, który zapewni dostęp do informacji o tej formie oszczędzania. Będzie odpowiadać również za prowadzenie ewidencji uczestników, rejestr instytucji finansowych dopuszczonych do oferowania PPK oraz udostępni dla pracodawców i pracowników portal internetowy. Są w nim przedstawione w przystępny sposób niezbędne informacje o planach kapitałowych. Znajdą się także informacje o sposobie ich tworzenia, standardzie dokumentacji oraz instytucjach finansowych dopuszczonych do oferowania PPK. Pełne kompendium niezbędnej wiedzy: www.mojePPK.pl.

Z AUTOMATU

Uczestnictwo w PPK jest dobrowolne. Pracownik praktycznie nie musi nic zrobić, żeby być uczestnikiem takiego planu (w Wielkiej Brytanii ponad 80 proc. uprawnionych pracowników przystąpiło do odpowiednika polskiego PPK).

„Konstrukcja PPK jest jasna – przystępuje ten, kto z tytułu pracy za kogoś opłaca składkę emerytalno-rentową, bez względu na to, czy jest pracownikiem czy np. nakładcą. Twórcy ustawy o PPK zauważyli także potrzebę pewnego rodzaju wyrównania szans dla osób prowadzących działalność w stosunku do osób korzystających z PPK (ktoś, kto prowadzi działalność gospodarczą, jest pracodawcą, a nie pracownikiem). Dlatego od 1 stycznia 2021 r. ulegnie podwyższeniu limit wpłat na Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego – IKZE – dla osób prowadzących jednoosobową działalność” – podkreślił Bartosz Marczuk.

Limit z 1,2-krotności średniego wynagrodzenia (w 2019 r. to 5 718 zł) wzrośnie

do 1,8-krotności średniego wynagrodzenia (w 2019 r. wyniesie 8 577 zł). Warto pamiętać, że osoby oszczędzające na IKZE, a więc także samozatrudnieni, tego typu wpłaty dokonane w danym roku kalendarzowym mogą odpisać od podstawy opodatkowania.

Zgromadzone w PPK pieniądze są prywatne, dziedziczone. Każdy ma do nich dostęp praktycznie cały czas. Bezpieczeństwo kapitału można porównać do kont i lokat w banku. Instytucje finansowe, którym zostaną powierzone pieniądze osób będących w PPK, muszą spełnić wiele restrykcyjnych, określonych ustawowo wymagań, aby były dopuszczone do zarządzania aktywami uczestników tej formy oszczędzania.

REALNE PROGNOZY

Z wielu prognoz możemy się dowiedzieć, że wysokość emerytur osób kończących pracę za 20–30 lat będzie

wynosić 30–40 proc. ostatniej pensji (tzw. stopa zastąpienia). Mimo takich informacji rodzący nie wykazują zbyt-nej ochoty do dobrowolnego oszczędzania na cele emerytalne. Jak wynika z danych przedstawionych przez Polski Fundusz Rozwoju, na koniec 2018 r. funkcjonowało niecałe 1140 Pracowniczych Programów Emerytalnych (PPE), obejmujących 395 tys. osób, co stanowiło 2,41 proc. liczby pracujących. Rok temu Indywidualne Konta Emerytalne (IKE) miało ponad 951 tys. osób, co stanowiło 5,8 proc. pracujących. A Indywidualnymi Kontami Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE) mogło się pochwalić niecałe 700 tys. osób, co stanowiło 4,2 proc. pracujących. Jak wynika z tych wyliczeń, niecałe 13 proc. pracujących myślało aktywnie, tzn. decyzyjnie o przyszłości finansowej na emeryturze, i gromadziło na ten cel kapitał.

Małgorzata Dygas



Wpłaty finansowane przez pracodawcę

Wpłata podstawowa finansowana przez podmiot zatrudniający będzie wynosić 1,5 proc. wynagrodzenia brutto pracownika bez względu na to, ile on zarabia (nie ma możliwości jej obniżenia ze względu na niskie dochody pracownika, tak jak to jest przy wpłatach finansowanych przez pracownika).

Podmiot zatrudniający może też zadeklarować w umowie o zarządzanie PPK dokonywanie wpłaty dodatkowej w wysokości do 2,5 proc. wynagrodzenia brutto pracownika. Wysokość tej wpłaty nie musi być jednakowa dla wszystkich pracowników. Pracodawca może ją różnicować ze względu na długość okresu zatrudnienia poszczególnych osób albo na podstawie obowiązujących u niego postanowień regulaminu wynagrodzeń lub układu zbiorowego pracy. Pracodawca ma też prawo zmienić ustaloną wcześniej wysokość wpłaty dodatkowej lub zrezygnować z jej dokonywania.



Dopłaty państwa

- Do jednorazowej wpłaty powitalnej w wysokości 250 zł (jednorazowej) będą uprawnieni pracownicy, którzy przez co najmniej trzy pełne miesiące danego roku są uczestnikami PPK i za te miesiące dokonali wpłat podstawowych, tj. 2 proc. pensji brutto.
- Do dopłaty rocznej w wysokości 240 zł będą uprawnieni pracownicy, których wpłaty do PPK wyniosą co najmniej 3,5 proc. sześciokrotności minimalnego wynagrodzenia w roku, za który jest należna dopłata. Uczestnicy, których wpłaty do PPK są niższe niż 2 proc., będą zobowiązani do zgromadzenia co najmniej 25 proc. wspomnianej kwoty.
- Wpłaty powitalne i wpłaty roczne dokonywane przez państwo będą finansowane z Funduszu Pracy i zostaną przekazane na rachunki uczestników PPK za pośrednictwem Polskiego Funduszu Rozwoju SA.

Post i dieta

Czy dieta jest tożsama z postem? Wszystko zależy od intencji.

Dieta jest dla ciała, a post dla ducha

Do 18 kwietnia potrwa Wielki Post, który rozpoczął się 6 marca. To czas, który w Kościele jest traktowany jako okres pokuty i nawrócenia. Jego zaleceniami są post, jałmużna i modlitwa.

Po co katolikom w ogóle Wielki Post? Najprościej rzecz ujmując, po to, żeby zbliżyć się do Boga. – Dla katolika czy szerzej chrześcijanina niedoścignionym wzorem życia jest Jezus. Jeśli chcemy na serio nazywać się Jego uczniami, to powinniśmy kroczyć po Jego śladach. A On, zanim rozpoczął swoje ziemskie nauczanie, podjął 40-dniowy post na pustyni, gdzie był kuszony przez szatana. Generalnie Jezus dość często udawał się w miejsce odosobnienia, by tam oddawać się modlitwie i umartwieniom. Nam, chrześcijanom XXI w., grozi coś, co nazwałbym gonitwą. Często gonimy za niezalatwionymi na wczoraj sprawami, za rzeczami, bez których rzekomo trudno normalnie funkcjonować. Tymczasem Wielki Post to czas, w którym Bóg krzyczy do nas: „Zatrzymaj się!” i wyrusz na „pustynię”, by jeszcze raz usłyszeć ciszę, by jeszcze raz zobaczyć, co tak naprawdę najważniejsze jest w twoim życiu. Zmierz się ze



DOROTA ŁOSIEWICZ

swoimi pokusami, które niby mają dać ci szczęście, a tak naprawdę pogłębiają tylko bolesną pustkę serca. „Wypłyn na głębiej”, daj sobie czas, chwyć do ręki różaniec, otwórz Biblię, daj potrzebującemu jeść. Rozejrzyj się dookoła, w życiu jest coś więcej niż praca, pieniądze i kolejne awanse... – apeluje ks. dr Jarosław Kamiński, dyrektor Wydziału Duszpasterskiego Kurii Diecezjalnej w Płocku.

Co ciekawe, post wcale nie musi oznaczać wyrzeczenia się pokarmów. – Święty Cyprian, biskup Kartaginy żyjący w III w., powiedział, że „miarą postu nie jest to, ile schudłeś, ale ile postąpiłeś w pokorze i miłości”. Zatem wszystko, co pozwala nam temperować pychę oraz pogłębiać miłość do Boga i bliźniego, jest najlepszym postem. Jeśli poprzez milczenie walczę z pychą,

to jest dobry post. Jeśli rezygnuję z telewizji lub internetu, by więcej czasu poświęcić żonie, dzieciom, to jest to dobry post. Jeśli ograniczam czas spędzony na portalach społecznościowych, by czytać i medytować Pismo Święte, to jest to dobry post. Jeśli rezygnuję z czegośkolwiek, a nie wzrastam w pokorze i miłości, to znaczy, że szukam siebie w tych wyrzeczeniach, a nie Pana Boga – tłumaczy ks. dr Jarosław Kamiński.

Tak więc post to nie tylko dobrowolna decyzja o tym, aby się głodzić. Post nie musi być wcale związany z rezygnowaniem z jedzenia, chodzi przede wszystkim o poszukiwanie bliższej relacji z Bogiem. Podczas postu połączonego z modlitwą kierujemy nasze zmysły do wewnątrz, aby dostrzec, że prawdziwe lekarstwo oraz wsparcie są wyłącznie na zewnątrz.

Choć post nie musi oznaczać rezygnacji z pokarmów, często katolicy, podejmując wielkopostne postanowienia, decydują się na rezygnację ze słodczy, alkoholu czy wprowadzają



inne ograniczenia w diecie. Według Marka Zaremby, dietoterapeuty, autora książki „Boży skalpel”: „Człowiek jest wspaniałym dziełem samego Boga, wyposażonym w intuicję i rozsądek, i powinien w duszy stale wygrywać dźwięki umiarkowania, miłe samemu Stwórcy, zwłaszcza zaś dźwięki mądrości. Nasze struny wstrzemięźliwości powinny być poruszane z wielką delikatnością, aby nasze przesadne czasem łakomstwo poprzez swoją naiwność myślenia o żołądku bez dna nie doprowadziło nas do ruiny” – tłumaczył mi w jednym z wywiadów Marek Zaremba.

JAK NA WOJNIE

Skoro tak, może więc można połączyć post i dietę? – Dieta jest dla ciała, a prawdziwy post dla ducha. Oczywiście można je połączyć, wszak człowiek to ciało i duch. Ważna jest motywacja. Jeśli ograniczam jedzenie albo stosuję dietę tylko dlatego, by zrzucić zbędne kilogramy, lepiej wyglądać, wówczas trudno mówić o chrześcijańskim poście, który ma zupełnie inną motywację. Post ostatecznie powinien mieć zawsze charakter duchowy. Mnisi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa często o poście mówili w kategoriach wojennych: ten, kto pości, zachowuje się jak król, który oblega jakieś miasto, ale chce oszczędzić swoich żołnierzy. Co zatem robi? Odcina miastu jedzenie i picie. Bierze je głodem. Mnisi mówią: to jest właśnie post – wzięcie wroga głodem. A kto jest twoim wrogiem? Twoim wrogiem są twoje wady. Nazwij swojego wroga, swoje wady i pokonaj je głodem! To nie dieta, to walka! – mówi ks. Kamiński.

Dietoterapeuta Marek Zaremba zauważa, że post, który od zawsze królował w życiu chrześcijanina, we współczesnym świecie został zdezonizowany właśnie do rangi diety odchudzającej. – Współczesne obsesje dietetyczne rujną życie czasem całych rodzin. Jako dietetyk mogę to potwierdzić z ręką na sercu. Człowiek, aby cokolwiek zjeść, coraz częściej potrzebuje badań naukowych! Szukając wyłącznie raju na ziemi, miotamy się pomiędzy tym, co jeść, a czego nie jeść, ponieważ nieustannie wszystko analizujemy i badamy. Post odrywa nas



od przesadnego lęku o zdrowie. Uczy, że celem życia jest relacja z Bogiem, i wzmacnia naszą czujność na pokusy nadmiernego dogadzania podniebieniu. Owocem postu połączonego z modlitwą są zatem rozwijające się w nas cnoty. Pokora, cichość, umiarkowanie, cierpliwość, miłość i pokój, które wzmacniają naszą wiarę oraz nadzieję. Post prowadzi do wyjątkowej bliskości z Bogiem i najbliższymi. Moje dzieci mówią, że odkąd poszczę i modłę się na różańcu, jestem najlepszym tatą na świecie – tłumaczy Marek Zaremba.

W POSZUKIWANIU CISZY

Katarzyna Laskowska, śpiewaczka operowa, dyrektor Opery Light oraz współtwórczyni Dnia Katolickich Twórców i Artystów, jest przekonana, że te dwa porządki da się jednak połączyć. – Gdy pracujemy nad ciałem, ma to wpływ na ducha. Pan Jezus mówił w Piśmie Świętym, że złego ducha, którego nie mogli wyrzucić apostołowie, można wyrzucić postem. Dieta wpływa na ciało, o które przecież powinniśmy dbać, bo jest świątynią Ducha Świętego. Najważniejsza jest oczywiście intencja. Dieta jest najsensowniejsza wtedy, gdy połączona jest z rozważaniem. Modlitwa i rozważanie Pisma Świętego pozwolą pokonać słabości i wytrwać.

Marek Zaremba zachęca do przełamania lęku przed głodem i innymi wyrzeczeniami. Jego zdaniem lęk przed tym jest większy od uczucia głodu i braku z powodu wyrzeczeń. Zdaniem autora „Bożego skalpela” post to doskonałe źródło i droga do uzdrowienia wewnętrznego. – To dobrowolna postawa

chrześcijanina, który poprzez jedno-czenie się z Jezusem pragnie ofiarności, dobra i miłości. To szkoła pokochania również siebie jako dziecka Bożego, droga do dbałości o zdrowie w świetle umiarkowania, lecz bez zbytniej obsesji. Post jako źródło uzdrawiania uczy nas, że podejmując go w intencji konkretnej osoby, załóżmy o jej nawrócenie czy – daj Boże – świętość, nie mamy prawa jej w żaden sposób oceniać! Bóg dokonuje bowiem podczas postu przemiany w nas i osobach, sytuacjach czy przekonaniach według Jego woli. To bardzo ważne w postnym stylu życia, aby wzrosła nasza wiara i współpraca z otrzymaną łaską. Post oddziela nas od całego tego hałasu w tle, który ukrywa prawdę o nas samych. W tej nowej ciszy zmuszeni jesteśmy skonfrontować się z naszymi uzależnieniami i duchowym otępieniem, z którego często nie zdajemy sobie nawet sprawy. Poszcząc regularnie, z czasem umiarkowanie w naszym życiu zaczyna nabierać kolorów tęczy i zaczynamy dostrzegać Tego, który jest jej źródłem. Wstrzemięźliwość już nas nie odstrasza, ponieważ post powoli odrywa z nas etykiety społecznej aprobaty, sukcesu i samouwielbienia. Znikają krytykanctwo, ocenianie, wszelkie domysły i fałszywe projekcje naszego umysłu. Doświadczamy duchowej sytości, której wcześniej się nie spodziewaliśmy. To nie jest uczucie krótkie i impulsywne, jak po skosztowaniu szklanki gorącej czekolady. To czasem wręcz niezwykle długi finisz głębokiego smaku wewnętrznej harmonii, który paradoksalnie wzrasta na naszych słabościach – mówi Zaremba.

Chyba warto spróbować...

SZYMON RADZIMIERSKI*

Na filmowej wyprawie

Zacząłem podróżować właściwie już w brzuchu mamy, ale moja pierwsza prawdziwa egzotyczna wyprawa na szlaku Tajlandia–Malezja–Singapur odbyła się, kiedy miałem półtora roku.

Rodzice zaszczepili we mnie pasję do podróży, ale mamy to właściwie we krwi, ponieważ już moja babcia podróżowała, gdy była młoda, moi rodzice też, moja siostra, a teraz także ja.

Do tej pory odwiedziłem ponad 40 krajów na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Jednym z moich ulubionych miejsc były wyspy Galapagos i Madagaskar. Super były też wyprawy do Etiopii i na Borneo, które opisałem w swoich książkach z serii „Dziennik łowcy przygód”. Te miejsca były naprawdę wyjątkowe. Jeśli chodzi o Borneo i Madagaskar, to najpiękniejsze były dżungla i zwierzęta, które w niej żyją. Na Madagaskarze lemury i kameleony, a na Borneo – nosacze i orangutany. Z kolei na Galapagos niesamowite było to, że zwierzęta zupełnie nie bały się człowieka. Jeśli chodzi o Ugandę, moją ostatnią podróż, to tropiąc dzikie zwierzęta, czułem się, jakbym odkrywał nieznaną ląd...

Niedawno przeżyłem inną fascynującą „wyprawę”. Zagrałem główną rolę w filmie „Władcy przygód. Stąd do Oblivio”. Nie ma co ukrywać – to była fantastyczna przygoda.

Chrupiące ryżowe racuszki z bananem i syropem

Składniki: 300 g ugotowanego na klejąco ryżu, ostudzonego, 8 łyżek świeżego utartego kokosa, 2 łyżki cukru, po 1 łyżce białego i czarnego sezamu, plus trochę do dekoracji, szczypta soli, 3 nieduże banany, podzielone każdy na 4 kawałki, olej do głębokiego smażenia, 8 łyżek syropu palmowego lub klonowego do polania.

Przygotowanie: Aby zrobić masę, wymieszaj klejący ryż z kokosem, cukrem, sezamem i solą. Podziel na 12 części. Z każdej uformuj krążek i połóż na nim kawałek banana. Zaklej, tworząc kulkę tak, by środek był dokładnie zalepiony masą ryżową. Odstój na 10 minut do lodówki. Smaż na średnio gorącym tłuszczu przez 3 minuty. Osusz na ręczniku papierowym i podawaj polane syropem oraz posypane sezamem. Smacznego!



Plan filmowy jest pełen wyzwań. A szczególnie w tak ekscytującym przygodowym filmie, ze scenami kaskaderskimi i niesamowitymi efektami specjalnymi. Film jest naprawdę dopracowany na tip top.

Momentami trudno grało się rolę Franka, bo ja uwielbiam przygody i kontakt z ludźmi, a Franek jest zamknięty w sobie, zupełnie odwrotnie niż ja. Ale to właśnie jest najciekawsze, że mogę sobie usiąść i pomyśleć, jak bym się zachował, gdybym był Frankiem. To dobre ćwiczenie dla komórek mózgowych, żeby wczuć się w czyjąś postać.

Praca na planie jest jednak bardzo ciężka. Często byłem zmęczony, więc jadłem duuużo czekolady. Ale nie takiej zwykłej, tylko czekolady, która ma 90 proc. kakao. Ja w ogóle kocham jeść. Zawsze gdy jedziemy w podróż, próbuję różnych potraw, a przede wszystkim egzotycznych, nawet najdziwniejszych owoców. Takie są np. duriany – wielkie i kolczaste, które okropnie śmierdzą, a smakują jak syrop z cebuli o konsystencji rozgniecionego banana.

Jednym z najbardziej niesamowitych miejsc pod względem jedzenia było Peru. Kiedy wchodziło się do sklepu, półki dosłownie uginały się od przeróżnych owoców, z których większość widziałem pierwszy raz w życiu. To było niesamowite. Kupiliśmy cały koszyk tych owoców i próbowaliśmy, chociaż niektórych nawet nie potrafiliśmy otworzyć.

Ponieważ najbardziej lubimy wędrować poza utartymi szlakami, po wioskach i miasteczkach, często z jedzeniem jest krucho. Dlatego zawsze mamy żelazny zapas... kabanosów. One wytrzymują kilka tygodni bez lodówki nawet w ciepłym klimacie i czasami ratują nam życie, gdy już nie ma zupełnie nic do jedzenia.

Najbardziej kocham podróże, ale moją pasją jest też nurkowanie i gotowanie. Specjalnie dla was przygotowałem przepis na...

Notowała Jolanta Gajda-Zadzworna

**12-letni podróżnik, autor książek, zagrał filmie „Władcy przygód. Stąd do Oblivio”, który 21 marca trafi do kin*



SŁODKO-SŁONY

Warto dobrze zacząć

ANNA MONICKA

Anglików czy Szkotów nie trzeba przekonywać do owsianki. Tradycyjne śniadanie w kolorze beżowej brei nazywa się porridge i oprócz jaj na bekonie jest pewnie jednym z najpopularniejszych śniadań na świecie, przynajmniej tam, gdzie swoje obyczaje wprowadzili Brytyjczycy.

Po pierwsze, owies jest tani i rośnie nawet na ugorach. Po drugie, nieoczyszczone płatki dostarczają mnóstwa witamin, białka, błonnika i złożonych węglowodanów, które dają energię, wspomagają koncentrację i zapewniają na długie godziny uczucie sytości. Choć płatki są suche, zawierają niezbędne kwasy tłuszczowe. Naukowcy nie mają wątpliwości, że takie śniadanie pomaga człowiekowi budować odporność, żyć w zdrowiu, chroni przed zawałami, otyłością (płatki wymiatają jelita jak szczotka), a nawet pomaga utrzymać równowagę hormonalną. Zawarty w owsie betaglukan, czyli odmiana błonnika, obniża cholesterol, dzięki czemu mniej grozi nam wieńcówka.

Oczywiście po tej porcji dydaktycznego smrodku aż się prosi o dobre wiadomości. Voilà! Nie musimy jeść owsianki na mleku, wystarczy woda z odrobiną masła i soli. Ba, również dobre są płatki surowe z kefirem albo jogurtem greckim czy kokosowym. Do tego orzechy, suszone i świeże owoce, miód i syrop klonowy, sok malinowy czy truskawkowy. Można się pobawić i stworzyć swój ulubiony zestaw. Warto, w końcu jakie śniadanie, taki cały dzień. Trzeba więc dobrze zacząć, żeby potem dobrze skończyć.

Dla mnie najsmaczniejsze owsianki są gotowane z wodą, kroplą oliwy i solą czosnkową. Czasem dodaję do nich płatki gryczane (same też są pyszne) lub jęczmienne (nazywane pokarmem gladiatorów), prażone pestki słonecznika lub orzeszków piniowych albo prażonych migdałów. Zwłaszcza wiosną mój organizm dosłownie domaga się takiego jedzenia. Noszę wtedy ze sobą moje płatki do pracy. Na osobnym talerzyku układam skropione cytryną awokado albo pieczone jabłko czy gruszkę z miodem. Doskonale smakują i rozgrzewają płatki z cynamonem, plus jabłko, śliwka, mango, banan. Za chwilę będą świeże owoce: truskawki, borówki amerykańskie, agrest, porzeczki – mieszajmy je z płatkami, polewajmy jogurtem, doprawiajmy miodem. Będziemy lżejsi i zdrowsi.

WILCZYM OKIEM

Warzywo wiszących ogrodów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia uprawy buraka, bo to on jest tym starożytnym warzywem, rozpoczęła się tak dawno temu, że początki jej nikną w mrokach historii. Być może już mieszkańcy mezopotamskiego Ur, mozołąc się w promieniach słońca palących dolinę Eufratu, siedem tysięcy lat temu spulchniali motykami swoje grządki buraków (pierwsze wzmianki o buraku pochodzą z tego rejonu). A może znany był dużo wcześniej i już milion lat temu liście buraków wzmacniały siły pitekanthropów, którzy opuścili Afrykę i stanęli u progu Azji?

Prapojcem obecnych warzyw jest burak dziki *Beta vulgaris maritima*, rosnący na Bliskim Wschodzie, w Mezopotamii i Indiach. W najdawniejszych czasach buraki uprawiano dla liści. Stopniowo nauczono się odczytywać odmiany o większym korzeniu i różnych właściwościach odżywczych, na przykład o dużej zawartości cukru. Chociaż może wydawać się to zaskakujące, burak zarówno cukrowy, jak i ćwikłowy, z którego gotuje się botwinę, burak liściasty czy burak pastewny stanowiący paszę dla bydła – wszystkie te pozornie różniące się od siebie rośliny, to w rzeczywistości zaledwie formy uprawne jednego gatunku – buraka zwyczajnego *Beta vulgaris*. Z punktu widzenia botaniki więc wielkie, białe kule, zsypane jesienią na polach w wielkie stosy, które 200 lat temu zrewolucjonizowały światową produkcję cukru, skutecznie konkurując z trziną cukrową, to ta sama roślina, którą znamy pod postacią wiotkich pęczków delikatnie, bordowo żółkowanymi listków na zupe.

Polska jest jednym z głównych producentów buraków na świecie. W naszym kraju do potraw i przetworów wykorzystuje się buraka ćwikłowego, którego fioletowo-czerwona barwa jest oznaką prozdrowotnych właściwości antyoksydacyjnych. Na zachodzie Europy jada się, najczęściej w formie sałatek, buraka liściowego, podobnego do szpinaku.

A skąd wzięła się nazwa „burak”? Istnieją na ten temat różne teorie. Gdyby przyjrzeć się nieprzypadkowej może koincydencji wielowiekowych kontaktów handlowych z kupcami tureckimi, przywozącymi z sobą znajomość wschodnich potraw, z popularnym w tamtym rejonie imieniem Burak (to np. drugie imię syna prezydenta Erdoğan, a także imię rumaka Mahometa), historia tej nazwy okazałaby się tak banalna.



Lekcja anatomii profesora T.



Drogie dzieci, najwspanialszą miłością, tą, którą mieć możecie zawsze – jest miłość do samego siebie. Dziś uczyć się będziemy, jak kochać samego siebie. To będzie wesola i przyjemna lekcja

Standardy Światowej Organizacji Zdrowia wkraczają. Wyobraźmy więc sobie taką scenę. W warszawskim przedszkolu w grupie maluchów trwa zabawa. Pani przedszkolanka przerywa ją i przedstawia pana, który wraz z nią wszedł. Pan jest miły, zagaduje wesoło. Przedszkolanka mówi dzieciom, że teraz uczyć się będą znanej wszystkim dzieciom świata zabawy w kochanie, a pan jest nauczycielem tej właśnie zabawy. Każde dzieciom ułożyć się na leżaczkach, na kocykach. Zaciekawione dzieci układają się i patrzą, co będzie dalej.

Pani przedszkolanka wycofuje się i oddaje głosu miłemu panu. Miły pan mówi, że świat jest piękny, a wszystkie dzieci mają prawo do miłości. Pyta, czy w tym przedszkolu dziewczynki lubią chłopców. Dzieci chichoczą. Miły pan pyta, czy są dziewczynki, które lubią dziewczynki? Tak! Urwis spod ściany wskazuje na parę przyjaciółek, które zawsze trzymają się razem. „O widzicie! – ucieszył się miły pan. – Wasze koleżanki są lesbijkami i mogą być z tego dumne”. Przyjaciółki patrzą na siebie zaskoczone, ale skoro mogą być dumne, to się uśmiechają. „Powitajmy lesbijki w naszym gronie!” – wesoło woła miły pan, bije brawo i daje dziewczynkom po lizaku o dziwnym kształcie. Wszystkie dzieci biją brawo. Teraz miły pan pyta, czy są chłopcy, którzy lubią chłopców? „Tak! – krzyczy ten sam urwis (zauważył, że można dostać lizaka) – Ja i Kuba wszędzie razem chodzimy!”. „Brawo! – woła pan. – Zatem jesteście gejami! Brawo dla

gejów w naszym przedszkolu!”. Miły pan daje urwisowi i Kubie po lizaku o dziwnym kształcie. Dzieci biją brawo.

Pan pyta: „Kogo jeszcze można kochać?”. Urwis mówi: „Można też kochać dziewczynę!”. „Tak, można” – przyznaje pan. „Można kochać mamę!” – zgłasza rezolutna okularnica. „Tak jest” – zgadza się pan. Dzieci umieją kochać mamusię, tatusia, kolegę, koleżankę, siostrzyczkę, braciszka, babcię, dziadka. „Ale przecież babcia może umrzeć” – mówi pan. – Mamusia może wyjechać, tatuś może się z mamusią rozwieść, prawda?”. Dzieci posmutniały. „Dlatego, drogie dzieci, najwspanialszą miłością, tą, którą mieć możecie zawsze – jest miłość do samego siebie. Dziś uczyć się będziemy, jak kochać samego siebie. To będzie wesola i przyjemna lekcja”.

Teraz miły pan każe dzieciom zdjąć majteczki i wygodnie położyć się na pleckach, patrząc w sufit. Dzieci są zaskoczone, część rozgląda się pytająco, kilkoro się śmieje, dwoje rzeczywiście opuszcza majteczki, kilkoro zaczyna płakać. Ale miły pan spokojnie mówi, że to tylko miła zabawa i bardzo dobra dla zdrowia. Dziewczynki patrzą pytająco na przedszkolankę, ta – nieco nerwowo – ale także się uśmiecha, kiwa głową i mówi, żeby słuchać pana. Podchodzi do płaczących dzieci, gładzi po główce i tłumaczy, że to jest dla ich dobra, muszą się nauczyć kochania siebie, wszyscy dorośli i wszystkie mądre i grzeczne dzieci tak robią. Płaczący uspokajają się, dzieci powoli, stopniowo zasuwały majteczki i kładą się na pleckach.

Kiedy wszystkie dzieci już leżą na wznak, miły pan chodzi wśród leżaków i sprawdza, czy majteczki dziewczynek i chłopców są zdjęte lub wystarczająco zsunięte. Gdy nie są, pan się pochyla i delikatnie, bardzo delikatnie, zsuwa majteczki, jak należy. Miły pan każe dzieciom zamknąć oczy i daje przedszkolance znak. Przedszkolanka włącza miłą muzykę.

Teraz miły pan każe dzieciom położyć rączkę (prawą lub lewą, jak kto woli) na swoim brzuszku i wykonywać ruch w kółeczko, jakby zjadło się bardzo smaczny deser. Dzieci wykonują polecenie, niektóre ze śmiechem, inne w ciszy. Teraz miły pan każe przesunąć rączkę niżej i zacząć dotykać swoich „susiaków” i swoich „muszelek”. Dzieci wahają się, ale pan zachęca, mówi, że to bardzo przyjemne. Niektóre dzieci wykonują polecenie, inne nie chcą albo nie potrafią.

Pan podchodzi do tych, które nie potrafią, bierze w dłoń ich rączki i delikatnie pokazuje, jak to należy robić. „Prawda, że to przyjemne?” – pyta miły pan. I po kolei podchodzi do wszystkich dzieci, które sobie nie radzą, łagodnie prowadzi ich rączki, pokazuje. Z dziewczynkami idzie lepiej. Ale miły pan jest troszkę smutny, bo nie wszyscy chłopcy sobie radzą. Teraz miły pan prosi, by wszystkie dzieci patrzyły na niego, pokaże, jak należy kochać siebie. Gdy wszystkie dzieci już patrzą, pan opuszcza swoje majteczki i pokazuje dzieciom, jak to należy robić, żeby było naprawdę przyjemnie.

Takie „warsztaty tolerancji” w niemieckich i skandynawskich przedszkolach już się odbywają.

Maciej Pawlicki

Dobry czas dla MŚP

Bank Pekao SA zaprezentował „Raport o sytuacji mikro, małych i średnich firm w roku 2018”. W tegorocznej, już dziewiątej, edycji raportu szczególną uwagę poświęcono zagranicznej ekspansji polskich firm, przede wszystkim eksportowi, o czym dyskutowano podczas debaty towarzyszącej prezentacji wyników badania



Tegoroczne opracowanie raportu przynosi bardzo ważną zmianę. W poprzednich odsłonach badaniem objęte zostały jedynie mikro (do dziewięciu pracowników) i małe (do 49 zatrudnionych) przedsiębiorstwa. W tym roku po raz pierwszy przeanalizowano także firmy średnie – zatrudniające do 249 osób. W sumie przebadano niemal 7,5 tys. firm z segmentu MŚP.

Sektor MŚP jest szczególnie istotnym elementem Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju realizowanej przez rząd. Stanowi on miejsce pracy dla 69 proc. zatrudnionych w przedsiębiorstwach, generuje ponad połowę (56 proc.) przychodów ogółem oraz prawie jedną trzecią wartości eksportu wyrobów i usług (30 proc.).

Jak wynika z raportu, 2018 był rokiem najlepszej od dziewięciu lat koniunktury w ocenie badanych przedsiębiorstw. Wskaźnik koniunktury dla roku 2018 wyniósł 100,1 punktu (wzrost o 0,6 punktu wobec poprzedniego roku) i po raz pierwszy w historii przekroczył próg 100 punktów (50 – dużo gorzej; 100 – ani lepiej, ani gorzej; 150 – dużo lepiej).

– Wyniki tegorocznego raportu bardzo nas cieszą. Pokazują, że droga, którą obraliśmy, czyniąc sektor MŚP jednym z priorytetów w naszej strategii rozwoju, jest drogą właściwą – ocenia Magdalena Zmitrowicz, wiceprezes Banku Pekao SA, nadzorująca działalność Pionu Małych i Średnich Przedsiębiorstw.

Autorom zależało przede wszystkim na tym, by publikacja miała wymiar praktyczny – stąd konkretne informacje o tym, jak rozpocząć albo rozwijać działalność za granicą, jak radzić sobie z barierami oraz jak wzmocnić swoją pozycję rynkową. – W zależności od skali i potrzeb działalności dopasowujemy nasze produkty oraz usługi tak, aby być dla naszych klientów jak najlepszym partnerem w rozwoju biznesu – mówi Magdalena Zmitrowicz.

Tegorocznym tematem specjalnym raportu o sytuacji sektora MŚP była ekspansja firm tego sektora na rynki zagraniczne. – Polska znajduje się na 22. miejscu wśród 164 badanych pod względem eksportu krajów. To doskonały wynik. Wynik 30 lat ciężkiej pracy. Dziś trendy globalne pokazują, że 60 proc. świa-

towego eksportu przypadać będzie na rynki rozwijające się. To trudna perspektywa – zauważył prof. Marek Wróblewski, stały przedstawiciel RP przy Światowej Organizacji Handlu (WTO).

Gdzie i jak zatem polski eksporter może szukać wsparcia przy ekspansji zagranicznej? – Polskie firmy coraz chętniej wychodzą poza krajowy rynek, a eksport jest motorem wzrostu dla całej gospodarki. Ekspansja polskich firm na zagraniczne rynki przy jednoczesnym rozwoju technologicznym stawia przed bankami nowe wyzwania. Sądzę, że Bank Pekao ma dla firm-eksporterów bardzo dobrą ofertę, często unikalnych rozwiązań finansowania, i że dzięki nam polskie firmy będą coraz silniej obecne na światowych rynkach – podkreślił Piotr Stolarczyk, dyrektor Departamentu Bankowości Międzynarodowej i Finansowania Eksportu w Banku Pekao SA.

Wsparcie nadchodzi także ze strony Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu dysponującej siecią 70 biur handlowych na całym świecie. Biura udzielają informacji, pomagają wybrać kierunek, edukują rynek i współpracują z bankami. Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych od ponad 27 lat ubezpiecza transakcje handlowe polskich przedsiębiorców. Dziś widać duże zapotrzebowanie na ubezpieczenia od ryzyka politycznego – np. na rynkach wschodnich.

„W 2019 r. nasz klient nie jest od nas oddalony o 10, 20, 100 ani 1000 km, ale o jedno, dwa, może trzy kliknięcia” – pisze na łamach Raportu Michał Kramarz z Google’a.

Z kolei Facebooka do działań biznesowych wykorzystuje 73 proc. polskich firm. Prawie co trzecia mała firma w Polsce zbudowała swoją działalność właśnie w oparciu o to medium. Cyfryzacja ułatwia rodzimym przedsiębiorcom rozeznanie i wybór rynku, a później dotarcie do nowych klientów. 4 proc. polskiego eksportu odbywa się poprzez e-commerce. Następuje demokratyzacja dostępu do rynku zbytu. Kiedyś liczyły się znajomości i kredyty. Dziś te bariery znikają. Dzięki platformom takim jak Google czy Facebook zacierają się różnice między MŚP a korporacjami.

Więcej informacji o raporcie oraz wiele praktycznych porad dotyczących eksportu na www.pekao.com.pl/raport-msp.

Anna Raciniewska

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Rewolta Trzaskowskiego



W Polsce jest władza państwowa i samorządowa. Ta ostatnia ma swoje źródło w ustawie o samorządzie terytorialnym z 1990 r. Ustawę uważano przez lata za wielki sukces demokracji, szansę na budowę społeczeństwa obywatelskiego. Nie przewidziano jednak, że po 29 latach władza samorządowa może się zbuntować wobec władzy państwowej i przejmować jej ustawowe kompetencje. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski udowadnia, że rządzi miastem wraz ze środowiskami spod znaku LGBT, którym najwyraźniej zawdzięcza swój sukces wyborczy. Chodzi oczywiście o jego deklarację. Odbieram ją jako akt wymierzony we władzę państwową, przejaw buntu lokalnej władzy.

Deklaracja Rafała Trzaskowskiego zawiera oskarżenie „czołowych polityków rządu” o „otwartą mowę nienawiści” oraz o „demontaż państwa prawa”. Jest też oskarżenie dotyczące „grup o jawnie faszystowskich poglądach”, w domyśle „wspieranych” przez rządzących. Zatem zarzuty poważnego kalibru wymierzone we władzę państwową.

Samorządowiec Rafał Trzaskowski sprawdza odporność i reakcję władzy państwowej na lokalną samowolkę. Deklarowane w karcie LGBT „wdrażanie rozwiązań” wykracza poza przepisy regulujące funkcjonowanie samorządów. Pierwsza ingerencja dotyczy ustawy oświatowej, która nie przewiduje nowinek Trzaskowskiego o seksualizacji dzieci i młodzieży w związku z wytycznymi WHO. Nie przewiduje również ingerencji w proces nauczania tzw. trzeciego sektora, czyli organizacji pozarządowych i społecznych „działających na rzecz społeczności LGBT”. Wręcz przeciwnie, polskie

prawo (konstytucja) uprawnia rodziców do wpływu na wychowanie dzieci, także w zakresie edukacji seksualnej. W dziale edukacja wspomnianej deklaracji jest też iście bolszewicka zapowiedź pomocy w „tworzeniu szkoły otwartej i tolerancyjnej” w stosunku do tych nauczycieli, którzy „w obawie przed przełożonymi” mogą „nie angażować się w tematy i inicjatywy dotyczące młodzieży LGBT”. Odbieram to jako nielegalną presję na przełożonych, dyrektorów szkół, aby dopasowali się do nowej rewolucyjnej sytuacji, inaczej zostaną wymienieni na innych, najpewniej na tzw. latarników. Tymczasem przepisy dotyczące oświaty nie przewidują w szkołach instytucji tzw. latarników społecznych, których wprowadzenie zapowiada deklaracja. Mają być nimi nauczyciele, pedagodzy oraz „pedagożki” szkolni monitorujący sytuację uczniów LGBT w szkołach podstawowych i średnich. Jest również zapowiedź zdecydowanego działania straży miejskiej w obronie osób LGBT. Widać szczególne uprzywilejowanie tych osób, dodatkowy immunitet w stosunku do pozostałych społeczności, nieraz atakowanych przez ludzi LGBT. Zablockowanie najważniejszej arterii w Warszawie, ronda Romana Dmowskiego, w piątkowe popołudnie przez grupę osobników chcących sobie potać jest dowodem tego typu bezprawia, braku poszanowania większości. A wszystko to pod hasłami „równości”, „tolerancji”, „wolności od homofobii i transfobii”.

Nowymi pomysłami są też centrum wielokulturowe zapewnijające „wolność artystyczną”, kluby sportowe dla LGBT, „hostel interwencyjny”, „tęczowe sieci pracownicze” gwarantujące „dobry klimat pracy” oraz specjalny pełnomoc-

nik prezydenta ds. społeczności LGBT. Inwestycje finansowane z podatków większości.

Pomysłem jawnie dyskryminacyjnym jest zapowiedź stosowania tzw. klauzuli antydyskryminacyjnych w umowach z kontrahentami miasta. Wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej udowodnił, na czym to ma polegać, ogłaszając bojkot gdańskiej piekarni tylko dlatego, że jej właściciel wspiera ruch narodowy i śmiał procesować się z „Gazetą Wyborczą”. Tak to działa już na Zachodzie. Za odmowę wykonania „ślubnego” tortu udekorowanego czekoladową rzeźbą dwóch panów – proces karny i wysoka kara grzywny. A więc firmy chcące zawrzeć umowy z miastem będą musiały uwzględnić cały pakiet tzw. zobowiązań antydyskryminacyjnych. Ostatnio pisarz Ireneusz Lisiak został wyproszony z pociągu, gdyż zażądali tego pasażerowie, zwolennicy LGBT, uznając go za osobę homofobiczną. A wystarczyło tylko użyć w rozmowie medycznego słowa „pederasta” zamiast „gej”.

Pomysły Trzaskowskiego zmierzają do stworzenia specjalnych uprzywilejowanych gett dla osób o odmiennej orientacji seksualnej. Ten liczący ponad 200 tys. lewicowy proletariatus za dodatkowe prawa ma się odwdziżyć w następnych wyborach.

Niekonstytucyjność i konfrontacyjność proponowanych rozwiązań wydaje się oczywista. Zauważył to nowy rzecznik praw dziecka, a ostatnio zrobiła to także Konferencja Episkopatu Polski, przywołując art. 72 konstytucji: „Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed [...] demoralizacją”. Deklaracja LGBT winna być jak najszybciej wycofana z publicznego obiegu.

www.wojciechreszczyński.pl

Zboczony konwejer

Czy można tak wynaturzyć świat, że nie chce się w nim żyć? Czy można tak rozchwiać ludzkie poczucie sensu i samoidentyfikacji, że niemal każdemu oddechowi towarzyszy lęk?

Tak, można to zrobić – istnieją na to skuteczne metody. Pytanie: po co to czynić?

Ludźmi zagubionymi, wyrwanymi z pewności sądzienia o rzeczach najprostszych można po prostu bezkarnie i irracjonalnie sterować. A więc robi się to dla... władzy.

Uderzanie w rodzinę i tradycję, wzruszanie najmocniejszych podstaw samoidentyfikacji to metody, którymi dzisiejsi marksiści usiłują zdobyć rząd dusz. Wykorzenienie ludzi, zaniepokojenie ich, spowodowanie niepewności pozwalają na prowadzenie ich w kierunku, w którym lewaccy propagandyści zechcą ich powieść.

Nie ma ludzi odpornych na manipulację, to tylko kwestia natężenia mentalnej przemocy, czasu i pieniędzy. Nikt nie wytrzyma długiej mentalnej kąpieli w absurdzie. Im bardziej absurdalne rzeczy się nam wpiera, tym lepsze będą skutki długotrwałej i totalnej manipulacji. Początkowo śmiejemy się do rozpuku, potem wzruszamy ramionami, aby w końcu zacząć milczeć i biernie podążać za konwejerem. Konwejer z natury nie polega na wyciąganiu z człowieka prawdy, dąży jedynie do jego złamania i wykształcenia gotowości przyznania się do każdej winy, jaką tylko przesłuchujący będą chcieli usłyszeć.



**Witold
Gadowski**

Im bardziej beczelne i brutalne będą żądania, tym lepiej – byleby tylko konwejer dostatecznie długo trwał. Nie ma mocnych, każdy pęknie.

Od dekady zakłada się nam na głowę bolesny czepek mankurta. Nikt już nie użyje słowa „zboczeniec”, nikt publicznie nie puknie się w głowę, słysząc o tym, jak konieczne jest demoralizowanie naszych dzieci od najmłodszych lat. Nikt nie trząśnie w pysk beczelnego „latarnika”, który obrzydliwie zagląda w bieliznę nieletnim.

Bohaterem czasu staje się Daniel Cohn-Bendit, dewiant i przyjaciel Adama Michnika (nie wiadomo, co bardziej pejoratywne), który od dawna publicznie wychwala „odczuwanie wspólnej seksualności wraz z małymi dziećmi”.

Jeszcze kilka lat temu próby homoseksualnych ekscesów – w takim na przykład Belgradzie – rozganie były pięściami zwykłych przechodniów. Dziś prospektem Kneza Miloša spokojnie defilują odmieńcy. Terror zboczeńców nasila się, a my – normalni ludzie, schodzimy im z drogi. Defilują więc dalej i coraz bardziej nachalnie, coraz śmielej domagając się uznania ich za półbóstwa.

Jeśli zezwolimy im na adopcję dzieci, przypieczetujemy marny koniec naszej cywilizacji. Raz puszczona w ruch maszyna deprawacji nie zatrzyma się już tak łatwo.

Milcząc, przykładamy dłoń do wynaturzonego końca świata, jaki znaleźmy.

7+ prezydenta Mościckiego

Wdobie 500+ na pierwsze dziecko mało kto dziś pamięta, że przed wojną dopiero siódmy urodzony w polskiej rodzinie syn zyskiwał znaczące przywileje. Gwarantował to dekret wydany w 1926 r. przez prezydenta Ignacego Mościckiego, wpisujący szczęściarza spod siódemki do urzędowej ewidencji prezydenckich chrześniaków (koniecznie pod imieniem Ignacy). Chłopak już na starcie otrzymywał wysoko oprocentowaną książeczkę oszczędnościową z wkładem 50 zł (połowa pensji nauczyciela!), bezpłatną naukę oraz studia w kraju i za granicami, a także darmową opiekę zdrowotną i gratisowe bilety na komunikację (przysługujące również reszcie rodzeństwa). W przypadku poczęcia bliźniaków do elitarnego grona wchodził obaj chłopcy (siódmy i ósmy). Choć trudno dziś w to uwierzyć, do programu 7+ kwalifikowało się (do wybuchu wojny) aż 900 noworodków! Premiowanie potomków płci męskiej miało wyraźny podtekst militarny. Młodej Polsce potrzebni byli obrońcy. Ale z wyżej wymienionych Ignasiów

wyrośli z czasem nie tylko oficerowie, lecz również naukowcy, kapłani, artyści...



**Lech
Makowiecki**

Dziś czasy mamy inne. Choć wspiera się finansowo już pierwszego przychodzącego na świat potomka, to i tak mało jest rodzin z więcej niż trójką dzieci. Tymczasem aktualny wskaźnik dzietności na poziomie 1,4 nie daje nawet prostej zastępowalności pokoleń (2,1). Nie sprzyjają demografii antyrodzinna ideologia gender (LGBT), wojujące o aborcję na życzenie feministki ani moda na hedonistycznych singli/singielki. Biała, zlaicyzowana Europa starzeje się na potęgę, oddając bez walki pole mnożącym się na unijnym socjalu muzułmanom. Według statystycznych prognoz przyszłość należy do ludzi wierzących; wszak każda religia wspiera rozrodczość. Zwijanie się chrześcijaństwa sprawia, że wkrótce Stary Kontynent zdominuje islam...

PS Program 7+ Mościckiego nie miał znaczenia dla dzietności Polaków. Chęć dawania nowego życia i radość z posiadania dzieci Polacy zawdzięczali swej głębokiej wierze.

Ukazała się książka autorstwa Jana Grabowskiego i Barbary Engelking „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Autorzy tej pracy są zatrudnieni w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, w zespole zajmującym się martyrologią narodu żydowskiego. Tenże instytut jest też wydawcą książki, co jest tu niezwykle znamienne.

Oglądam pracę i oczom nie wierzę! Książka wydana przez jednostkę naukową, napisana przez doktora habilitowanego i profesorkę z tytułem, książka historyczna, rozstrzygająca o istotnych faktach i źródłach nie ma recenzenta! W nauce to niespotykane. Wszak realia tej branży znam na wyłot. Takie rozprawy bez recenzji się nie ukazują. Bez względu na to, kto jest autorem. Czy jest nim magister, czy zasłużony profesor, książki naukowe podlegają recenzjom. Tym samym recenzent bierze na siebie część odpowiedzialności za treść pracy i przyjętą metodę badawczą. Nauka to także pewne standardy postępowania wydawniczego. Dlaczego tutaj od nich odstąpiono? Nie znalazł się nikt, żaden historyk ani socjolog, który mógłby się pod treścią książki podpisać? A dlaczego szacowny i skądinąd zasłużony instytut PAN zgodził się na taki manewr? Czyż praca nie idzie również na jego konto?

Nie należy dbać o własny wizerunek i naukową wiarygodność przy upublicznianiu każdej rozprawy? Kto zgodził się na druk książki (a więc pokrycie kosztów jej produkcji) bez zapoznania się z opiniami eksperta w danej dziedzinie? Dodam, że na żadnej uczelni nie byłoby to możliwe. Moje wydawnictwo (krakowski Impuls) domaga się najczęściej dwóch recenzji, a bywa, że i trzech. Ostatnia książka, którą tam wydałem, miała aż czterech recenzentów ze względu na swą interdyscyplinarność. Dlaczego zatem publikacja pod szyldem PAN nie ma żadnego? A może był, tylko nie ujawniono jego nazwiska?

Czytelników pracy musi uderzyć jej tytuł: „Dalej jest noc”. Nie zapowiada on problemu naukowego, nie jest ukrytym pytaniem „(czy) dalej jest noc?”, ale jest stwierdzeniem, przyjętym a priori założeniem. Od początku lektury musimy wiedzieć, być przekonani, nie mieć wątpliwości, że dalej jest noc. I koniec, kropka! A kto tego nie wie albo nie dostrzeżę, ten jest antysemitą i żydożercą. Tak się stawia fałszywe i metodologicznie koślawe pytania naukowe w stylu: „kto mordował Żydów i dlaczego to byli Polacy?”. Tak właśnie można by streścić tę pracę naukową, która od nauki jest

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Na medal



**Aleksander
Nalaskowski**

*Kto zgodził się na druk książki
bez zapoznania się z opiniami
eksperta w danej dziedzinie?
Na żadnej uczelni nie byłoby
to możliwe*

biegunowo różna, a wręcz jej obca. Udowodnił to w ostatnim numerze „Sieci” Piotr Gontarczyk, przeprowadzając szczegółową i rzeczywiście naukową analizę jednego z epizodów książki. Wskazał on na cyniczną manipulację źródłami i ewidentne kłamstwa autorów. Co na to Instytut Filozofii i Socjologii PAN? Co na to polscy luminarze historii? Co na to wydziały historyczne i specjalistyczne katedry uniwersyteckie? Co na to historia w ogóle? Co powiedział (a może dopiero powie) minister Gowin? Czy w istocie na to mają iść pieniądze podatników? Na taką właśnie metodę historyczną, na taki rozwój nauki i dochodzenie przez nią prawdy?

Tomasz Gross opublikował historyczny humbug, czyli „Sąsiadów”, w epizodycznym wydawnictwie lokalnym. Zrobił to, będąc poza polskimi strukturami naukowymi. W takim przypadku łatwo znaleźć wydawcę, który dla sławy, pieniędzy czy poklasku wyda każdą brednię. Na „Sąsiadach” nie zostawiono suchej nitki. Praca okazała się nie tylko nieprawdziwa, lecz również świadomie fałszywa. Niemal nic się w niej nie zgadzało. Ani liczby, ani fakty, ani nazwiska osób. Jeśli zaś przemilczeń nie uznamy za historyczny fałsz, to powstanie pytanie: co jest tym fałszem? Czy zatem Instytut Filozofii i Socjologii PAN też by firmował to „dzieło”?

W dużej mierze jest ono metodologicznie i naukowo podobne do „Dalej jest noc...”. A autor po amerykańsku utytułowany, bezkompromisowy i odkrywczy jak Grabowski i Engelking.

Nie będę streszczał książki tego duetu. Kto chce, ten sięgnie po nią i sam się przekona, jak dalece uprzedzenia i nienawiść mogą prowadzić do służebności nauki oraz jej instytucji, jak bardzo mogą dewaluować profesorski tytuł i wyprowadzać prawdę na pospolite manowce. Ta praca to wręcz modelowy przykład takiego stanu rzeczy. Jeśli w Polsce rzeczywiście narodzi się kiedyś zwierzęcy, „wyssany z mlekiem matki”, antysemityzm, jeśli Polska pod tym względem zacznie przypominać Egipt albo Iran, będzie to zasługa rozmaitych Grossów, Engelkingów, Grabowskich czy Leociaków. Nieodmiennie odnoszę wrażenie, że ich działania mają właśnie taki cel – wykreować w Polsce demona antysemityzmu, nauczyć najprymitywniejszych (w żadnym społeczeństwie ich nie brakuje) nienawiści, smagać ich tak długo kłamstwem, aż zaczną warczeć i kąsać.

Myślę, że zasługuje to na duży, złoty medal Niesprawiedliwi wśród Narodów Świata. Tak sobie właśnie myślę. 

PRZESWIETLIK

Globalny Wiedźmin

Taksówkarz z Barei mówił, że choć w Ameryce trusty i kartele, to jak jest pościg, aż kurz idzie, i to amerykański. Tak samo mam z literaturą historyczną. Gdy ją piszą Anglosasi, to się tam naprawdę sporo dzieje, a jeśli książka sprzedawała się w dobrym nakładzie, to znaczy, że będzie się ją dobrze czytało. Tak było z biografią Ronalda Reagana autorstwa wyspecjalizowanego w amerykańskich prezydentach Henry'ego Brandsa. Wszystko brzmiało fascynująco i wiarygodnie, a obraz wrażliwego intelektualisty w miejsce kowboja, do którego się przyzwyczailiśmy, zaskakiwał mnie na tyle, że chciało się czytać coraz więcej. Aż dotarłem do polskiej „Solidarności” i zapoznałem się z niezwykle malowniczą sceną.

Oto – jak pisze Brands – latem 1981 r. sędziwy kardynał Wyszyński odwiedził dzielnego przywódcę polskiej rewolucji antykomunistycznej, ukląkł i zapowiedział, że będzie przed nim klęczał aż do śmierci, jeśli Wałęsa nie zrezygnuje z planu strajku generalnego. Wyszyński nie chciał rozlewu krwi, a krewki Wałęsa rwał do boju, ale we wzruszeniu uległ determinacji staruszka. Trochę trudno sobie wyobrazić Prymasa Tysiąclecia klęczącego przed Wałęsą. Pomińmy mały szczegół, że Stefan Wyszyński zmarł w maju 1981 r., a kalendarzowe lato zaczyna się – i w Polsce, i w Ameryce – 21 czerwca. Sprawdziłem na tyle, na ile się dało, czy Brands mógł skądś zaczerpnąć tę dziwną historię. Prawdopodobnie po prostu ją zmyślił albo sobie uroił, no bo nawet jeśli tak nie było, to ta malownicza scena pasuje do jego opowieści.

*Jedzie sobie ta Joanna d'Arc, jedzie,
aż tu nagle z lasu wypada stado dzikich trolli.
Tak dziś wygląda opisywanie historii*

Nie będę się dłużej pastwił nad amerykańskim autorem, bo książkę tak czy owak polecam, choć traktować ją należy jak spikera dziennika w piosence Laskowika – z rezerwą. Ważne jest jednak coś innego. To dość częsty przykład, jak nie tylko w kulturze masowej, lecz i w dziennikarstwie, a nawet w pracach naukowych traktuje się za oceanem fakty. Liczą się nośność, cikliwość, atrakcyjność historii. To ważniejsze niż prawda. Przecież teraz dowolny filmowiec mógłby tę scenkę powtórzyć w filmie i stwierdzić, że oparł się na poważnym źródle, jakim jest przeczytana książka hi-



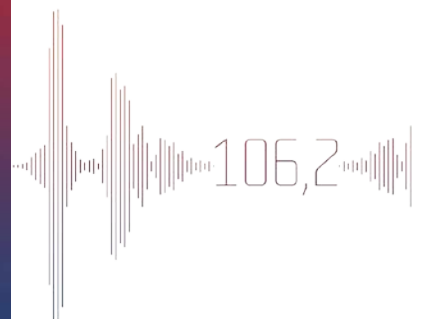
**Wiktor
Świetlik**

storyczna wziętego autora. Może nie praca naukowa, ale zawsze. W ten sposób opisywanie historii coraz bardziej przypomina filmy albo literaturę fantasy mieszającą prawdę ze zmyśleniami. Jedzie sobie ta Joanna d'Arc, jedzie, aż tu nagle z lasu wypada stado dzikich trolli.

Możemy się obrazić na kulturę obrazkową i granie obrazkami albo przenieść naszą prawdziwą historię na to pole. Nie widziałem jeszcze „Kuriera”, ponoć jest próbą średnią. Sprawdzę. Ale chyba rysowanie ładnych obrazków, może niekoniecznie o Lechu Wałęsie, ale o ludziach takich jak Pilecki czy „Inka”, to jedyna droga, byśmy przekonali świat, że Oskar Schindler nie był jedynym człowiekiem, który ratował Żydów, a naziści nie nadlecieli z Marsa, tylko z Berlina.

*Autor jest dyrektorem
Programu 3 Polskiego Radia*

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

45/0219/F



JAN POSPIESZAŃSKI

Konwencja groźniejsza niż standardy WHO

Jeżeli obecna władza dostrzega teraz zagrożenia, jakie niesie z sobą model edukacji seksualnej promowanej przez WHO, tym bardziej powinna zdecydowanie zareagować wobec zapisów konwencji stambulskiej

Gdy Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, nazwała standardy edukacji seksualnej WHO (wprowadzane w stolicy w ramach Karty LGBT) „dokumentem propedofilskim”, posypały się na nią gromy. Liberalne media przez wiele dni grillowały dzielną kobietę, garstka lewicowych aktywistów pikietowała siedzibę kuratorium, wzywano minister Zalewską do natychmiastowego odwołania kurator, a oświecone autorytety w programach telewizyjnych z grymasem wstrętu syczały coś o homofobii.

I choć przedstawiciele obecnej większości parlamentarnej gremialnie krytykowali podpisanie przez prezydenta Warszawy Karty LGBT, to jednak krakowska kurator nie otrzymała wtedy wsparcia. Nie zaprotestowały wobec edukacyjnego szaleństwa inne kuratoria. Dopiero 9 marca ogłoszenie przez Jarosława Kaczyńskiego Deklaracji europejskiej, która w drugim punkcie mówi o ochronie praw rodziców do wychowania dzieci, było przełomem. Prezes PiS, cytując poszczególne punkty ze standardów WHO (dokładnie te, które cytowała dwa tygodnie wcześniej Barbara Nowak), m.in. „że w wieku od 0 do 4 lat dzieci powinny posiadać umiejętność w kontekście wyrażenia własnych potrzeb, a od 6. do 9. roku życia dzieci powinny mieć wiedzę na temat masturbacji”, przyznał, że zapowiedź takich

lekcji jest szokująca. „To atak na rodzinę i atak przeprowadzony w sposób najgorszy z możliwych, bo atakujący dzieci [...]”. Im dłużej się to czyta, tym bardziej włosy stają dęba na głowie” – mówił Jarosław Kaczyński.

W ślad za tym pojawiły się zdecydowane wypowiedzi parlamentarzystów i przedstawicieli rządu. Codziennie ktoś z liderów parlamentarnej większości – Beata Szydło, Beata Kempa, Michał Dworczyk – wypowiada się, nie zostawiając suchej nitki na tzw. standardach WHO. Choć taka zdecydowana reakcja pewnie cieszy i uspokaja rodziców, to jednak się zastanawiam... Czyżby politycy nie znali wcześniej tego dokumentu? Przecież ten model edukacji seksualnej (czytaj: deprawacji dzieci) znany jest w Polsce przynajmniej od 2013 r. W momencie gdy te szaleństwa pojawiły się pod hasłem „Równościowe przedszkole”, zrealizowaliśmy program, pokazując na ekranie te same zapisy dokumentu WHO. Dlaczego więc dopiero teraz, kilka tygodni po podpisaniu owej Karty LGBT przez prezydenta Warszawy, nazywamy rzeczy po imieniu? I drugie pytanie: skoro pierwsza zdefiniowała problem Barbara Nowak, ścigając na siebie falę hejtu, dlaczego nie wzięły jej w obronę władze resortu ani liderzy jej obozu politycznego?

Ale standardy WHO nie spadły z kosmosu. Są one dokumentem z tego samego porządku i elementem tego samego frontu wymierzonego przeciw rodzinie, który w swoich zapisach zawiera Konwencja Rady Europy – tzw.

konwencja stambulska (lub „przemocowa”). Dokument narzucony Polakom przez poprzednią władzę i podpisany tuż przed wyborami w 2015 r. przez Bronisława Komorowskiego – gdy był procedowany w Sejmie, spotkał się z ostrym sprzeciwem Prawa i Sprawiedliwości. Jeżeli obecna władza dostrzega teraz zagrożenia, jakie niesie z sobą model edukacji seksualnej promowanej przez WHO, tym bardziej powinna zdecydowanie zareagować wobec zapisów konwencji stambulskiej. Dokument ten pozornie ma zwalczać przemoc wobec kobiet, a wymierzony jest w rodzinę i prawo naturalne. Według zapisów dokumentu przemoc wobec kobiet u swych źródeł ma stereotypy wywodzące się z tradycji i religii, więc aby zapobiegać przemocy, należy przebudować (czytaj zniszczyć) stare struktury społeczne – kulturę, religię, tradycję i rodzinę.

Konwencja ponadto wprowadza pojęcie płci uwarunkowanej społecznie (gender), oddzielając ją od naturalnych cech biologicznych (sex). Wśród groźnych zapisów jest m.in. nakaz wdrażania tych postulatów na wszystkich szczeblach edukacji.

Formacja polityczna, która w 2015 r. ostro sprzeciwiała się ratyfikacji tej konwencji, dziś ma wszelkie instrumenty (parlamentarną większość i poparcie prezydenta), aby groźny ideologiczny dokument wycofać.

Prawo międzynarodowe przewiduje taką procedurę. Wystarczy tylko chcieć.

Dylematy tożsamości psychoseksualnej

Moi drodzy czwartoklasiści, dzięki staraniom panów prezydentów naszej ukochanej stolicy, których portrety widzicie nad głową za moimi plecami, wasze życie zmienia się każdego dnia. Na lepsze i ciekawsze. Ten, po waszej lewej ręczce, w garniturze, z widocznym znacznikiem flagi Unii Europejskiej w klapie marynarki, nazywa się Rafał Trzaskowski. On jest pierwszym, czyli głównym, prezydentem. Na zdjęciu obok, na prawo, widzicie dwóch panów. Tylko jeden z nich jest wiceprezydentem Warszawy. To ten w jasnym ubraniu. Paweł Rąbiej. Uroczy i atrakcyjny. Mężczyzna stojący obok, patrzący przed siebie niby rozbitek na samotnej wyspie, który wypatruje na horyzoncie statku, jest narzeczoną wiceprezydenta Rąbieja – tłumaczył wychowawca klasy.

– Na poprzedniej lekcji – mówił dalej – dowiedzieliście się, jak ciekawe może być życie i jak atrakcyjne są zajęcia szkolne. Aż żał je opuszczać. Przekonaliście się sami, ile przyjemności dają bezpośrednie, wzajemne kontakty z waszymi kolegami i koleżkami podczas zabawy w lekarzy czy tatę i mamę.



**Jerzy
Jachowicz**

Pod warunkiem że są one nieskrępowane. To znaczy, że chłopcy mogą się bawić z dziewczynkami, ale też z chłopcami, a dziewczęta równie dobrze z koleżankami. Dowiedzieliście się też, jaką rolę w tych zabawach odgrywają ręce i usta oraz wasze kipiące energią... – chciał zakończyć zdanie słowem „organizmy”, ale bezwiednie wyleciało mu „ciało”.

Wcześniej spostrzegł, że od kilku minut dwa palce podniesione w górę trzyma prymus klasy Igor Sęk, syn znanego reżysera i właściciela prywatnego teatru. – Proszę – zwrócił się do chłopca.

– A mój tata mówi, że to pan Rąbiej jest narzeczoną. Tato wystawia sztukę „Tęcza nad Warszawą”.

U nas w domu sprzeczał się z kierownikiem od organizacji, jakie zaproszenie wysłać na premierę. Tata mówił, że trzeba wystawić: „Dla Pana Rąbieja wraz z narzeczoną”. To wtedy już nie trzeba – mówił kierownikowi – pisać osobno „Dla dwóch osób”.

– Dobrze, Igorku, że o tym dylemacie mówisz. Poproszę naszego „obserwatora”, aby następne zajęcia z „identyfikacji płciowej” poświęcił tej sprawie.

CO MNIE ZADZIWIŁA

Moje nieśmiałe pytanie

Wiem, że w tej chwili, kiedy z takim trudem zaczyna się reformowanie naszego sądownictwa, zmiany trafiają na opór. Pytania, które chcę zadać, mogą się wydawać mało potrzebne, naiwne, ale pozwólcie, że zapytam.

Dlaczego taki temat u mnie i dlaczego pytania chcę skierować do Ministerstwa Sprawiedliwości? W mojej rodzinie jest prawnik z wieloletnim doświadczeniem. Człowiek niezwykle mądry i znający swój fach, wyważony, a jednocześnie wrażliwy i starający się pomagać ludziom w miarę swoich możliwości. Wiem, bo przez lata znajomości wielu ludziom pomagał, kiedy stykali się z prawem. Sama mu takich delikwentów podsyłałam. Nadal pracuje w zawodzie, stając w różnych sprawach w wielu miastach.

Zdarza się dość często, że kiedy wraca i pytam: „Jak było, co się stało?”, odpowiada: „Sprawa się nie odbyła”. Pytam, czy nie mogli go zawiadomić. Pewnie mogli, bo było już wiadomo dzień lub dwa wcześniej, że świadek lub obrońca drugiej strony się nie zjawi. Zadziwia mnie, że dzisiaj w dobie smartfonów, internetów i innych możliwości komunikacyjnych nie można się do kogoś, kto ma przejechać pół Polski, wcześniej odezwać. Majechać pociągami, tracić czas i narażać państwo na zwrot kosztów podróży?



**Katarzyna
Łaniewska**

Takich spraw jest pewnie dużo. Czy nie ma kogoś odpowiedzialnego za ich porządek? Pewnie jest. Dlaczego nie chce mu się poinformować zainteresowanych, że sprawa spadła z wokandy?

Jest też pula obrońców z urzędu dla ludzi, których nie stać na to, by być klientem korporacji. Tam prawnicy zgłaszają się dobrowolnie i sprawy są przydzielane. Są one różne i przeważnie smutne dla osób potrzebujących obrońcy z urzędu. Taki obrońca musi się zapoznać z aktami, porozmawiać z klientem. Problemy są trudne, ludzkie. Za prowadzenie takiej sprawy z urzędu szczęśliwie zakończonej dla delikwenta państwo płaci adwokatowi ok. 112 zł. A jeżeli

się przedłuży i staje się kilka razy w tej samej sprawie, bo np. druga strona dąży do przedawnienia, to adwokat dostaje 50 zł. Czy to jest w porządku? Nie chodzi o to, by ci ludzie zarabiali kokosy, ale to są śmieszne pieniądze za ich wiedzę, chęć i czas.

To jest moje pytanie. Starej już osoby, która widzi, jak niesprawiedliwe są wynagrodzenia ludzi w różnych dziedzinach. Tak samo w kulturze – niebotyczne zarobki ludzi modnych w porównaniu z emeryturami aktorów z wieloletnim doświadczeniem.

Ministerstwo Sprawiedliwości w tych małych sprawach też powinno się rozejrzeć, by państwowe pieniądze były wydawane sprawiedliwie.

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

Śpiewak,
który fałszuje

Dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego postanowił dać upust swoim przemysłeniom

Prof. Jan Śpiewak wyznał na antenie: „Nie mogę znieść retoryki o ratowaniu Żydów przez Polaków”. Ale to go nie zaspokoilo naukowo: „Jeżeli zadano mi pytanie, które znam od dziesiątków lat, że Żydzi zorganizowali za pomocą Urzędu Bezpieczeństwa pogrom na Polakach po wojnie, to co ja mam z takimi ludźmi zrobić? Jak ich uciszyć?”. Jak ich uciszyć, to ktoś, kto zajmuje się historią, chyba doskonale wie. Tylko przez wrodzoną skromność publicznie tego nie rozgłasza.

W jednym z wywiadów uczony powołał się na autorytet w dziedzinie polityki międzynarodowej Leo Messiego i zacytował piłkarza: „Polska to faszystowski kraj”. Okazało się, że na kimś, kto ma instytucjonalnie dbać o fakty, wiadomość, że ta wypowiedź jest fałszywką, nie zrobiła większego wrażenia: „Fake – no trudno”. Przecież poza tym wszystko się zgadza.

Oczywiście zbyt dalece idącym wnioskiem byłoby, że Żydowski Instytut Historyczny pod taką światłą dyрекcją nie przestrzega zasady przekazywania prawdy i tylko prawdy. Trudno sobie wyobrazić, że placówka hojnie opłacana przez polskiego podatnika miałaby się zajmować knuciem i psuciem stosunków polsko-żydowskich. Tym bardziej że pan dyrektor troszczy się o dobre imię naszego kraju. „Jak ja jeżdżę trochę po świecie i rozmawiam z ludźmi, to opinia o Polsce jest fatalna”. Jakby pan i podobna panu muzealno-akademicka V kolumna nie jeździła tyle po świecie, to ta opinia byłaby zdecydowanie lepsza. 



**Ryszard
Makowski**

Zawistowski prezentuje: **Brexit**



Wycinki z przeszłości

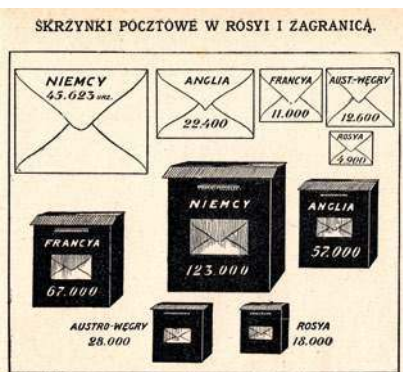
Jeśli dziś poziom nowoczesności państwa mierzymy szybkością i dostępnością internetu, to sto lat temu takim wyznacznikiem była liczba skrzynek pocztowych. Kalendarz „Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1912” odnotowywał:

„Pocztą i telegraf stanowią bardzo poważne źródło dochodu dla rosyjskiego skarbu państwa. W budżecie tegorocznym czysty zysk z tej gałęzi administracji państwowej obliczony został na 33 i pół miliona rubli. A jednak niema chyba w państwie rosyjskim drugiej dziedziny użyteczności publicznej, która traktowana byłaby tak po macoszemu, jak pocztą i telegraf.

Rzeczą jest wprost nieprawdopodobną, ale niestety, prawdziwą, że Rosya z olbrzymimi przestrzeniami swoimi, pod względem liczby urzędników pocztowo-telegraficznych, zajmuje ostatnie miejsce w rządzie państw cywilizowanych.

Skrzynek pocztowych zaś jest w Niemczech 123000, w Ameryce Północnej – 118000, we Francji – 67000, w Anglii – 57000, w Japonii – 48000, w Austrii – 28000, we Włoszech – 22000, a w Rosyi tylko 18000”.

(mk)



Leszek **Długosz**

Przestrogi wiosenne...

Tak, zapewniam Was!
 Jeśli nie w tę niedzielę
 To zapewne już w którąś
 W którąś marcową
 Tegoroczną
 Świat jest już gotowy
 Będzie wiosna!
 – Otwórzcie okna...
 Słuchajcie, jakie kaskady płyną ulicą
 Chopinowskie
 To ta leciutka fraza seledynowego walca
 Wybiegła na palcach
 Tańczy wśród przechodniów, pośród aut
 Płynie nad trotuarem,
 Nad balkonami
 Przecierają oczy witryny
 Podnoszą kapelusze dachy
 Zapewniam was, zima kaput!
 Wszystkie zimowe gieldy w krachu!
 Idzie, jest już wiosna!
 Śpiewa w przestworzach prognoza:
 Primavera Splendida
 Przyznaj i ty serce moje, bez wstydu:
 – Znowuś tak ogłupiało?
 Chce ci się rwać gdzieś, listy jakieś pisać
 Słać je, komu, gdzie tam w górze
 W chmurze?
 O biedna, Gracja – Demencja
 Się zapomniało?
 Że dawno już na emeryturze?
 Śmieszno i straszno?
 Kiedy się z wiosną na przekór faktom
 Marzy, żeby to głupie,
 Zielone i fiołkowe, znów było takie
 Jak już było?
 Jak przed laty?
 Kiedy nam grała tamta muzyka
 Żeby wróciło
 Było...
 – Jak na początku licznika?

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	73 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Niewypał prosto w oko

Jest portal o wzniosłych ambicjach. Portal sprawdzający fakty i prowadzący dziennikarskie śledztwa, medium społecznościowe i archiwum życia publicznego. Dziennikarze tego portalu chcą „stać się obywatelskim narzędziem kontroli władzy”. Piszą: „Populizmowi, prawicowym fundamentalizmowi i nacjonalizmowi towarzyszy dziś zalew półprawd, przekłamań, słów wypowiedzianych bez odpowiedzialności i sensu”. Deklarują – kto wie, może w głębi duszy nawet tak uważają – że sięgają „do korzeni dziennikarstwa: do prawdy. Potrzeba rzetelnej analizy słów i czynów w życiu publicznym staje się nagląca. *„Wiarygodne, sprawdzone informacje, rzeczowość, odwoływanie się do danych liczbowych i ekspertyzy naukowych – w ten sposób chcemy tworzyć w OKO.press miejsce godne zaufania”* (dodaliśmy kursywę).



CHCIEĆ, A UMIEĆ

Zaraz po Dniu Kobiet, 9 marca 2019 r., autor portalu, „absolwent historii na UJ, arabistyki na UAM”, umieścił dość obszerny materiał pt. „Zybertowicz ofiarą brutalnego hejtu? Sam wielokrotnie obrażał i mówił nieprawdę”.

Tytuł, przyznanie, może niepokoić. Wszak zarzucane jest wielokrotne obrażanie i mówienie nieprawdy. Autor zaczyna: „Zona Andrzeja Zybertowicza występuje w obronie swojego męża i pisze, że padł ofiarą »brutalnego hejtu«”. Tymczasem spotkała go zwyczajna krytyka za obraźliwe i nieprawdziwe słowa wobec uczestników obrad Okrągłego Stołu. Być może warto zaapelować do profesora o ograniczenie takich słów. Przypominamy inne wypowiedzi Zybertowicza”.

No to czytamy dalej i... grzęźniemy. Tekst OKO.press jest jednak chaotyczny, posklejany z cytatów i słabo zredagowany. Nie warto byłoby mu poświęcać uwagi, gdyby nie pompatość programowych deklaracji portalu i kumulacja wpadek. Co Pan Absolwent napisał?

MNOŻENIE I MYLENIE

Po pierwsze, pomnożył dr. Adama Bodnara – nadając mu liczbę mnogą. W liście do RPO Katarzyna Zybertowicz miała bowiem według autora „Oka” napisać: „Apeluję do Panów

i proszę o pomoc w wezwaniu prokuratury do opamiętania się w nieustającym nękanii mojego męża procesami sądowymi i szantażowaniu ewentualnym wyrokiem do 3 lat więzienia [...]” (kursywa dodana). Tymczasem, jak okazało się po sprawdzeniu w internecie, owo pomnożenie RPO wzięło się stąd, że żonie Zybertowicza Pan Absolwent przypisał słowa z umieszczonego na Facebooku i skierowanego do grupy polityków Prawa i Sprawiedliwości tekstu żony Władysława Frasyniuka.

Dalej autor „Oka” pomnożył imiona żony Zybertowicza: w tekście raz jest to Katarzyna, raz Krystyna.

Nic dziwnego zatem, iż Absolwent nie dostrzegł, że gdy Katarzyna Zybertowicz w liście do RPO mówi, że jej mąż jest ofiarą brutalnego hejtu, to dokumentuje to pięcioma przykładami brutalnych wypowiedzi (z których dwie nawołują do przemocy). Wypowiedzi nie z jakiejś chmury anonimowych trolli, ale z przywołanych po nazwisku czwórki polskich profesorów (dwie z tych osób w III RP pełniły wysokie funkcje rządowe) oraz Lecha Wałęsy.

Czytelnik OKO.pressa w ogóle się tego nie dowie. Dlaczego autor „Oka” po prostu nie załączył do listu otwartego K. Zybertowicz dostępnego na stronie RPO, skoro w swym tekście dał np. link do wezwania przedsądowego, jakim grupa byłych opozycjonistów grozi A. Zybertowiczowi w związku z głośną wypowiedzią na temat Okrągłego Stołu?

BALETOWAŁ?

Inne sprawy, intelektualnie bardziej złożone, o które autor „Oka” w swoim tekście także regularnie się potyka, tutaj pominiemy. Kwalifikują się one bowiem do całej serii korepetycji: z wiedzy historycznej, z logiki, ze sztuki interpretacji tekstu, z metodologii badań naukowych, wreszcie z filozofii nauk społecznych. Kiedyś w polemice z inną autorką portalu OKO.press Andrzej Zybertowicz wskazał na poważne braki w tym zakresie (tekst „Nie mieszajcie nauki do Waszej ideologii” z września 2017 r. jest dostępny na portalu Niezależna.pl).

Widać, że mamy do czynienia ze środowiskiem nie tyle „sprawdzającym fakty”, ile impregnowanym na dyscyplinę intelektualną. A może po prostu autor za bardzo świętował Dzień Kobiet?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Prenumerata

SIECI + **wSIECI HISTORII**

z prezentem



**koszulka
z kultowym
powiedzeniem**

Koszulki
damskie
w rozmiarach:
S, M, L

Koszulki męskie
w rozmiarach:
M, L, XL, XXL

Zamawiając prenumeratę,
podaj rodzaj i rozmiar
koszulki,
np. męska L

40% TANIEJ



~~463,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratia Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L)
i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70



**DRAPIEŹNIKU
DRAP
I WYGRYWAJ**



DRAPIEŹNICY KOCHAJĄ

